

Michał PAULI

12 x śmierć

piekło w raju

BESTSELLER
NOWE I POSZERZONE
WYDANIE

Pauli

12 x śmierć

Michał Pauli

Michał Pauli 12 x śmierć piekło w raju

Każdy system ma swojego robala.
Toczy on krew swoich dawców,
znieczulając ich mózgi jadem hipokryzji.



Wszystkim, których pozytywne myśli pozwoliły mi przetrwać,
których aktywne działania zakończyły mój koszmar,
i tym, którzy mając mniej szczęścia,
pozostali w świecie za murami.

Wszystkie wydarzenia i postacie opisane w tej książce są prawdziwe.

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione ze względu na ich bezpieczeństwo.

I

Z powrotem

– Hey, you! – Ktoś szarpał moje ramię. W nozdrza wdarł się kwaśny odór. Pierwsze promienie słońca wpadające przez kraty oświetlały masę brunatnych ciał stłoczonych w małym pomieszczeniu. Kilka karaluchów w panice wykonało szaleńczy slalom, by zniknąć w ściennej szczelinie, chroniąc się przed dniem. Podniosłem żelazną obręcz zakutą na mojej nodze. Już od paru godzin przypominała o sobie piekącym bólem. Krótkie spojrzenie na przeupocony brunatny drelich – leżał obok złożony w kostkę, służąc jako poduszka. Jego czarny nadruk mówił wyraźnie: 1629/9... To mój kolejny numer w więziennej ewidencji. Przeniosłem wzrok na drzwi, które zaraz się otworzą, po czym ruszę na niewielki plac wraz z morzem tysiąca takich jak ja, wśród metalicznego brzęku łańcuchów, smrodu ludzkich ciał i gęstego jak zupa powietrza. Mury na zewnątrz przywitają nas swoją spaloną od słońca szarością, a ich stalowe zęby zabłyszczą mówiąc: „No man’s land!!!...”.

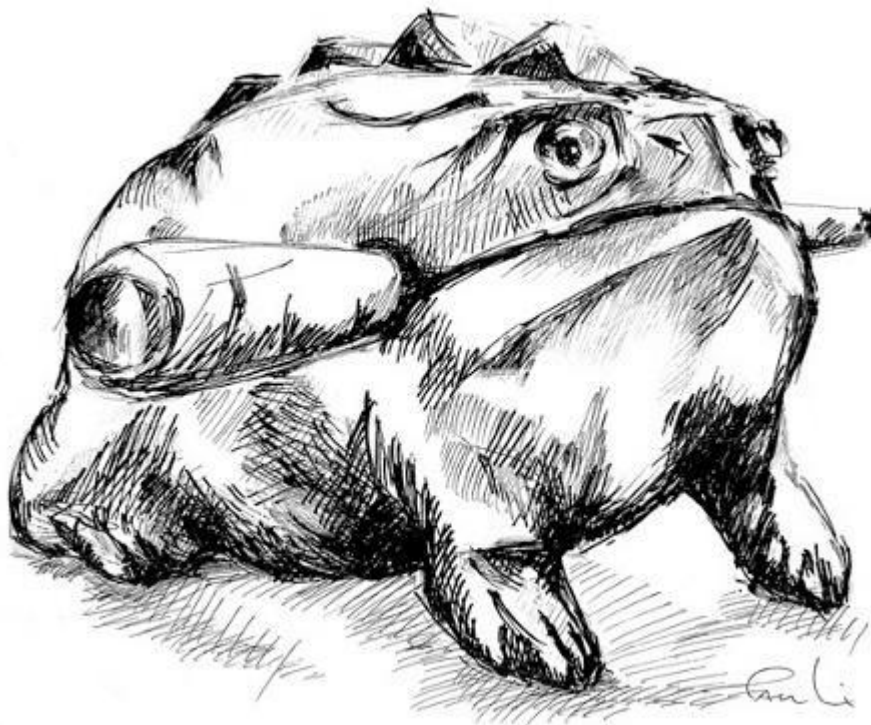
Usłyszałem kiedyś: „Z tych miejsc można się wydostać, ale one nigdy nie wydadzą się z Ciebie”. Dzisiaj rozumiem znaczenie tych słów, gdy zamykam oczy, próbując zasnąć, lub kiedy budzę się nocą, nie będąc pewnym, gdzie właściwie jestem...

Około 2002 roku moje życie przybrało bardzo nieokreślone kształty. Kolejne życiowe fiasko i pogoń za forszą odbywały się głuchym echem w szarej codzienności. W takich momentach zazwyczaj do głosu dochodzą skrywane wcześniej marzenia – ja rozpocząłem ucieczki do Azji Południowo-Wschodniej. Zawsze mnie tam ciągnęło – do tego świata całkiem odmiennej percepcji, który w magiczny sposób kusił wszystkim, czego nie sposób znaleźć w Europie. Po kilku pierwszych wyprawach pomyślałem, by połączyć je z moją pracą. Sprowadzanie stamtąd różnego rodzaju rękodzieła wydawało się lepszym pomysłem na życie, niż trzymanie się kurczowo niedochodowej pracowni ceramicznej, którą prowadziłem już od wielu lat. Tak minął rok, a ja siedziałem spłukany w swoim łódzkim mieszkaniu, po kolejnym powrocie z Azji. Za oknem panowała jesienna aura, a po domu wałały się spore ilości tekowych żab. Drewniane płazy miały być żyłą złota. Niestety interes nie szedł najlepiej.

Tamtego dnia odebrałem telefon. W słuchawce odezwała się Pim (to skrót od imienia Pimachajha), znajoma Tajka. Prowadziła guest house i kafejkę internetową w Bangkoku przy Samsen Rd. Spędziłem tam kiedyś miesiąc, wynajmując u niej pokój. Pim, jak na Tajkę, mówiła nawet niezłe po angielsku i zawsze była skora do pomocy w różnych problemach, z którymi może się spotkać obcy w ponad 12-milionowym Krung Thep – „Mieście Aniołów” (to właśnie oznacza jedna z tajskich nazw określających Bangkok).

Podczas którejś z wielu luźnych rozmów uzgodniliśmy, że Pim pomoże mi w kontaktach z ludźmi trudniącymi się sprzedażą interesujących mnie rzeczy. I tak powoli zacząłem jej ufać. Nie było już dla mnie problemem, gdy wpadała na dach, gdzie czasami siadywałem z inną mieszkanką tego domu, Amerykanką o imieniu Kate, i w tajemnicy popalaliśmy tajską gandzię. Miły czas. I właśnie jej telefon wyrwał mnie tamtego dnia z łódzkiego marazmu, przynosząc ze sobą wspomnienia przepełnione ciepłem i egzotyką. Cholernie pragnąłem być tam z powrotem

i przeżywać wszystko na nowo.



Pim miała dla mnie propozycję. Chciała, bym jej coś wysłał. Przyznam, że gdy wyjaśniła, o co chodzi, wpadłem w lekką konsternację... Zaproponowała interes z ecstasy^[1]. Fakt, nie brakowało u nas tego środka. Można go było znaleźć w prawie każdym klubie, ale... No właśnie, gdyby nie to „ale”...

W końcu, jak by na to nie spojrzeć, był to narkotyk. Rzecz przeklęta i ścigana prawem w większości krajów. Choć, moim zdaniem, mniej szkodliwa od legalnych papierosów czy alkoholu. Jeśli chodzi o samą Tajlandię, niebezpieczeństwo kojarzyło mi się głównie z heroiną. Wiedziałem dobrze, co grozi za jej przemyt. Ale ecstasy?

– Pim – odparłem – nie mówię nie, ale... daj mi trochę czasu. Muszę sobie to wszystko przemyśleć, OK?

Po kilku dniach wiedziałem już co, jak, z kim i za ile. Pozostawało jeszcze tylko zastanowić się, jak załatwić tę sprawę, by wszyscy byli zadowoleni, a ja trochę bogatszy. Gdy i to miałem za sobą, nie pozostało nic innego, jak skontaktować się z nią ponownie...

^[1] Ecstasy – półsyntetyczna substancja psychoaktywna o działaniu empatogennym, euforycznym i psychodelicznym, pochodna metamfetaminy. David Nutt z Bristol University, członek rządowej Komisji Doradczej ds. Nadużywania Narkotyków (ACMD), w klasyfikacji używek pod względem zagrożenia uzależnieniem MDMA wymienia na osiemnastym miejscu,

alkohol na piątym, a na pierwszym heroinę.

II

Syjamska pułapka

Po raz kolejny przyleciałem do Bangkoku pod koniec stycznia 2004 roku. Chciałem jak najszybciej załatwić interesy z Pim, żeby móc wyrwać się z brudnego molocha na jakieś wyspy. Zależało mi głównie na tym, by oddała resztę pieniędzy, jakie wisiała mi za przesyłki z Polski. Oczywiście przesyłki z ecstasy. Przez ostatnie kilka miesięcy kontaktowaliśmy się dość często w sprawie pigulek. Ona przysyłała mi pieniądze, a ja bez większych problemów wysyłałem jej raz po raz małe listy z kilkunastoma tabletkami.

List, było to nieduże opakowanie z płytą kompaktową. W niewielkiej przestrzeni między plastikami mieściło się 16 tabletek. Były na tyle niewidoczne, że nawet przy pomocy skanera ciężko było coś zauważyć. Nie podawałem również żadnych swoich danych, pozostając na wszelki wypadek anonimowym. Takich listów wysłałem około dziesięciu, w tygodniowych odstępach. Cena, jaką ustaliliśmy, to 80 zł za sztukę, przy czym tu, w Polsce, mój koszt wynosił 5 zł. Przelicznik był więc niezły. Teraz, po przylocie, pozostawało mi odebrać od niej resztę kasy, a następnie zająć się swoimi sprawami.

Tamtego dnia nie chciało mi się już jechać do Banglumpu – dzielnicy, w której stał guest house prowadzony przez Pim. Zatrzymałem się więc w innej części miasta, skąd łatwiej było dojechać do dworca. Po szarej polskiej jesieni i mroźnej zimie to było to, co miało mnie rozgrzać i pobudzić do życia. Pomyślałem, że warto by wygrzać kości na Ko Chang – mojej ulubionej wyspie, albo pojechać na Ko Pha Ngan, gdzie zbliżało się Full Moon Party.

Zadzwoniłem do Pim.

– Tak, czekam aż wpadniesz – powiedziała zadowolona, słysząc mój głos. – Czemu nie chcesz się zatrzymać w moim lokalu? – dodała. W jej głosie wyczułem jakby nutę rozczarowania.

– Dzięki, Pim, ale mam trochę planów poza Bangkokiem.

– Ale ja chcę cię poznać z moim znajomym, dla którego były te pigułki. To właściciel klubu Ministry of Sound przy Sukumvit Rd. Prosił, żebym cię przyprowadziła.

– Pim, wolałbym zostawić tę sprawę między nami – wyjaśniłem.

– Nie martw się, to mój dobry znajomy. Możemy mu ufać. Poza tym on ma resztę pieniędzy dla ciebie – zapewniała Pim.

– To jak chcesz się umówić?

– Spotkajmy się w jego klubie jutro wieczorem – postanowiła.

Wiedziałem, o które miejsce chodzi. Ta tajska kopia londyńskiej dyskoteki rzuciła mi się już kilka razy w oczy.

– Dobrze, umówmy się na jutro. – Tymi słowami ją pożegnałem.

Włączyłem hotelowy telewizor. Fala piskliwych tonów wypełniła pomieszczenie. Leciał kolejny tajski wodewil. Nie widziałem nigdy nic bardziej krzykliwego niż azjatyckie programy telewizyjne. Zbyt zmęczony, by gdzieś wychodzić, wyciągnąłem butelkę Singha Beer i usiadłem przy otwartym oknie. Ciepła bryza przyniosła zapach spalin, a dźwięki ulicy zmieszały się z jazgotliwym programem telewizyjnym.

– Dobrze być tu z powrotem – pomyślałem.

Następnego dnia zjawiłem się we wspomnianym klubie. Pim już czekała na mnie przy wejściu. Poszliśmy razem na piętro, a później dalej, do oddzielonej, jakby prywatnej, części. Siedziało tam kilka osób, wśród których było dwóch białych. Pim przedstawiła mi jednego z nich jako znajomego, o którym mówiła przez telefon. Był to Jeff. Rozmawialiśmy trochę. Twierdził, że jest Australijczykiem, co nawet dało się zauważyć w jego akcencie. Gdy spytałem o skopiowaną nazwę klubu, przyznał, że to rodzaj filii, a on jest bardziej menedżerem niż właścicielem tego lokalu.

Później zabrał nas do małego chilloutu, gdzie zostaliśmy sami. Tam Jeff przeszedł do konkretów. Zaproponował mi interes z większą ilością ecstasy.

– Może masz kogoś, kto mógłby tu przywieźć jeszcze trochę pigułek? – zapytał. – Sam widzisz, jakie mamy potrzeby.

– Nie sądzę, Jeff, by mi się to udało – odpowiedziałem. – A ty na pewno bez problemu znajdziesz kogoś na moje miejsce.

– Masz rację – odparł. – Ale większość tutejszych pigułek produkowana jest w Malezji. A to oznacza niestety podłą jakość. Nie będę ukrywał, że mam kilka innych źródeł w Australii i Anglii. Ale to od ciebie też było OK. Gdybyś w to wszedł, mógłbym zapłacić nawet trochę więcej. Większe pieniądze za dobrą jakość. Przemyśl to, propozycja jest uczciwa.

Miałem kumpla, który załatwiał mi te piguły w Polsce, a że niemal zawsze był w potrzebie finansowej, więc w sumie w każdej chwili mogłem się do niego zgłosić i umówić jakąś większą przesyłkę. Powiedziałem o tym Jeffowi, gdy ten wręczał mi rulon tajskich banknotów jako rozliczenie za poprzednie dostawy.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Potem umówiłem się jeszcze z Pim i obiecałem odezwać się wkrótce, gdy będę już coś wiedział w sprawie propozycji Jeffa.



Przez następne kilka dni próbowałem skontaktować się z Nico – kolegą od prochów, by zaproponować mu nowy interes. Nie było to jednak łatwe – Nico był wszędzie, tylko nie pod telefonem. Nie pozostawało nic innego, jak odłożyć sprawę na później. Tymczasem postanowiłem zadzwonić do mojej tajskiej znajomej Pukhi. Umówiliśmy się na wspólną wyprawę na Kho Pha Ngan.

Pukhi mieszkała w Chinatown niedaleko stacji kolejowej Hua Lamphong. Stamtąd pojechaliśmy razem do Chumphon i dalej już statkiem na wyspę.

Imprezy na plaży przy świetle księżyca pod nazwą Full Moon Party odbywały się już prawie na każdej z okolicznych wysp i były to typowo komercyjne wabiki na turystów. Kho Pha Ngan pozostało jednak dla mnie miejscem, gdzie wszystko się zaczęło, i fajnie było wybrać się znowu właśnie tam.

Wylądowaliśmy w Thong Sala i stamtąd, na pace jednej z taksówek, pojechaliśmy na południe, do Haad Rin – małej miejscowości wciśniętej w wąski cypel wyspy. Roilo się tam od resortów turystycznych. Zajęło nam trochę, by znaleźć jakiś w miarę tani bungalow, miasteczko przeżywało bowiem prawdziwy nalot ludzi z całego świata. Czasy, gdy przyjeżdżali tu sami backpackerzy^[2], dawno minęły, zaś ceny domków dorównywały nawet tym z hoteli w Bangkoku.

A to jednak było zdecydowanie za dużo jak na taką rozrywkę. Wreszcie znaleźliśmy coś na uboczu, dość daleko od Haad Rin Nok, czyli północnej plaży z widokiem na wschód słońca. To właśnie tam, wśród sporej liczby różnych klubów, odbywało się comiesięczne Full Moon Party. Czułem się trochę rozczarowany i zaczynałem żałować, że nie pojechaliśmy gdzieś indziej, choćby na zdecydowanie spokojniejszą i czystsza Ko Chang. Dopiero wynajęcie skutera i wędrownki na nim po całej wyspie poprawiły mi humor.

Pukhi było to obojętne. Całkowicie koncentrowała się na ochronie przed słońcem. Jak większość Tajek miała „jazdę” na punkcie jasnego koloru skóry. Słońce należało do wrogów numer jeden. Nawet kąpiele w morzu nie mogły się odbyć bez okrywającej całe ciało koszulki.

Po kilku dniach zaczęły się dziwne telefony od Pim. Najpierw zadzwoniła, żeby zapytać, co słyhać. Później – kiedy wracam. W końcu, dzwoniąc po raz enty, wyraziła chęć porozmawiania z Pukhi. Wyglądało to dość dziwnie, bo dziewczyny się nie znały. Wyjaśniła, że po tajsku będzie jej się łatwiej porozumieć i dowiedzieć, jak jest w okolicy.

– Zastanawiam się nad kilkudniowym wyjazdem i mogłabym was odwiedzić – tłumaczyła.

Jeżeli nawet coś mnie w tej sytuacji zaniepokoiło, to nie na tyle, żeby wzbudzić jakieś silniejsze podejrzenia. W końcu przez cały czas poznawania Azji ciągle napotykałem na sytuacje i zachowania, których nie mogłem do końca zrozumieć. Coraz mniej się nad tym zastanawiałem.

Po tym telefonie Pukhi zaczęła zadawać coraz więcej pytań.

– Czego ona chce? Dlaczego tak często wydzwania? – dopytywała się tego popołudnia.

– Nie denerwuj się, Pukhi. Ona pomaga mi tylko w interesach z żabami. Może rzeczywiście chce tu wpaść na kilka dni.

Przy kolejnym telefonie wkurzona Pukhi musiała wyrazić dość jednoznacznie swoje niezadowolenie, gdyż do końca naszego pobytu na Ko Pha Ngan Pim nie zadzwoniła już więcej...

Następne dni należały do Full Moon Party. Poszliśmy na Haad Rin Nok. Mała plaża wraz z całym miasteczkiem zamieniła się w jedną wielką imprezę, która trwała non stop przez kolejne kilka dni. My spędziliśmy tę noc głównie obok lokalu Vinyl Club, gdzie muza wydawała się najlepsza. Sporo nowo poznanych osób zagościło atmosferę kolejnych dni. Anna, pewna Angielka, która latem mieszkała w Londynie na zacumowanej na Tamizie barce, a zimy spędzała tu, w Tajlandii, poznała nas z miejscowymi, którzy mieli dobre jointy. Poza tym dysponowali długą drewnianą łódką, więc mogliśmy wypływać dalej w morze. Tak spędziliśmy ponad tydzień, aż zaczęły się kończyć pieniądze i trzeba było wracać do Bangkoku.

Zaraz po powrocie odezwałem się do Pim. Temat ecstasy był ciągle aktualny, więc ponowiłem próby znalezienia Nico. Tym razem miałem więcej szczęścia. Na moją ofertę zareagował tak, jak się spodziewałem – z zadowoleniem.

– Stary – powiedział – przyślij kasę, a już ja załatwię, co chcesz i ile chcesz.

Wysłałem mu za pośrednictwem Western Union sumę odpowiadającą mniej więcej tysiącowi złotych. Kwota ta miała wystarczyć na sto tabletek. W końcu on też musiał coś z tego mieć. Pozostało czekać, kiedy ponownie się odezwie. W międzyczasie miałem do załatwienia kilka innych spraw. Pewien znajomy chciał, żebym kupił mu większą partię piercingu. Robiłem to już wcześniej. Tajowie byli w tym niezli i można było u nich znaleźć dużo tanich i ciekawych wzorów. Musiałem więc zajrzeć do paru sklepów w Banglangpu, by wyszukać coś fajnego.

Tym razem zatrzymałem się w okolicach Sukhumvit Rd., niedaleko przystanku SkyTrain, który zdecydowanie ułatwiał poruszanie się po wiecznie zapchanym korkami mieście. Ta najdłuższa z ulic Bangkoku tętniła życiem praktycznie 24 godziny na dobę. W dzień królowały tu sklepy, zaś wieczorem przy blasku neonów wyrastały masy niewielkich ulicznych knajpek z alkoholem i tutejszymi specjałami kulinarnymi. Na małych wózkach przypominających kuchnie polowe smażyły się skorpiony, larwy, szarańcza... Nieopodal swoje życie zaczynały nocne kluby, a wraz z nimi czekające na klienta dziewczyny.

Szwendanie się po zachodzie słońca było o wiele przyjemniejsze niż dzienne podróże w ponad 40-stopniowym upale, kiedy smog i temperatura czyniły betonową dżunglę wyjątkowo nieznośną. Zwłaszcza dla przybysza z zimnej północy. Czasem siedziałem przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików. Innym razem zaglądałem do powszechnych tu klubów karaoke. Tajowie uwielbiali takie miejsca – bawili się w rytm swojej kociej muzyki i miejscowej whisky.

Po tygodniu Pim ponowiła zniecierpliwione telefony. Nico nie spieszył się specjalnie, zwłaszcza że dostał już pieniądze. Sytuacja zaczęła mnie trochę irytować. Nadszedł już czas, by znów wy dostać się z Miasta Aniołów. Miałem dość olbrzymiego, wypełnionego gorącymi spalinami molocha. Marzyłem o Ko Chang, skąd miałem ruszyć dalej, ku dużo tańszej Kambodży.

Wreszcie odezwał się Nico. Oczywiście z długą opowieścią, jak to wszystko na ziemi i w niebie sprzysięgło się przeciwko niemu, przeszkadzając w skontaktowaniu się ze mną. Ale, co najważniejsze, miał dobre wieści o paczce! Była już w drodze, wysłana firmą kurierską na moje nazwisko.

Totalna nieostrożność! Ale... stałem przed faktem dokonany. Lepiej było mieć to już za sobą, choćby za cenę ryzyka. W końcu inaczej nie miałbym pewności, czy Nico w ogóle coś wysłał. Musiałem odzyskać wpłaconą mu wcześniej sumę, tym bardziej teraz, gdy poczułem brak gotówki. Życie w Tajlandii było o wiele tańsze niż w Polsce, nie zmieniało to jednak faktu, że trzeba było za nie płacić.

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem do podanej przez Nico firmy kurierskiej, gdzie poinformowano mnie, że przesyłka już czeka. Niestety jej siedziba była dosyć daleko, więc nie zdążyłem już odebrać paczki. Następnego dnia wypadła sobota – biuro było nieczynne. Pozostało przesunąć całą transakcję na poniedziałek. Tak też umówiłem się z Pim, która z zadowolenia popiskiwała coś po tajsku do słuchawki.

W poniedziałek rano odebrałem bez problemu nadaną przez Nico przesyłkę i umówiłem

się z Pim na Chatu-Chak, gdzie miała mi przy okazji pokazać kilka rzeczy, które mógłbym spróbować wysłać do Polski.

W paczce od Nico było oczywiście tylko pięćdziesiąt kilka pastylek zamiast umawianych stu, ale tego właściwie mogłem się spodziewać. Widocznie zdążył już wydać przesłaną mu sumę na inne cele. Jedyńm plusem była ich jakość. Nie były to żadne mieszane z amfetaminą podróby, ale czyste MDMA prosto z Holandii. Część w kolorze zielonym ze znaczkiem „Love”, inne – różowe z emblematem dwóch wisienek.

Pim czekała w umówionym miejscu. Posiedzieliśmy chwilę przy stole jednej z ustawionych pomiędzy straganami knajp. Oddałem jej przesyłkę w zamian za ustaloną sumę. Chwilę później znaleźliśmy się przy wyjściu na aleję Phahonyothin.

– Jedź ze mną taksówką – zaproponowała.

– Dzięki Pim. Wolę jednak SkyTrain. Tak najszybciej dotrę do miejsca, gdzie się zatrzymałem. – Pożegnałem się, by ruszyć w kierunku pobliskiej stacji.

^[2] Backpacker – turysta „z plecakiem”, wyjeżdżający zazwyczaj za granicę, często do krajów egzotycznych, głównie w celach poznawczych, mniej wypoczynkowych.

III

SkyTrain

SkyTrain, Mo Chit, stacja przy Chatu-Chak. Postawioną na wysokich filarach konstrukcję zalewał słoneczny skwar. Wchodziłem po stromych schodach, patrząc w dół na masę poruszających się wolno samochodów. Między nimi przeciskały się wszędobylskie motocykle, wiozące na sobie trzech, a czasem nawet czterech pasażerów. Byłem już prawie na szczycie, gdzie znajdowały się perony kolejki, gdy zatrzymał mnie jakiś Taj. Długowłosa koleżka wyglądał bardzo przeciętnie, jak kierowca tuk tuka lub moto taxi. Totalnie zaskoczyło mnie jego pytanie. Z jego łamanej angielszczyzny wywnioskowałem, że chodzi o mój paszport. Zignorowałem go oczywiście, biorąc za naciągacza lub innego świra. Wspinałem się dalej nie zwracając uwagi na jego krzyki, lecz w myśli wdarł się podświadomy niepokój. Dotarłem już na platformę, gdy ten ponownie się przyczepił, tym razem łapiąc mnie za rękę. Nagle, nie wiadomo skąd, otoczyło mnie kilku innych Tajów. Rzucili się na mnie. Po chwili leżałem na ziemi, a moje dłonie były zakute w kajdanki.

Krzyczałem, próbując dowiedzieć się, o co do cholery im chodzi. W odpowiedzi usłyszałem coś po tajsku. Banda podniosła mnie z ziemi i otaczając szczelnie, sprowadziła z powrotem po schodach. Tam stała mała japońska furgonetka, niewyróżniająca się niczym szczególnym spośród zapchanej autami alei. Wpakowali mnie prosto na jej tył. Zamknęły się drzwi i auto wolno ruszyło, przeciskając się przez zakorkowaną ulicę. Byłem zbyt zszokowany, by zastanawiać się nad przyczyną tego porwania.

Otoczający mnie ludzie nie mieli na sobie nic, co mogłoby dowodzić, że są z policji.

Żaden nie mówił po angielsku. Mój tajski natomiast ograniczał się do kilku słów, z których ani jedno nie mogło się przydać w tych okolicznościach. Dookoła słyszałem dziwne sylaby i dzikie nawoływania. Trwało to jakąś godzinę, aż w końcu auto zatrzymało się. Otworzyły się drzwi i wyciągnięto mnie na niewielkie podwórko. Na jego środku stało typowe dla bogatych dzielnic Bangkoku kondominium. Wprowadzono mnie do jego wnętrza. Całość wyglądała na prywatną rezydencję. Przypuszczałem, że może chodzić o sprawę z ecstazy, które dopiero co wręczyłem Pim. Im dłużej to jednak trwało, tym głębsze pomysły wpadały mi do głowy...

Zostałem umieszczony w niewielkim pokoju na końcu wąskiego korytarza. Stół i para krzeseł były chyba jedynym jego wyposażeniem. Po jakiejś godzinie usłyszałem zamieszanie dobiegające z holu. Przez zamknięte drzwi słyhać było kilka dyskutujących głosów. Wreszcie do pomieszczenia wszedł średniego wzrostu, za to dość napakowany Afrykanin wraz z dwoma już poznanymi Tajami. Usiadł naprzeciwko i przemówił po angielsku.

– Z kim pracujesz? – Jego pytanie było równie enigmatyczne jak cała ta sytuacja. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

– Wiemy o tobie wszystko – ciągnął Afrykanin. – Jeśli powiesz mi, kto przysłał ci ecstazy, będę mógł ci pomóc.

W tym momencie krew uderzyła mi do głowy ze zdwojoną siłą. To był koniec... A co z Pim? Przez moją głowę gnały dziesiątki pytań. Czy ją też zatrzymano? Czy to od niej wiedzą o mnie? A może dowiedzieli się wszystkiego od Jeffa? Wyglądało to fatalnie. Nie miałem pojęcia, co dalej. Minęła długa chwila, po czym Czarny zadał to samo pytanie.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Jakie ecstazy? – odpowiedziałem. Było to jedyne, co przyszło mi wtedy do głowy, choć wydawało się najgłupszą z możliwych odpowiedzi. Afrykanin odwrócił się do Tajów i zaczął rozmawiać z jednym z nich w jego języku. Miałem chwilę na zebranie myśli. Wyglądało to kiepsko, ale na pewno istniało jakieś wyjście! Jeśli nie aresztowali Pim, to na pewno będę mógł liczyć na jej pomoc, lub przynajmniej któregoś z jej znajomych. Poza tym – jakie oni mogą mieć dowody?

– I co, myślisz, że jesteś sprytny? – Afrykanin odezwał się ponownie. – Mam dla ciebie złą wiadomość. Jesteś idiotą i siedzisz po uszy w gównie – dodał, nie ukrywając irytacji.

– Naprawdę nie wiem, o co chodzi – powtórzyłem ponownie jak zacięta płyta. Widać było, że moje stanowisko nie robi na nim specjalnego wrażenia.

– No dobrze – skwitował, po czym uniósł się z krzesła i wyszedł z pokoju. Jeden z Tajów otworzył mu drzwi, ale obaj zostali w pomieszczeniu.

Minęło jakieś pół godziny. Czarny pojawił się z powrotem. Tym razem trzymał w rękach jakieś papiery. Bez słowa podsunął mi je wraz z długopisem. Stojący obok Azjata rozpiął mi kajdanki. Przyjrzałem się pismu. Całe było zapisane przypominającym zapętlone węże tajskim alfabetem.

– Podpisz – powiedział mój rozmówca. – To tylko oświadczenie, że nie chcesz składać

żadnych zeznań.

Nastała długa cisza, przerywana jedynie jego ciężkim oddechem. Wreszcie Czarny powiedział coś do Tajów i w tym samym momencie dostałem solidne uderzenie w brzuch. Potknąłem się o stojące za mną krzesło i zwałem na ziemię. Poczułem kopniaka w nery.

– Myślisz, że ja się będę z tobą pieprzył? Podpisz albo ten cholerny pokój stanie się twoim grobem – wycedził. Byłem przerażony. Facet raczej nie żartował. Drżącą ręką podpisałem podsuniętą mi pod nos kartkę.

– Tak lepiej. Chociaż i tak masz przesrane. Tu mają karę śmierci dla takich cwaniaków jak ty – mówiąc to, opuścił pokój.

Tajowie podnieśli mnie, spięli kajdankami i zaprowadzili do tej samej, stojącej na placu furgonetki.

Jeszcze tego popołudnia znalazłem się na posterunku policji. Tam obległa mnie kolejna chmara małych krzyczących coś po tajsku. Wprowadzili mnie do długiej, pełnej biurek sali. Musiałem wyglądać jak robiący pod siebie kot, gdy na jednym ze stołów ujrzałem koperty, które wysyłałem do Pim. Leżały równo poukładane wraz z całą zawartością.

Wreszcie pod wieczór pojawił się tłumacz. Była to kobieta w uniformie policyjnym. Przedstawiła się jako Oak. Nakreśliła mi pokrótce sytuację. Tajowie mieli dowody w postaci przesłanki oraz zeznania pracującego dla nich świadka. Okazało się, że jestem jedynym oskarżonym, a Pim i Jeff to pracujący dla policji agenci. Na tym zakończono moje przywitanie. Oak wyszła, a mnie zabrano dalej, przez długi korytarz, prosto do znajdującej się na jego końcu klatki.

Stalowe drzwi jęknęły ciężko, zatraskując się na zbudowanej z gęstej kraty ścianie. Ruszyłem do wnętrza pomieszczenia. U sufitu mały wiatrak wolno miał lekko powietrze. Nie było tu żadnych okien, nie licząc utkanej kratą ściany dzielącej celę od korytarza. W jasnym świetle jarzeniówek dostrzegłem gęsty, zbity tłum Azjatów siedzących na betonowej podłodze. Ich ciemne ślepia wpatrywały się we mnie, nie kryjąc zainteresowania. Z trudem znalazłem kawałek miejsca, by usiąść i wtopić się w krajobraz. Nie na długo.

Tajska gawiedź natychmiast mnie obsiadła. Każdy miał coś do powiedzenia, niestety w nieznanym mi języku. Wreszcie przez tłum dobiegł jakiś znajomy dźwięk. Ktoś mówił po angielsku...

Arnn był pół Koreańczykiem, pół Irańczykiem, a przede wszystkim ćpunem. Dostał się tu przez heroinę. A dokładniej przez dealera, który mu ją sprzedawał. Ten, złapany przez policję, zeznał, że to Arnn dostarczył mu towar. Jakakolwiek była prawda, teraz obu czekał ten sam los. Arnna aresztowano kilka dni temu, a ponieważ uzależnienie od heroiny było silniejsze niż wszystko inne, nawet w tej sytuacji musiał sobie jakoś radzić. Po kilku dniach sam miałem okazję zobaczyć jak. Narkotyk kupował od policjantów, oczywiście dużo drożej niż na ulicy. Prawdopodobnie była to ta sama heroina, którą konfiskowano aresztowanym.

Arnn mówił sporo, ja zaś tkwiłem w swojej paranoi. To, co usłyszałem o Pim, nadal nie docierało do mnie w całości. Przede wszystkim udusiłbym tę zdzirę gołymi rękami, gdyby było to tylko możliwe. Jak mogła mi coś takiego zrobić?

Przyglądałem się mojemu towarzyszowi, myśląc o tym wszystkim. W głowie zaś budziła się nieufność. Skąd mogłem wiedzieć, kim był ten koleś? Może to kolejny podstawiony szpicel. Teraz wszyscy wydawali się podejrzani.

Mimo totalnego zmęczenia natłok myśli nie dał mi tej nocy zasnąć. Leżałem w masie ciał. Klimat marcowej nocy, zaczynającej się pory upałów, przypominał saunę. Gęste powietrze skraplało się na twarzy, a płuca napełniały się kwaśną zupą. Przez przymknięte powieki wlewało się drgające światło dużego halogenu.

Następnego dnia zabrano mnie do znajomej sali. Spiętego kajdankami posadzono przy biurku, gdzie siedziało już kilku policjantów. Jeden pisał coś na maszynie. Po chwili dołączyła do nich Oak wraz z bardzo niespodziewanym gościem. Tym gościem był Jeff. Bez słowa podszedł do mnie na półmetrową odległość i wskazał palcem w moim kierunku. W tym samym momencie jeden z policjantów zrobił nam zdjęcie.

– Chcesz mieć pamiątkę, Jeff? – spytałem.

Nic nie odpowiedział. Odwrócił głowę, unikając mojego wzroku. Stał nieopodal, rozmawiając z Oak. Stukanie maszyny nie pozwoliło mi usłyszeć, o czym mówili. Nie trwało to długo. Jeff odszedł bez pożegnania, Oak zaś wróciła do biurka.

– Mogę się dowiedzieć, o co chodzi z tym zdjęciem? – zwróciłem się do niej.

– Pamiątka, jak powiedziałaś – zażartowała.

– A naprawdę?

– Zostałeś zatrzymany dzięki współpracy z DEA^[3], która czuwała nad operacją. Przekazali nam ciebie. Zdjęcie to potwierdzenie złożonego raportu. On wystarczy, by uznali nasze oskarżenie i wydali wyrok.

– A co z Pim?

– Zeznanie jednego agenta wystarczy. Słuchaj, jeśli chcesz się przyznać, masz szansę na złagodzenie wyroku. Zastanów się nad tym. Teraz zaprowadzą cię do celi, a ja skontaktuję się z twoją ambasadą.

Chociaż tyle – pomyślałem. Słowo „ambasada” zabrzmiało wyjątkowo miło. Przecież musi być jakiś sposób, by to wyjaśnić...

Duszna klatka przez ten czas w niczym się nie zmieniła. Na podłodze ludzka szarańcza jadła coś z małych metalowych misek. Arnn podał mi jedną. Był to ryż z kawałkami tajskiego omleta – ściętego jajka z dodatkiem przypraw. Mój pierwszy posiłek od wczorajszego ranka.

Jadłem, przyglądając się wyrytym na ścianie werseom. Większość była po tajsku, ale znalazłem też kilka innych języków, łącznie z wietnamskim i chińskim. Za to nic po angielsku.

Rozpoczęła się rutyna kolejnych dni. Raz dziennie, o godzinie 12, do wąskiego korytarza wprowadzano odwiedzających. Ludzie stali po prostu po drugiej stronie kraty i krzyczeli, tworząc kakofonię przedziwnych dźwięków. Po 15 minutach policja zamykała ten cyrk i następował względny spokój, czasem jedynie wzywano kogoś na przesłuchanie lub do klatki trafiał nowy, co przynosiło falę krótkiego ożywienia. Czekanie było naszym jedynym zajęciem. Jeśli ktoś się bardzo uparł, mógł wybrać się na spacer do odgradzonego małym murkiem kibla. W środku była dziura i wiadro z wodą. Oczywiście trzeba było mieć dużo szczęścia, by nie był on zajęty.



Przekonałem się trochę do Arnna i opowiedziałem mu swoją historię. Uśmiechnął się z politowaniem:

– To klasyczny przykład – po chwili kontynuował: – Wiesz, ja tu mieszkam już parę lat, a mam oczy i uszy szeroko otwarte. Słyszałem, a nawet widziałem masę sytuacji, gdy tajniacy „robili” takich naiwniaków jak ty. Oni z tego mają niezłą kasę: za schwytanie obcokrajowca i udowodnienie mu przemytu. Mają na to specjalne premie z budżetu DEA. Amerykanie nie żałują dolarów na walkę z narkotykami, wierz mi...

Gdy zabrano mnie z powrotem na przesłuchanie, oprócz stałej brygady z Oak na czele, w sali czekał też na mnie polski konsul.

Jego pierwsze słowa brzmiały:

– Coś ty zrobił, człowieku!

Po chwili rozwiął wszelkie moje nadzieje, tłumacząc swoje obowiązki w takich sytuacjach. Nie zdążyłem nawet opowiedzieć całej swojej wersji, gdy usłyszałem:

– Lepiej będzie, jeśli zaczniesz współpracować i się przyznasz. Z tego, co wiem, grozi ci kara śmierci. Oczywiście ja ci nie mogę doradzać. Skontaktuję się z twoją rodziną. Masz do nich jakiś numer?

– Jest w moim telefonie, razem z innymi rzeczami – wyjaśniłem. Oak powiedziała mi, że policja była już w hotelu, w którym się zatrzymałem, i zabrała moje bagaże.

– A czy mogę liczyć na jakąś pomoc prawną, na przykład adwokata? – spytałem.

– Tylko, jeśli twoja rodzina za to zapłaci. Zajrzę do ciebie jutro. Teraz mam masę innych spraw. – Po tych słowach spytał Oak o mój telefon. Okazało się, że komórka musi zostać na policji jako dowód. Pozwoliła jedynie na spisanie numeru. Reszta rzeczy znajdowała się w jakimś magazynie.

– Dobrze, odbiorę je następnym razem – to mówiąc, pożegnał się z policjantami i wyszedł.

Zostałem sam z zadającą nieskończoną ilość pytań Oak. Interesowało ich wszystko: co robiłem w Tajlandii, ile razy tu byłem, kogo znam...

Następnego dnia zamiast wizyty konsula spotkała mnie inna niespodzianka. Zaprowadzono mnie skutego do innej sali. Tam ujrzałem całą masę dziennikarzy. Posadzono mnie przy stole pokrytym tabletkami ecstazy. Rozbłysły flesze, a stojący wokół policjanci zaczęli coś silnie komentować.

Do celi wróciłem załamany. Gdy opowiedziałem o tym Arnowi, znów się roześmiał.

– Nie przejmuj się, oni muszą się pochwalić złapaniem białasa. Zresztą, robią to tu prawie z każdym.

Pan konsul pojawił się dwa dni później, przynosząc wieści od mojej siostry, do której dzwonił. Myśl o bliskich i o tym, jak muszą całą tę sytuację przeżywać, przyniosła pierwsze łzy. Sam już nie wiedziałem, czy rozczulam się bardziej nad swoim losem, czy nad tym, na co ich naraziłem.

Rozmowa nie trwała zbyt długo. Na pracownika ambasady czekały inne sprawy...

Minął ponad tydzień. Arnn został zabrany do sądu i dalej do Bambat – połączonego z aresztem więzienia dla przestępców narkotykowych. „Bambat” po tajsku oznacza odmieńca, szaleńca. Jak mi wyjaśnił, mnie czekało to samo po zakończeniu śledztwa.

– Zostaniesz przewieziony do większego aresztu, jak tylko skończymy i podpiszesz zeznania – powiedziała Oak następnego dnia.

Niedługo później pokazano mi sporą stertę maszynopisu. Wszystko po tajsku.

– To tylko zeznania potwierdzające twoją wersję. Jeśli je podpiszesz, masz szansę na złagodzenie kary – zapewniła mnie policjantka.

Następnego dnia spięto mnie w szeregu około dziesięciu osób. Wyszliśmy na dziedziniec, gdzie stała więźniarka przypominająca klatkę dla dzikich zwierząt. Widok słońca po ponad dwóch tygodniach w stęchłej, oświetlonej jedynie halogenem klatce był jak chwila w raju. Wpakowano nas szeregiem do środka i auto ruszyło. Powoli brnęliśmy przez zatłoczone ulice Bangkoku. Patrzyłem na świat, jakby był wspaniałym marzeniem sennym. Wszystko się rozmyło dopiero przed ogromnym budynkiem sądu Rachada.

^[3] DEA – Drug Enforcement Administration (Urząd do Walki z Narkotykami), amerykańska rządowa agencja utworzona w 1973 roku.

IV

Poczekalnia

Ciężarówka stanęła z tyłu wysokiego gmachu. Otworzyły się drzwi i grupa połączonych łańcuchem ludzi zaczęła wolno wytaczać się na zewnątrz. Pognano nas przez hol prosto w długi szereg tonących w półmroku klatek.

– Hey, you! – krzyknął wpychający mnie do jednej z brunatnych rezydencji strażnik. Na tym kończyła się jego znajomość angielskiego. Z półmroku wyłoniły się sylwetki siedzących na ziemi ludzi. Mieli na sobie drelichy w szaroburym kolorze, o krótkich rękawach i nogawkach. Ich gołe stopy były skute grubymi łańcuchami. Sam ten widok odebrał mi mowę. Zresztą i tak nie było do kogo się odezwać. Wszyscy w klatce wyglądali na Azjatów. Siadłem w jednym z wolnych kątów, by zapaść w wewnętrzny letarg. Po jakiejś godzinie klatka znowu się otworzyła.

– Hey, you! – usłyszałem znajomą formułę.

Ubrany w uniform koloru khaki facet machnął do mnie w przedziwny sposób. Jego gest bardziej przypominał odganianie.

– Znaków migowych też się tu trzeba uczyć od nowa – pomyślałem.

Wstałem, by podejść do drzwi. Azjata złapał mnie za ramię, dodając kilka niezrozumiałych komentarzy: „Leo, leo”...

Ruszyliśmy do końca korytarza i dalej, przez kolejne pomieszczenia, gdzie siedziało więcej ubranych w uniformy ludzi. Wreszcie stanęliśmy przed wejściem do windy. Tu strażnik wskazał na moje buty:

คำฟ้อง
สำเนาถูกต้อง

1A:9



คดีหมายเลขดำที่ 1291 บ./2547

ศาล อำเภอ

วันที่ เดือน มิถุนายน พุทธศักราช 2547

ความอาญา

ระหว่าง { พนักงานอัยการ สำนักงานอัยการสูงสุด (สำนักงานอัยการพิเศษที่เขตที่ 3) }
 นายมิเชล พอลลี (Pauli Michal) จำเลย ๗๖
 ฐานความผิด ปรักถ่วงเวลาความผิดแบบข้อหาฟ้อง

ซึ่งพนักงานสอบสวน กก.5 บก.ตด. บร.ปส ได้สอบสวนแล้ว
 ข้าพเจ้าพนักงานอัยการ สำนักงานอัยการพิเศษที่เขตที่ ๓ เขต 3
 ขอบันฟ้อง (๑) นายมิเชล พอลลี (Pauli Michal) จำเลย ๗๖
 (อายุ 32 ปี) (อาชีพ พนักงานเครื่องขุดดิน)

ตั้งบ้านเรือนอยู่บ้านเลขที่ ที่ถนน
 ตรอกหรือซอย
 ใกล้เคียง
 ตำบล
 อำเภอ โขง
 จังหวัด โฉงจืด ประเทศโปแลนด์
 เชื้อชาติ โปแลนด์
 สัญชาติ โปแลนด์

มีข้อความตามที่กล่าวต่อไปนี้
 ข้อ ๑ จำเลยนี้ได้บังอาจกระทำความผิดต่อกฎหมายหลายกรรมด้วยกัน กล่าวคือ

1.1 เมื่อวันที่ 27 ตุลาคม พ.ศ.2546 เวลากลางวัน จำเลยนี้ซึ่งเป็นผู้ต้องหา
 สัญชาติและเชื้อชาติโปแลนด์ ักอาศัยอยู่ที่ประเทศโปแลนด์ นอกราชอาณาจักรไทย ได้บังอาจนำเข้ามาใน

– Nii pay me daj. – Patrzyłem na niego baranim wzrokiem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

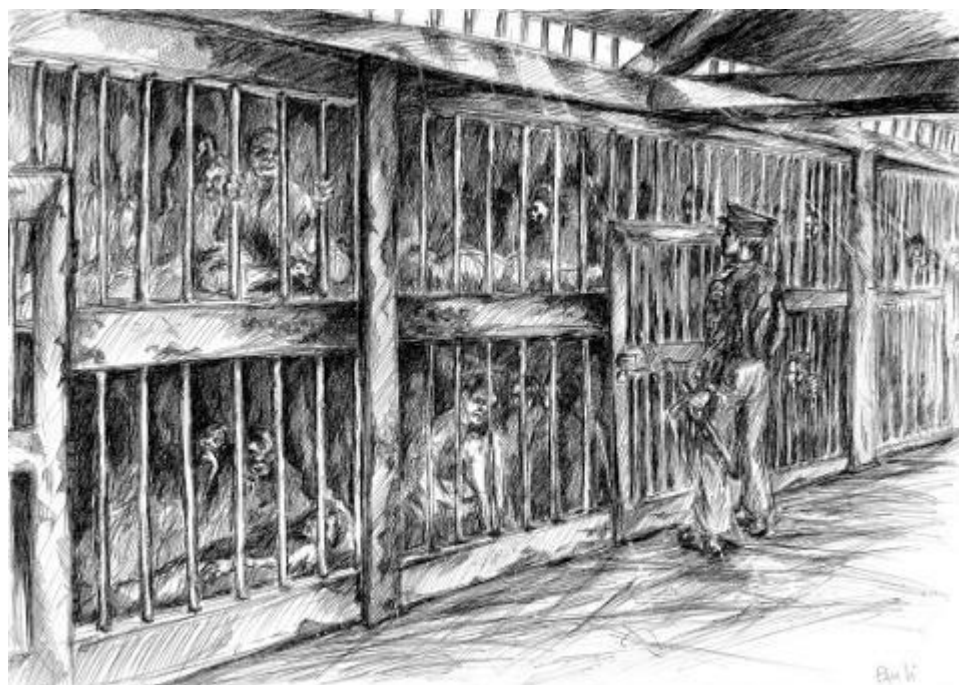
– Nii pay me daj... Koczajna? – powtarzał jak katarynka, rozbudowując swoją przemowę o kolejne niezrozumiałe słowa.

Mijały minuty. Pojawiło się kilku innych strażników. Otoczyli mnie jak stado hien. Sytuacja zaczynała być groteskowa. Naraz wszyscy zaczęli coś do mnie „kumkać”. Wreszcie podszedł jakiś bardziej rozzgnięty, mówiąc:

– Shoes, me daj.

Tyle mogłem pojąć! Chodziło im o buty. Kalambur zakończył się sukcesem, gdy zdjąłem je z nóg. Miałem jechać na górę bez butów. Niezbyt mi się podobała taka opcja, ale dalsza dyskusja nie wróżyła nic dobrego. Do windy wsiadłem już boso. Stanęliśmy na piątym piętrze. Kolejne korytarze były tym razem ładne, marmurowe, zdecydowanie różne od tych z klatkami. Podeszliśmy do okienka, gdzie po chwili wydano mi dokument. Znowu podpisałem wypełnione wężykami pismo. Miła Tajka, z nigdy nieopuszczającym twarzy uśmiechem, podała mi kopię. Stanowiła ona mój nowy dokument tożsamości, a zarazem bilet na dalszą podróż. Wróciliśmy tą samą drogą na dół. Na tym zakończono sprawy urzędowe. Po wyjściu z windy zacząłem szukać pozostawionego tam obuwia. Niestety, bezskutecznie – butów nie było już w miejscu, gdzie je zostawiłem. Spojrzałem na strażnika, pytając na migi o moją własność. Ten całkowicie mnie zignorował. To było „przejęcie”. Pchnął mnie mocno w kierunku klatek. Krzyknąłem na niego po angielsku. Zero reakcji. Nadal pchał mnie w tym samym kierunku. Wreszcie zacząłem go zwyczajnie wyzywać. Taj prawdopodobnie nic nie rozumiał. Wśród krzyków i szarpaniny trafiłem z powrotem do klatki. Zatrzasnęły się drzwi, a ja pożegnałem mojego opiekuna słowami: „You fucking thief”.

W celi nic się nie zmieniło. Osowiałe twarze przyglądały mi się z takim samym niezrozumieniem.



V

Witamy w Bambat

Autobus wypełnił się ludzką masą. Upchano nas jak szprotki, aż po kratę oddzielającą część dla

strażników. Znajdująca się na końcu pojazdu wygodna kabina mieściła duże fotele. Siedzieli tam strażnicy, a w ich rękach błyszczały lufy karabinów.

Stałem w tłumie. Unieruchomione kajdankami dłonie czyniły mnie całkowicie bezradnym. Nie byłem w stanie nawet złapać krat, by utrzymać równowagę. To jednak nie był problem numer jeden! Sytuacja nabrała piekielnego uroku, gdy moje gołe stopy dotknęły stalowej podłogi. W południowych godzinach stojąca na słońcu metalowa puszka nagrzewała się jak zostawiona na gazie patelnia. Czułem, jak spalona skóra moich nóg przywiera do perforowanego metalu. Pojazd szarpnął ostro, rozpoczynając swą mozolną podróż. Zbliżała się trzecia po południu – czas największych korków na gorących ulicach Miasta Aniołów. Po ponad godzinie autobus wreszcie skręcił w jakąś alejkę i po chwili ukazały się wieżyczki rozciągnięte na niekończącym się murze. Wypakowano nas wszystkich przed bramą i pognano dalej, wzdłuż labiryntu siatek, aż na niewielki plac. Rozpaloną słońcem przestrzeń otaczały wysokie mury. Tu zaczęło się przeszukiwanie.

Pozostałem na placu wraz z kilkoma nowo przybyłymi. Łatwo było nas odróżnić. Wszyscy mieli zapięte kajdanki zamiast założonych na nogi łańcuchów. Reszta zniknęła za kolejną bramą. Wkrótce pojawił się miejscowy strażnik. Mówił coś do towarzyszących nam Tajów. Trwało to chwilę, po czym wszyscy ruszyli za nim. Ja na końcu. Baraním pędem. Otworzyła się brama, za którą ujrzałem długą aleję. Po jej bokach widniały wejścia do kolejnych sekcji. Od razu skręciliśmy w prawo, w kierunku jednej z nich. Zaprowadzono nas do małego budynku. W środku stały dwa biurka zawalone dokumentami. Siedzący przy nich ludzie nie mieli na sobie żadnych uniformów.

Grupa, z którą tu trafiłem, usiadła na betonowej podłodze. Przez chwilę wahałem się, czy zrobić to samo, gdy strażnik zaczął coś ostro ujadać w moim kierunku. W tym samym momencie jeden z siedzących przy biurku przemówił po angielsku:

– Sit down!

Usiadłem w tej mało komfortowej pozycji, tak jak reszta. Po chwili ten sam koleś zawołał mnie, bym do niego podszedł. Siadłem na plastikowym taborecie, stojącym na wprost jego biurka.

– Welcome in Bamat, cha, cha, cha!... – rozpoczął.

Po krótkiej rozmowie dowiedziałem się, kim jest. Po tajsku nazywano ich „patczula” – to rodzaj funkcyjnego. Byli to więźniowie pracujący dla strażników. Zadaniem człowieka, z którym rozmawiałem, było wypełnienie moich formularzy i przydzielenie mnie do określonej sekcji.

– Dziś zostaniesz w tym bloku, ale jutro przeniesiemy cię do innego – powiedział.

– To znaczy gdzie? – spytałem niepewnie.

– Twoja sprawa jest poważna, więc zostaniesz przeniesiony do dziewiątki. To blok dla czekających na wysoki wyrok – dodał i zabrał się do pisania.

Gdy skończył, wyprowadzono mnie na zewnątrz. Cały blok zajmował przestrzeń nie większą od średniej wielkości boiska. W jego centrum stał budynek na wysokich filarach. W tej chwili miejsce pod filarami wypełniały szeregi ludzi, które powoli znikwały w małym wejściu prowadzącym na górę. Stałem w rogu niepewny, co robić, gdy jeden z funkcyjnych podszedł do mnie z aluminiową, powykrzywianą na wszystkie strony miską. Wyglądała, jakby ktoś używał jej za cel na strzelnicy.

– Kin kao – powiedział, podsuwając mi obiekt pełen brudnego ryżu pokrytego jakąś mazią. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem głodny. Zacząłem wybierać pokarm palcami, by po kilku chwilach poczuć jego odrażający smak.

– Musisz się przemóc! Jedz! – przemawiałem do siebie w myślach. Niewiele to jednak pomogło. To po prostu smakowało jak gówno. Odstawiłem miskę i wstałem, odchodząc na bok. Gdy spojrzałem ponownie w miejsce, gdzie został paskudny ryż, zobaczyłem dwa spore szczury. Podbiegły prosto do pokarmu, zupełnie niespłoszone moją obecnością. Dorwały się do jedzenia, łapczywie połykając kąski i wrywając je sobie nawzajem.

Kilku patczula zaprowadziło mnie do drzwi, w których jeszcze przed chwilą znikwały szeregi więźniów. Wewnętrzne schody prowadziły na piętro. Tam rozciągał się długi korytarz z umieszczonymi po bokach klatkami. W każdej celi znajdowała się drewniana nadbudowa, swego rodzaju półpiętro umożliwiające przetrzymywanie większej ilości osób. Kazano mi wejść do jednej z klatek.

To miejsce było jeszcze gorsze niż areszt. Z trudem znalazłem kawałek wolnej przestrzeni. Dostałem brudny, szary koc, który mogłem położyć na betonowej podłodze jako posłanie. Było tu tak gorąco i duszno, że nie potrzebowałem nic do przykrycia. Pot ściekał ze mnie, jakbym stał pod prysznicem. Poczułem totalne zmęczenie. Zamknąłem oczy, by z ulgą przyjąć nadchodzący sen.

Zdawało mi się, że minęła zaledwie chwila, gdy nadszedł ranek. Gwizdy i nawoływania mieszały się z niecierpliwym wyczekiwaniem mieszkańców klatek. Jeszcze tylko szcęk zamka i tłum ruszył szybko w dół, na budzący się do życia dziedziniec.

Wszyscy spiechli do koryta napełnionego wodą. Ten betonowy obiekt stał przy murze po drugiej stronie placu i był jedynym miejscem służącym do mycia. W środku chlupotała jasnobrązowa ciecz przypominająca kawę z mlekiem. Tajowie nabierali ją za pomocą małych plastikowych misek, po czym wylewali na siebie. Nie było innego sposobu. Po chwili sam przepychałem się, by nabrać trochę błotnistej cieczy.

Poranna „toaleta” trwała około godziny. Dobiegała już ósma i znów rozległy się gwizdy i nawoływania z umieszczonych na słupach megafonów. Zbliżał się czas apelu, a po nim hymn, buddyjska mantra i przemówienia. Wszyscy więźniowie musieli ustawić się w szeregach, zgodnie z numerami klatek, i przez ponad godzinę uczestniczyć w tym wydarzeniu. Gdy było już po wszystkim, podszedł do mnie ten sam funkcyjny, który poprzedniego dnia wypisywał formularze.

– Zbieraj się, za chwilę cię przenoszą – powiedział, szczerząc swe białe uzębienie.

Z bloku wyprowadziło mnie kilku innych patczula.

Szliśmy prosto pośród murów i zasieków oddzielających kolejne sekcje. Po jakichś pięciuset metrach skręciliśmy w prawo. Tu zobaczyłem coś, co przypominało mały zakład kowalski, tylko zamiast podków wisiała tu masa stalowych łańcuchów. Skojarzyłem je z tym, co widziałem już na nogach wielu innych, i nagle dotarł do mnie mrozący krew w żyłach fakt: oni chcą mi je założyć! W środku siedział koleś o wyglądzie małego diabła. Jego twarz pokrywała masa zmarszczek, a ciemna skóra sprawiała wrażenie brudnej od sadzy, a może i rzeczywiście taka była. Uśmiechał się, ukazując dwa ostatnie zęby.

– Nie ma mowy! – pomyślałem w duchu.

Czułem, jak z każdym krokiem zapadam się w coraz większe piekło. Nie było jednak wyjścia. Posadzono mnie naprzeciw maszyny przypominającej kształtem dziadka do orzechów. Tyle że na świecie nie ma tak dużych orzechów! Tak naprawdę urządzenie służyło do zawijania stali na nodze. Jego długi przegub pozwalał na uzyskanie wystarczającej siły, by stal ugięła się w oczekiwaną formę koła. Moja noga wylądowała wewnątrz tej obręczy, a stal zaczęła nabierać pożądanego kształtu. Czułem nacisk, który przy złym nachyleniu bez trudu mógł złamać mi kość. Gdy zostałem już zaobrączkowany w ten ciekawy sposób, ciemnoskóry kowal wstał od urządzenia i zaprosił mnie gestem na następne stanowisko. Była to spawarka. Zagięte obręcze musiały zostać zaspawane, bym przypadkiem nie znalazł jakiegoś magicznego sposobu, nie odgiął ich sobie jednym palcem, po czym odrunął ponad murami tego resortu. Diabełek założył jakieś zdezelowane okulary przeciwsłoneczne, przez co stał się jeszcze bardziej demoniczny, po czym odpalił swą piekielną maszynę miotającą parzące iskry i przyssał się do moich obręczy. W ciągu sekundy metal stał się gorący i poczułem przenikliwy ból. Nie trwało to na szczęście długo i po chwili z radością odkryłem, że jakimś cudem moje nogi nie są spalonymi na węgiel kikutami.

– Leo, leo – zaintonował jeden z towarzyszących mi funkcyjnych. Jak się okazało, słowo to oznaczało po prostu „szybciej”. Poszliśmy dalej. Teraz wlokłem się z dodatkową ilością girland oplatających moje nogi, co chwilę słysząc to ich „leo, leo”. W końcu, po kolejnych trzystu metrach, dotarliśmy pod bramy sekcji dziewiątej.



VI

Dan 9

Dan 9 to przedostatnia sekcja w więzieniu Bambat. Za nią był już tylko blok dziesiąty. Na pierwszy rzut oka jej układ nie różnił się zbytnio od miejsca, gdzie byłem wcześniej. Jedyne mur wydawał się wyższy i oddzielony dodatkową ilością zasieków.

W centrum znajdował się betonowy plac oraz drugi podobny budynek na wysokich filarach. Jego podcienie stanowiły przedłużenie placu, a zarazem jedyne schronienie przed słońcem lub deszczem. Zgromadzono w tym miejscu ponad tysiąc osób. Siedzieli w grupach, sklejjąc jakieś papierowe elementy. Dalej przy murze stało betonowe koryto do mycia, które widziałem już rano. Zatrzymano mnie przy głównej bramie. Tu – kolejna kontrola. Z daleka zobaczyłem wyrastające spośród tajskiej masy niewielkie grupy osób różnych nacji, a wśród nich również białasów. Podciągnąłem łańcuchy, które nieźle już obtarły mi ścięgna, po czym ruszyłem do wnętrza miejsca przypominającego zatłoczone gorące terrarium. Średniego wzrostu biały gość wraz z drugim, wyższym i młodszym, stanął wprost przede mną.

– Mate, where are you from? – zapytał starszy.

Steve:

Angol w średnim wieku, był zawodowym nurkiem. Pływał wraz z ekipą poszukującą wraków głównie na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. Kilka razy nawet udało im się znaleźć zatopione żaglowce kompanii wschodnio-indyjskiej, a jeden, nad którym pracowali, znajdował się w Zatoce Tajskiej. Tak oto zaczęła się przygoda Stevena z Tajlandią. Po kilku latach, gdy stracił pracę, postanowił zostać w Bangkoku i zająć się drobnymi interesami. W ten sposób wpłatał się w narkotyki. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Został wystawiony przez jakiegoś tajskiego wspólnika i trafił tu kilka miesięcy temu.

Peter:

Australijczyk, młodszy ode mnie o jakieś pięć lat. Jego słabością była heroina. Uzależnienie sprowadziło go na ścieżkę prowadzącą do hotelu w Bangkoku. Miał tu odebrać kilkaset gramów zapakowanych w prezerwatywy, wprost do połknięcia i przewiezienia do Australii. Gdy zaczął się przygotowywać, do pokoju wpadła policja i jego bilet powrotny został na jakiś czas unieważniony...

Pokazali mi swoje miejsce. Tuż przy jednym z filarów kilka zbitych desek służyło za stół. Siedziało tu około dziesięciu białych. Dalej Chińczycy, Nigeryjczycy, Pakistańczycy... małe punkciki wśród wszędobylskich Tajów koczujących głównie w grupach przy jakiejś ręcznej pracy: sklejjaniu torebek lub papierowych kwiatów.

Wśród białych panowała raczej grobowa atmosfera. Nikt też specjalnie się nie wysiłał, by się przywitać lub zaprosić, żebym z nimi usiadł. Widać jednak było, że są zainteresowani nowo przybyłym i z czasem, od słowa do słowa, nawiązaliśmy kontakt. Wkrótce poznałem całą załogę tej osobliwej tratwy. Po prawej siedział Żyd o imieniu Nissan. Jego pociągłą twarz wyróżniały wiecznie wykrzywione w niesmaku usta.

Nissan:

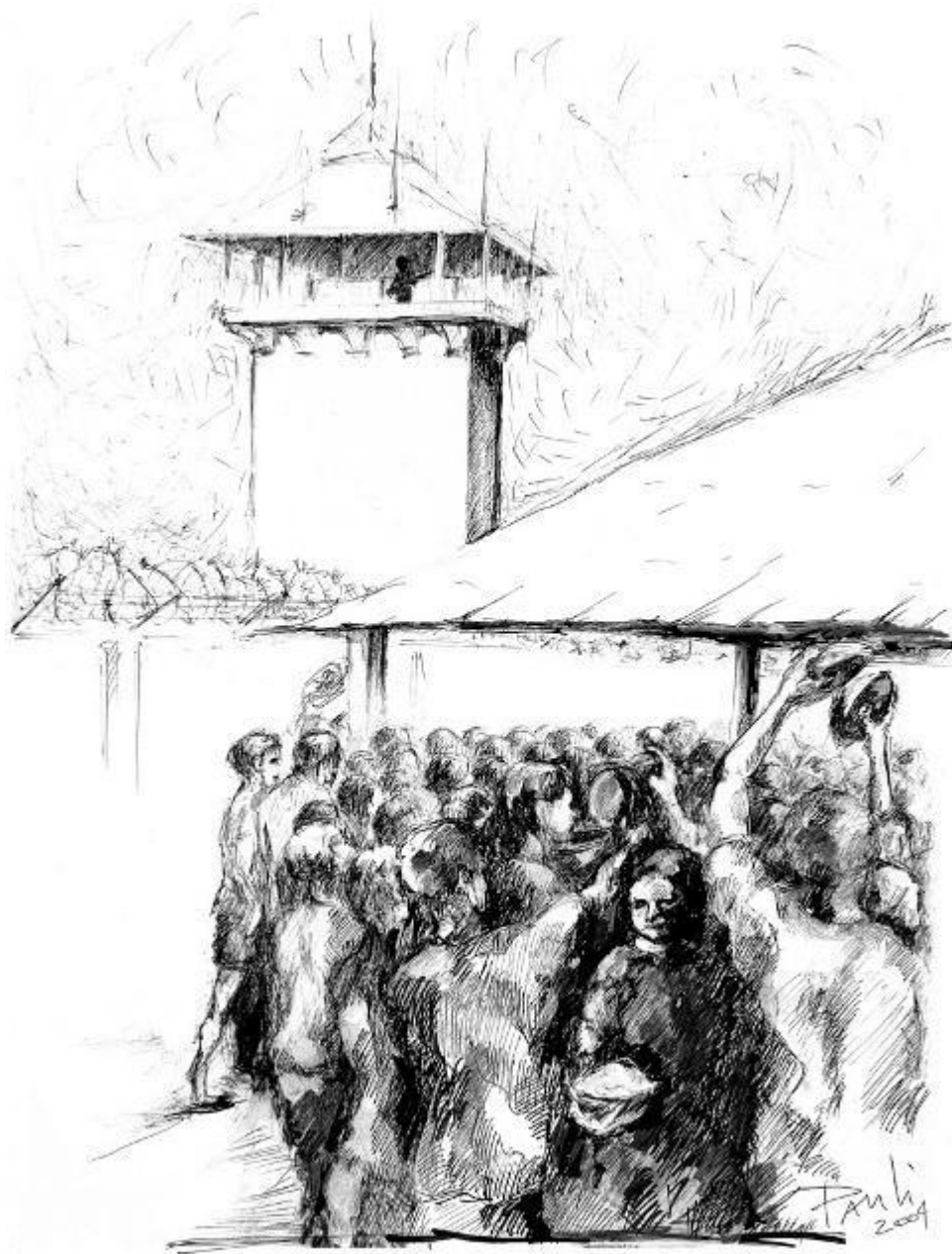
Koleżka w średnim wieku. Pochodził z Izraela. Sytuacja materialna i zainteresowania umożliwiały mu ciągłe podróżowanie, głównie w miejsca takie jak Ibiza. Tym razem wyruszył na Koh Samui i dalej Koh Pha Ngan, gdzie zamierzał się dobrze bawić podczas Full Moon Party.

Traf chciał, że w jego piance do golenia zamiast kremu głupi skaner znalazł tabletki, które okazały się być ecstasy... Od tamtej pory jego świat runął. Siedział w tym miejscu już ponad rok, czekając na wyrok, a z jego ust można było usłyszeć tylko przepełnione pesymizmem narzekanie.

Za nim siedział Alan, skoncentrowany całkowicie na małej puszcze sardynek, którą mieszał w misce z brudnym ryżem. Taki rarytas udało mu się dostać podczas wizyty konsularnej.

Alan:

Ten zdecydowanie „wystrzelony w kosmos” Anglik urodził się w Manchesterze. Później przeniósł się do Amsterdamu, gdzie prowadził bujne życie, na co wskazywał opłakany stan jego uzębienia. A jeszcze później przyszły chude lata i Alan zdecydował się przyjąć zaproponowaną mu robotę. Jego zadaniem było przewieźć z Amsterdamu 10 000 pigułek ecstasy i zostawić je w Bangkoku. Tabletki były sprytnie wszyte na całej długości jego spodni. Wszystko zostało dograne do ostatnich szczegółów przez jego zleceniodawców. Plan zaczął się sypać, gdy Alan dotarł na Don Muang – lotnisko w Bangkoku. W czasie oczekiwania na bagaż wszystko wydało mu się podejrzane. Jego walizka powinna już być, tymczasem z taśmy ciągle nic nie wyjeżdżało. W końcu postanowił ją porzucić, by tylko wydostać się z lotniska. Było już późne popołudnie. Alan wsiadł do taksówki i pokazał kierowcy adres hotelu, gdzie miał się zatrzymać. Już na miejscu spotkała go następna niemiła niespodzianka. Okazało się, że wszystkie pokoje są zarezerwowane. Paranoja zaczęła przybierać na sile, gdy przy próbie zatelefonowania pod numer umówionego odbiorcy nikt nie podniósł słuchawki. Tego było już za wiele! Spokojnie myślącemu człowiekowi wydałoby się w takiej sytuacji logiczne, by wynająć pokój w innym hotelu i przeczekać jakiś czas, a potem spróbować zadzwonić ponownie. Taka myśl nie wpadła mu jednak do głowy. Rozbieganym wzrokiem znalazł kolorowy neon baru i natychmiast udał się w jego kierunku.



Tam, po kilku głębszych, uspokoił skołataną nerwy. Uśmiechnięta od ucha do ucha para siedzących obok Tajów sprowokowała rozmowę. Miła pogawędka z nowo poznanymi zamieniła się w dobrą zabawę. Wreszcie Alan zdecydował się poczęstować towarzystwo znajdującymi się w jego magicznych spodniach pigułkami. Po kilku godzinach pisał już po nocnym Bangkoku, oczywiście bez koszulki, bo atmosfera była naprawdę gorąca i rozluźniająca. Nie spodobało się to jednemu z policjantów, jako że w Tajlandii takie obnażanie się w miejscach publicznych nie jest mile widziane. Gdy podszedł do Alana, by zwrócić mu uwagę, ten natychmiast przypomniał sobie o spodniach pełnych pigułek. Przez głowę przebiegł przerażający impuls, a nogi same zaczęły uciekać. Zaczął się pościg i po chwili Alan był już na posterunku, gdzie odkryto całą tajemniczą zawartość jego portek. Na pytanie, skąd to wziął, bez namysłu odpowiedział, że przywiózł towar z Holandii. A to oznaczało import!

Teraz Alan miał już inne problemy, związane bardziej z tym, skąd tu wziąć nową puszkę sardynek, niż z wyborem hotelu...

Wśród Tajów zapanowało niesamowite ożywienie, gdy na plac wjechał wózek wypchany dużymi kotłami. Tłum rzucił się w tym kierunku, otaczając miejsce, gdzie je wyładowano. Kilku strażników wraz z funkcyjnymi okładało razami mniej pokornych. Nissan spojrział na mnie i przez zaciśnięte zęby wycedził:

– Shit food came already.

Peter podał mi jakąś miskę, rzucając:

– Help yourself.

Wszyscy ruszyli w stronę pokarmu...

Tego samego dnia poznałem jeszcze miejsce, gdzie mogłem za kilka paczek fajek zorganizować sobie locker¹⁴¹ wielkości pudełka na buty. Na koniec wręczono mi brązowy drelich z dużym cyfrowym nadrukiem, który miałem nosić na co dzień. Około 14.30 zaczął się kolejny apel, po czym długie kolumny ruszyły na górę. To miejsce różniło się od klatek z bloku przyjęć brakiem drewnianych półpięter, przez co wydało się mniej klaustrofobiczne. Niemniej jednak w każdej celi było ponad 50 osób. Panował totalny ścisk i by dostać miejsce leżące, musiałem obiecać jednemu z Tajów siedem paczek papierosów. W załatwieniu sprawy pomógł mi Irańczyk o imieniu Reza.

Reza:

Zaraz po rewolucji islamskiej uciekł z Iranu, by ostatecznie zakotwiczyć w Tokio. Tam żył sobie spokojnie i pracował, aż do dnia, gdy postanowił odwiedzić kumpla w Bangkoku. Spotkali się na lotnisku, z którego kolega zabrał go do miasta. Pech chciał, że znajomy Rezy dorabiał sobie, sprzedając marihuanę. Tego dnia miał jakąś umówioną transakcję. Wymiana miała się odbyć niedaleko lotniska, więc – wyjeżdżając po przyjaciela – postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wracając do centrum, zatrzymał się przed pewnym domem i poprosił Rezę, by zaczekał na niego chwilę. Po kilku minutach powrócił, ale już w kajdankach. Rezę również aresztowano. Podczas rozprawy kolega przyjął całą winę na siebie, zeznając, iż jego towarzysz nie miał o niczym pojęcia. Nie zaważyło to jednak na wyroku. Obaj dostali podobne...

Leżałem na szarym kocu zakupionym wraz z miejscem do spania. Miało ono jakieś 50 centymetrów szerokości, które oddziaływały mnie od innych osobników. Po jednej stronie leżał Reza, po drugiej nieznany mi bliżej Taj. Jeśli chodzi o obcokrajowców, to oprócz mnie i Rezy w tej klatce znajdowało się również dwóch Nigeryjczyków: Alhagule i Samuel. Obaj aresztowani za kokainę. Reszta podobnych do nas przybyszów była rozszkana pośród innych cel. Takie były zasady. W jednej klatce nie mogło być nas za dużo. Strażnicy starali się trzymać obcokrajowców w jak największej separacji. Indoktrynacja w tym miejscu miała jeden cel – zrobić z człowieka kolejną kurę hodowlaną siedzącą cicho w klatce jak najtańszym kosztem, a w dzień wykonującą niewolniczą pracę, na której mogło zarabiać więzienie. Tajowie za codzienne osiem godzin

różnych ręcznych prac dostawali raz w tygodniu jedno gotowane jajko oraz chińską zupkę – nazywaną tu „mama”. Z nami było trudniej. Buntowaliśmy się wspólnie za każdym razem, gdy próbowano nas zmusić do pracy. Nie było więc szans, by zamknęli do karceru naraz ponad 20 osób z zagranicy.

Poza tym istniały jeszcze ambasady, których władze więzienia trochę się obawiały. Choć zazwyczaj dyplomaci twierdzili, że nie mogą nic poradzić na notoryczne łamanie praw człowieka. Ignorowanie nas i naszych problemów było naturalne. W końcu byliśmy przestępcami, a ambasada zajmuje się podtrzymywaniem dobrych kontaktów między krajami, a nie toczeniem wojny o kolejnych dealerów czy narkomanów. Zawsze jednak konsulowie jakoś wyrażali swoje niezadowolenie. A to wiązało się z dodatkowymi problemami w więziennej biurokracji.

W klatce panował nieznośny zaduch. Mijały kolejne godziny. Z nadejściem nocy do świateł wiecznie jarzących się świetlówek zaczęły lgnąć gekony. Te małe jaszczurki polowały na wszechobecne tu komary i inne równie liczne owady. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem swoiste łowy. Niektórzy z Tajów czatowali przy świetle, trzymając w rękach powiązane ze sobą pęki małych gumek recepturek. Jeden z nich właśnie naciągnął solidnie gumę i wystrzelił, trafiając prosto w małą jaszczurkę. Ta odpadła od ściany, spadając drętwo na ziemię.

– Oni je jedzą – powiedział leżący obok Reza.

Kolejne dni minęły na powolnym poznawaniu otoczenia i próbach przystosowania się do panujących tu zasad. Wszystko wydawało się jednym wielkim niekończącym się koszmarem. Najgorzej było ze zdobyciem jedzenia. Okazało się, że można załatwić coś w miarę normalnego, różniącego się od tych ostrych pomyj wydawanych dwa razy dziennie. Ale na to potrzebne były pieniądze. Tych zaś w ogóle nie miałem. Kasę zabrano mi na policji łącznie z większością sprzętów, jak aparat czy telefon. Podczas kolejnych wizyt ambasady dowiedziałem się, że niewiele udało się odzyskać. Pan konsul odebrał mój paszport i prawie pusty plecak. Nie było sensu drążyć tematu. Wiadomo – ukradli co się dało, tak było tu wszędzie. Musiałem więc czekać na pierwszą wizytę ambasadora, by poprosić o jakieś pieniądze.

Minęły już prawie dwa tygodnie od mojego przybycia. Siedziałem jak co dzień obok tratwy, rozmawiając z Johnem i Japończykiem Tattoo. John był Anglikiem od wielu lat mieszkającym w Tajlandii. Miał swój własny dom na Koh Samui i zajmował się głównie nieruchomościami. Miał też słabość do dragów, od czasu do czasu lubił wciągnąć to czy owo, a dodatkowo zdarzało mu się pośredniczyć w różnych mało legalnych transakcjach.

Pechowym okazał się interes zaproponowany jednemu z jego znajomych – Toniemu. Chodziło o przewiezienie pół kilograma heroiny z Chiang Mai do Bangkoku. Tony zawałił sprawę swoją skłonnością do alkoholu. Upił się po drodze i zasnął na tylnym siedzeniu autobusu. Obudzili go policjanci, których wezwał kierowca po dotarciu na ostatni przystanek, kiedy nie mógł się pozbyć śpiącego faranga^[5]. Tony, wybudzony ze snu, na widok mundurowych wpadł w panikę i ruszył do ucieczki. Niestety niezbyt skutecznej. Złapano go natychmiast. W plecaku znaleziono heroinę i tak właśnie wylądował na policji. W trakcie przesłuchań wydał Johna i podał jego adres. Następnego dnia policja wtargnęła do domu na Koh Samui, gdzie John mieszkał wraz ze swoją tajską dziewczyną. Zawsze podkreślał, ile mieli szczęścia, że ona właśnie

wyjechała, by odwiedzić rodziców. Inaczej skończyłaby również w więzieniu. (To była całkiem normalna procedura w tajskim systemie sprawiedliwości. Często zdarzało się, że aresztowano i skazywano całe rodziny, gdy któryś z domowników miał coś wspólnego z narkotykami). Niebawem spodziewali się dziecka, a los urodzonych w więzieniu nie należał do zbyt ciekawych. Matka mogła je mieć przy sobie tylko do drugiego roku życia. Później dziecko oddawano rodzinie, a jeśli żadnej nie było, co zdarzało się często, zabierano je do sierocińca. Wyroki za narkotyki oznaczały w najlepszym wypadku wiele lat więzienia. Szanse, by dziecko mogło jeszcze kiedykolwiek zobaczyć swoją matkę, były więc marne.

Nie mieściło mi się w głowie, jak coś takiego jest możliwe w kraju uważającym się za religijny i szczerzącym się przestrzeganiem zasad wynikających z nauk Buddy.

Wracając zaś do Johna, to oczywiście po tym wydarzeniu i wylądowaniu w Bambat nie był on specjalnym fanem swojego współnika Toniego. Ten znajdował się na szczęście w innym bloku, więc nie widywali się prawie w ogóle.

Tattoo natomiast był heroinistą. Któregoś dnia szprycował się z kumplem w miejscu, które wynajmował. Coś musiało być nie tak z towarem lub tamten po prostu przedawkował. Jakkolwiek było, skończyło się śmiercią kolegi. Spanikowany Tattoo, nie bardzo wiedząc, co robić, zadzwonił natychmiast na pogotowie. Karetka przyjechała, by stwierdzić zgon, a towarzysząca jej policja aresztowała Tattoo. Dostał rok za morderstwo oraz 25 lat za posiadanie heroiny.

Naszą rozmowę przerwały dziwnie znajome słowa wypowiedane przez głośniki: „Miczun Polli ma yem ya satantud”. „Miczun Polli” było tajską transformacją mojego imienia i nazwiska, a reszta oznaczała wizytę kogoś z ambasady.

Sala wizyt dla przedstawicieli ambasad wyglądała niesamowicie schludnie w porównaniu z resztą miejsc w tej instytucji. Na ławce siedziało dwóch białych, zwróconych twarzą do kurtyny z krat i pleksiglasu. Za tą barierą znajdowała się część dla odwiedzających, obecnie pusta. Mężczyźni okazali się Polakami o imionach Tomek i Paweł. Konsul wspomniał mi o nich podczas rozmowy na posterunku. Oprócz mnie byli to jedyni rodacy mający nieszczęście przebywać za murami tajskich więzień. Trafili tu za przemyt haszyszu, który przewozili z Nepalu do Szwajcarii. Źle się złożyło, że tranzyt zahaczył o Bangkok. Koleś, który sprzedał im haszysz, zadenucjował ich służbom granicznym w Katmandu za dodatkową nagrodę. A te, wiedząc, że lot planowany jest właśnie przez Bangkok, odsprzedały informację Tajom. Tak więc, mimo iż chłopaki nie planowali odwiedzać Miasta Aniołów, wyciągnięto ich z tranzytu na terytorium Tajlandii i oskarżono o import dziesięciu kilogramów haszyszu. Zostali skazani na siedem lat, a Tajski NSD (Narcotics Suppression Division) mógł pochwalić się kolejnym sukcesem.

Słuchałem ich opowieści, gdy po drugiej stronie krat pojawił się konsul. Ten sam niewysoki człowiek o zdecydowanej nadwadze i twarzy, która zdradzała, że nie stroni od kieliszka. Poznałem go już na posterunku. Powitał nas serdecznie, ocierając jednocześnie spocone czoło. Zaczął od rozmowy z chłopakami. Byli tu już ponad dwa lata i mieli sporo problemów. Dyskusja przebiegała dość nerwowo. Jak mogłem się domyślić, nie mogli liczyć na wiele. Wreszcie konsul zwrócił się do mnie. Przez niewielkie otworki w pleksiglasie z pospiesznej i niewyraźnej mowy konsula nie wszystko dało się wylapać. Dotarło do mnie, że

ma cały czas kontakt z moją rodziną. Później zaś zaczął wspominać o adwokacie i nieprzyznawaniu się do winy, co całkiem zbiło mnie z tropu, gdyż ten sam koleś jeszcze dwa tygodnie temu dawał mi zupełnie inne rady.

– Dobra, muszę lecieć, masę innych spraw czeka – zakończył, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony, jakby bał się, że mogą go tu z nami zostawić. Znow wytarł spocone czoło. Po czym dodał:

– Wpłaciłem tu na konto pieniądze od twojej rodziny, to sobie będziesz radził. No to cześć – to mówiąc, opuścił pospiesznie pomieszczenie.

– Cholera, z nim zawsze to samo – skomentował słowa konsula jeden z siedzących obok Polaków.

Nie było czasu, by porozmawiać w szczegółach o naszych sprawach. Funkcyjni natychmiast zaczęli nalegać na powrót. Wyprowadzono nas przez labirynt zasieków. Po drodze minęliśmy wózek wypełniony kotłami. Ciągnęło go dwóch tajskich więźniów. Zajechało z niego czymś, czego nie da się opisać.

– No to miłych wakacji – zażartował z sarkazmem Tomek.

– Odezwiij się, jakbyś czegoś potrzebował. Możesz dać krótką wiadomość tym, co wożą żarcie, albo przekazać ją jakoś przez szpital. Za paczkę fajek przemycą ją do naszego bloku – dodał Paweł.

– OK, dzięki.

Tak się rozstaliśmy. Ich blok miał numer 5, ja musiałem wlec się dalej do dziewiątki.

Po kilku dniach wezwano mnie, bym podpisał odbiór 2000 bathów^[6]. Była to suma zostawiona przez konsula. Teraz mogłem wreszcie kupić coś do jedzenia, ponieważ tego, co tu dawano za darmo, nie można było określić takim mianem. Lista dostępnych rzeczy była dość krótka: podstawowe środki higieniczne, ryż w kilku rodzajach oraz tajskie słodycze.

Najlepsze jednak okazało się to, że po złożeniu zamówienia, wypełnionego oczywiście po tajsku, trzeba było czekać cztery dni. Tyle trwał cały proces. Posiadanie pieniędzy na koncie nie pomogło mi więc natychmiast. Czekałem przepisowe cztery doby, marząc o zamówionym „khopad kao”, czyli ryżu z kawałkami kurczaka. Wreszcie ostatniego dnia na plac wjechał wózek, na którym znajdowało się i moje zamówienie. Z trudem przepchałem się przez tłum, by odebrać moją własność. Chwila, w której mi się to udało, była najszcześniejszą, odkąd tu dotarłem. Od tego momentu musiałem jedynie pamiętać o codziennym wypełnianiu kwitów.

Fakt, że zamówienia składało się cztery dni do przodu, nie miał większego znaczenia, gdyż menu i tak się nie zmieniało. Większym problemem była płynność finansowa. Sprzedawane przez strażników żarcie było przynajmniej dwa razy droższe niż to samo za murami. Jadanie w tej swoistej restauracji było więc stosunkowo drogie, a gdy skończyły się pieniądze, pozostawało zacisnąć pasa i czekać na następną wizytę ambasady i gotówkę od bliskich.

Większość białych nie miała takiego problemu. Anglicy, Holendrzy czy Niemcy dostawali zapomogi od swoich ambasad. Było to bezpłatne świadczenie socjalne wystarczające na kilka miesięcy. Ja o wszystko musiałem prosić bliskich. Byli też jednak tacy jak Tattoo. Japończyk nie miał rodziny, a jego – wydawałoby się – bogaty kraj miał go gdzieś. Na szczęście traktowano go trochę inaczej niż większość okolicznych mieszkańców Azji. Birmańczycy, Malezyjczycy czy Laotańczycy nie mieli lekko. Wykorzystywano ich jeszcze bardziej niż miejscowych Tajów. Wszyscy wykonywali przymusowe prace. Tattoo zaś miał czas, by zadbać o siebie. Wykonywał drobne roboty: pranie i pilnowanie ciuchów Steve’a i Petera. Ci zaś płacili mu jedzeniem.

Przyszedł kwiecień, a wraz z nim mijał pierwszy miesiąc mojego tutaj pobytu. Nadal żadnych wieści z domu. Pozostawało czekać na ambasadę, która mogła się zjawić w każdej chwili. I tak oto każdy dzień, od poranka poczynając, wypełnił się wyczekiwaniem...

Choć była to pora gorąca i relatywnie sucha, któregoś rana spadł deszcz. Strugi wody wylewały się na plac, jakby ktoś na górze otworzył ogromną tamę. W ciągu kilku chwil podwórce wypełniło się wodą, a po kilku godzinach brodziliśmy w niej już po kostki. Widziałem to już wiele razy, siedząc sobie bezpiecznie w hotelu lub w bungalowie na palach. Tymczasem tutaj takie wydarzenie zaczęło przybierać formę kataklizmu. Deszczowy przyływ mieszał się ze ściekami z biegnących wokół muru kanałów i wtedy dopiero zaczynało się robić ciekawie. Po południu na szczęście przestało padać. Był to jedynie przedsmak pory monsunowej, która miała się zacząć w okolicach lipca. Gdy woda trochę opadła, zobaczyłem Tajów ganiających za niemrawo poruszającymi się dużymi karaluchami. Owady wymyło z różnych kątów i lockerów, i teraz, posklejane, miały problem z szybkim przemieszczaniem się. Nie trzeba było się długo zastanawiać, by stwierdzić, że posłużą za dodatkowe źródło protein...

^[4] Locker – skrzynka pełniąca funkcję schowka.

^[5] Farang – tajskie określenie mieszkańców Zachodu.

^[6] Bath (bat tajski, THB) – tajska waluta; 1 bath to niecałe 10 groszy polskich.

VII

Odwiedziny

W pierwszych dniach maja spotkała mnie niesamowita niespodzianka. Zostałem wezwany na wizytę i ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu po drugiej stronie gęstej kraty ujrzałem mojego kolegę Tomka. Przyjechał po konsultacji z moją rodziną i dzięki ich pomocy, by rozpoznać sytuację i spróbować mi jakoś pomóc. Przez 15 minut usłyszałem sporo słów, które dały mi nadzieję.

Wracając do bloku, a nawet jeszcze przez długi czas potem, byłem wciąż jak w transie. Wiadomości od mojej rodziny i przyjaciół, dostarczone w pigułce po tak długim braku jakichkolwiek wieści ze świata, rozkwitały teraz w mojej wyobraźni, tworząc bujny gąszcz,

w którym nie bardzo mogłem się odnaleźć.

Tomek, dzięki pomocy ambasady, przyszedł na wizytę również następnego dnia. (Normalnie nie było to możliwe, bo miałem prawo tylko do jednej piętnastominutowej wizyty tygodniowo). Znowu mnóstwo informacji. W skrócie. O wszystkim. Relacje z różnych przedsięwzięć znajomych. Wreszcie – o zbliżającym się procesie. Za kilka dni miała się rozpocząć moja rozprawa. Wiedziałem to od pana konsula, choć dokładny dzień nie był mi jeszcze znany. Tu, w więzieniu, nikt nie zadawał sobie trudu, by uprzedzać ludzi o takich sprawach. Po prostu któregoś ranka wzywano cię i, jeśli miałeś odrobinę szczęścia, informowano o co chodzi, lub też nie – i wtedy szło się na rozprawę całkiem w ciemno. Strażnicy wychodzili z założenia, że więźniowi i tak wszystko jedno, kto i dokąd go zabiera. Takie same praktyki stosowano z jeszcze mniej „kapującymi” obcokrajowcami.

Z Tomkiem spotkaliśmy się ponownie kilka dni później, ale tym razem już w sądzie. A dokładnie na parterze sądu. Ja wylądowałem w jednej z tych samych klatek, które już odwiedzałem podczas transferu do więzienia. On pojawił się w holu, od którego oddzielały nas dwa rzędy solidnych, brunatno-rdzawych krat. Był to dystans około sześciu kroków. Pozostawało krzyczeć do siebie, by się porozumieć. Dodatkowo po obu stronach stała masa ludzi robiących to samo, co ostatecznie tworzyło morze niezrozumiałych dźwięków.

Tomek nie był sam. Przyprowadził ze sobą tajskiego adwokata, poleconego przez pana konsula. Facet miał na imię Sumsak i już od początku czułem, że jest jakiś „lewy”.

Po kilkunastu minutach rozmowy mieliśmy obaj totalnie zdarte gardła. Tomek tłumaczył mi, że bym podpisał pełnomocnictwo dla Sumsaka. Adwokat był znajomym konsula, co miało niby gwarantować dobre stosunki z ambasadą i skłonić ich do jakiejś pomocy.

Przez ten krótki czas spędzony za kratkami zdążyłem już co nieco usłyszeć o tajskim systemie i tutejszych adwokatach, by łatwiej przełknąć gorzką pigułkę mało optymistycznych faktów. Ciągłe jednak żyła we mnie nadzieja, że może ten człowiek rzeczywiście będzie mógł mi pomóc.

– Nie martw się o pieniądze, jakoś ci wszyscy pomożemy – ciągnął Tomek.

Tego dnia podpisałem w sądzie papier uprawniający Sumsaka do zajmowania się moją sprawą. W praktyce oznaczało to, że może on podejmować za mnie wszystkie decyzje.

Po południu wróciłem przepelnionym autobusem ponownie do Bambat. Tomek wpadł jeszcze raz po paru dniach, po czym musiał wracać do Polski. Ja pozostałem na miejscu, pełen nadziei i obaw – zależnie od pory dnia.

Mijały kolejne miesiące. Liczyłem, że mój adwokat zaszczyci mnie wizytą. Wydawało mi się to normalne: by coś ustalić, przyjąć jakąś linię obrony, poinformować mnie o dalszych planach etc. Tak się jednak nie stało. Zobaczyłem go dopiero na sali sądowej.

VIII

Pierwsza rozprawa

Znów stałem w windzie, która wiozła nas na ósme piętro wysokiego gmachu sądu Rachada. Gdy otworzyły się drzwi, strażnik ruszył pierwszy. Przeszliśmy wzdłuż długiego korytarza pokrytego jasnym marmurem, otoczeni chłodną bryzą klimatyzacji. To lśniące miejsce było tak inne od mojej brudnej klatki! Poczułem się jak schwyte dzikie zwierzę prowadzone na salony, by posłużyć rozrywce tam zgromadzonych. O czym zresztą wyraźnie świadczył mój brązowy drelich i spętane kajdanami nogi. Sala sądowa ukazała się za jednymi z drzwi. Od razu zauważyłem okrągłą mordę mojego obrońcy. Siedział w odgródzonej części, zaraz za prokuratorem. Powyżej, na piedestale, znajdowało się miejsce dla sędziów. Jeszcze puste. Mnie posadzono w pierwszej z kilku stojących naprzeciw ławek. Miłą niespodzianką okazało się przybycie do sali sądowej pani attaché. Niedawno przybyła na placówkę i została nam przedstawiona przez pana konsula podczas ostatniej wizyty. Jej uczestnictwo w mojej rozprawie nie było wymagane przez obowiązujące polską dyplomację przepisy. Tym bardziej jej obecność stanowiła miły akcent w tej niemiłej sytuacji.

Rozpoczął się proces, z którego kompletnie nic nie było mi dane zrozumieć. Wszystko trwało około pół godziny, wreszcie sędzia wstał i wyszedł. Niewątpliwie musiało to oznaczać koniec.

Strażnik natychmiast zaczął ciągnąć mnie do wyjścia. Zaoponowałem ostro. Do cholery, nie miałem zielonego pojęcia, co się właśnie stało i na czym stoję! W tym momencie podeszła pani attaché, a strażnik wreszcie trochę odpuścił.

– Witam panią. Nie mam pojęcia, co się stało. Czy może mi pani pomóc, prosząc tutaj adwokata? – spytałem.

– Oczywiście. Ja też nic nie zrozumiałam, choć chodzę na kurs tajskiego – dodała, starając się nadać sytuacji trochę humoru.

Podeszła do Sumsaka, który stał jakieś dziesięć kroków dalej, zajęty składaniem swoich rzeczy. Ośmielony jej odejściem strażnik znów rozpoczął próbę odstawienia mnie do klatki, co przerodziło się w małą szarpaninę. Opuścił na widok wracającej z Sumsakiem attaché. Adwokat, który do tej pory całkiem mnie ignorował, wydał z siebie dźwięk mający oznaczać powitanie. Jego angielski był na krawędzi moich możliwości zrozumienia.

– Masz następną sprawę wyznaczoną na 10 kwietnia 2005 roku – poinformował.

Spojrzałem na niego niepewnie, jakbym się przesłyszał.

– Za rok?!

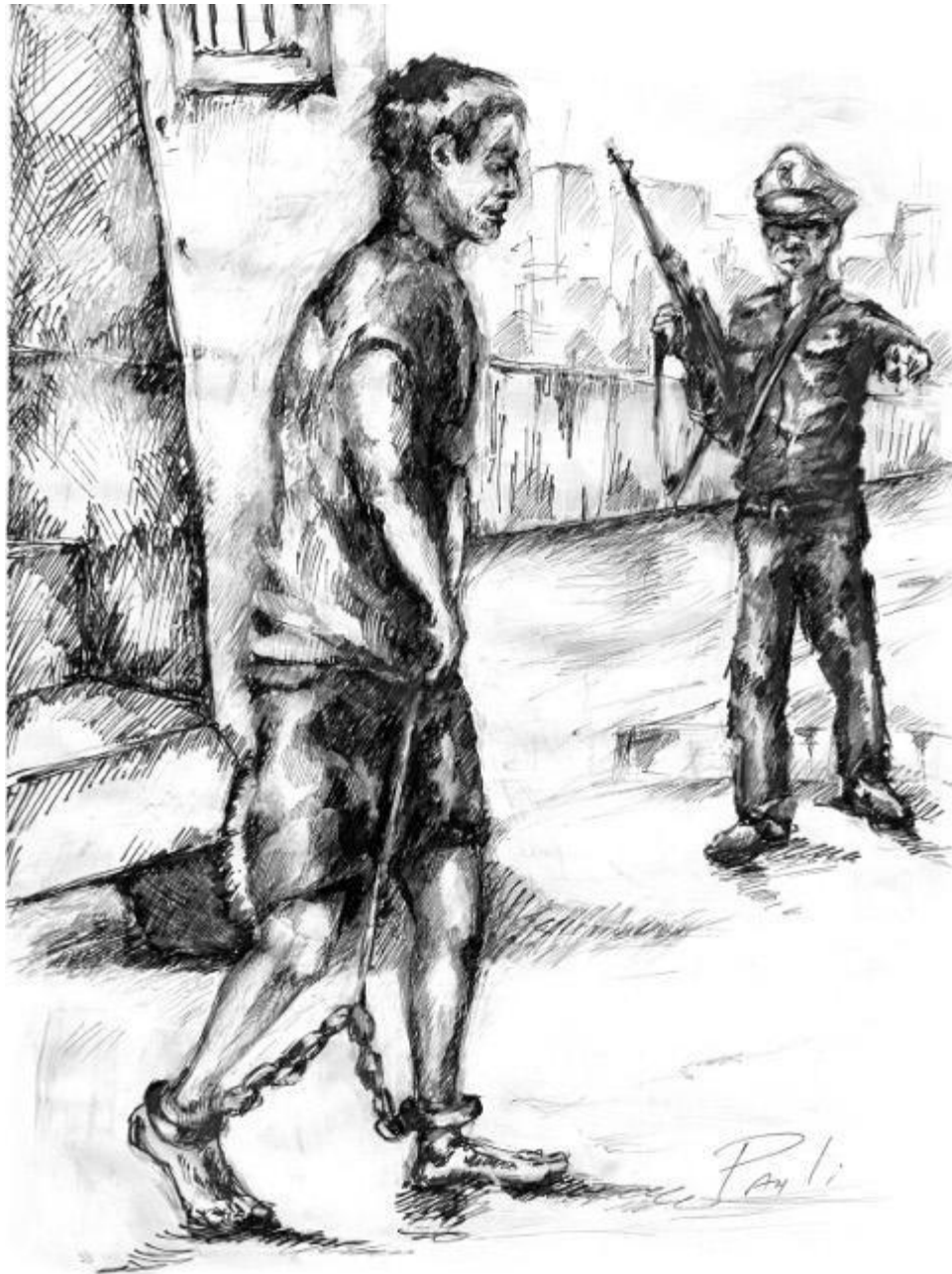
– Tak – odparł z całkowitym spokojem i beztrąską.

– Czeka mnie więc teraz cholerny rok zastanawiania się, co będzie dalej – pomyślałem. To było jak jakiś koszmar. Liczyłem, że zaraz się obudzę.

Moje „zawieszenie” musiało zostać odebrane jako koniec rozmowy, gdyż Sumsak skinął głową do attaché i zamierzał się oddalić. Kiedy to zobaczyłem, w moich żyłach zawrzała krew.

– A czy pan ma w ogóle zamiar coś ze mną ustalić i pojawić się w więzieniu? Nie wiem, czy to widać, ale ja do pana średnio mogę zająrzeć! – rzuciłem w jego kierunku.

Te słowa trafiły ze zdwojoną siłą. Widać było, jak jego okrągły ryj zaczyna przybierać na kolorach.



– Jestem zapracowanym człowiekiem, ale może znajdę chwilę, żeby wpaść – odparł bez jakiegokolwiek śladu emocji.

Skinął głową, żegnając się z panią attaché, i odszedł. Pozostało mi zrobić to samo i uleć strażnikowi, który zaczął już bardzo poważnie napierać, zasypując mnie dodatkowo różnymi tajskimi pogrózkami.

Reszta dnia minęła na czekaniu w znajomej klatce i powrocie z pozostałymi więźniami do Bambat.

Tej nocy sen nie przyszedł łatwo. Nad ranem przedstawiłem całą sytuację moim dwóm angielskim kumplom. Byli dużo starsi i lepiej się znali na tajskim systemie prawnym. Zdałem im relację z rozprawy i nie omieszkalem wspomnieć o przedziwnym zachowaniu mojego adwokata.

– Mate – zaczął, śmiejąc się, Steve – musiał się nieźle wkurwić ten twój adwokat. Musisz wiedzieć, że wśród Tajów panują bardzo silne podziały kastowe. Ktoś taki jak adwokat, nauczyciel czy sędzia to autorytet, którego nie wolno kwestionować. Tu już w szkołach uczą ich bycia jak te kołki, które mają słuchać i powtarzać, nie zadając zbędnych pytań. Kwestionowanie kompetencji nauczyciela jest traktowane jako wielka obraza.

– Ale co miałem zrobić, skoro on sam nie raczył mnie o niczym poinformować – tłumaczyłem.

– A w ogóle po co ty wzięłeś tego adwokata? – spytał John. – Przecież sam mówiłeś, że twoja sprawa była prowadzona przez DEA. Tu i bez tego sędzia ma w dupie okoliczności łagodzące i twoją wersję. Ważne jest to, co powie prokurator, czyli policja. A tym bardziej jeśli to DEA. Stary, przecież Amerykanie dają im kupę kasy na utrzymywanie tego systemu. Myślisz, że będą robili wyjątek dla jakiegoś biednego idioty?

– Z tego, co się dowiedziałem o mojej sprawie, to oskarżają mnie o przemyt 590 pigułek. Tymczasem ja przysłałem tu góra 200. Pomijając oczywiście, że wciągnęła mnie w to policja, co należy do mało etycznych form działania, prawda?

– A kogo tu obchodzi etyka?! Ważne, że mają kolejnego frajera. Nawet jeśli przysłałeś mniej niż twierdzą, nikt ci w to nie uwierzy. Oni dostają premie od ilości, a ty i tak będziesz miał ten sam wyrok – czy za 200, czy za 600 pigułek. W tym momencie ten twój adwokat rozpoczął proces, w którym nie przyznajesz się do części lub wszystkich zarzutów. Dlatego dostałeś tak odległy termin. A wierz mi, to dopiero początek. Mogę pokazać ci tu wielu, którzy czekają lata na zakończenie takich spraw. Nie musisz szukać daleko, pogadaj ze swoim sąsiadem Rezą, on czeka już siódmy rok. – Obydwaj stali nade mną jak sępy. Ale była to niestety szczerza prawda. Prawda, jaką od mało kogo mogłem usłyszeć.

– Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno – dodał John. – Ecstasy ma tu kategorię pierwszą, jak heroina, co oznacza, że za import możesz dostać karę śmierci.

– Tak, tyle już się dowiedziałem od policjantów – przytaknąłem.

– Więc sam widzisz, że bez względu na to, ile ci tego dołożyli i kto im co udowodni, i tak mogą cię załatwić. Zgadza się? – ciągnął Steve.

– Właściwie tak.

– Temu twojemu adwokatowi zależy, by proces trwał. Będzie mógł przez dłuższy czas ciągnąć kasę od twojej rodziny, ściemniając im i robiąc nadzieję. A jak się to skończy? Możesz spytać Nissana lub Roberta. – To mówiąc, Steve wskazał na siedzącego niedaleko Niemca.

Robert mieszkał już jakiś czas w Tajlandii wraz ze swoją tajską żoną. Jak twierdził, miał własną firmę eksportującą tajski ryż i ciuchy do Europy. Interes szedł nieźle. Aż do dnia, gdy pojawiły się u niego podejrzane typy, proponując mu współdziałanie w lepszym interesie. Robert oczywiście odmówił, ale już po kilku dniach spotkała go niemiła niespodzianka. Został aresztowany przez policję, która zrobiła nalot na jego dom. Po przeszukaniu znaleziono w nim pół kilo heroiny i oboje z żoną trafili do więzienia. Mijał już czwarty rok, odkąd Robert walczył w sądzie, próbując udowodnić swoją niewinność.

Ta rozmowa wcale nie poprawiła mojego wisielczego nastroju. Trzeba było jednak zacząć poważnie analizować fakty. Najwyższy czas, by przebudzić się ze śpiączki, która mnie tu przyprowadziła. Na wiele spraw było już za późno, o czym bardzo wyraźnie świadczyły otaczające mnie mury... Ale nie mogłem przecież czekać bezczynnie, aż tajski system wraz z moim obrońcą wbiją ostatni gwóźdź do mojej trumny.

Podjąłem kolejną próbę pisania listów do mojej rodziny, chcąc wytłumaczyć im zawiłą sytuację, o której przecież nie mieli pojęcia będąc w Polsce. Tu jednak pojawił się problem. Przede wszystkim sam nigdy jeszcze nie dostałem żadnego listu, jak również informacji, by któryś z pisanych przeze mnie gdziekolwiek dotarł. Jednym słowem – było raczej pewne, że mało który z listów w ogóle stąd wychodzi. Poza tym istniało małe prawdopodobieństwo, by rodzina wysłuchała mojej wersji i próśb, gdy konsul wraz z adwokatem przedstawiali całą sytuację w innym świetle.

Sumsak pojawił się wreszcie po kilku dniach. Pierwsze jego słowa wyprowadziły mnie całkiem z równowagi.

– Czekam tu na ciebie już ponad godzinę – jego angielski akcent był tak fatalny, że z trudem zrozumiałem, o co mu chodzi. Wreszcie dotarł do mnie sens tych słów. Miał pretensje, że długo czeka! Jakbym ja miał na to jakiś wpływ!

– Przecież to nie zależy ode mnie, panie Sumsak. Jestem w więzieniu, jak zapewne już pan zauważył, nie mam wpływu na to, kiedy mnie tu przyprowadzą. To pan zna tajski i jest adwokatem, trzeba było ponaglać strażników, skoro się panu spieszy – odpowiedziałem wkurzony.

– Ja nie mam czasu na takie wizyty – powtórzył jak zacięta katarynka mój obrońca.

Dalsza rozmowa toczyła się już tylko gorzej i właściwie nie dowiedziałem się od niego niczego konkretnego. Ani co zamierza, ani jak ma przebiegać dalszy proces. A co dziwniejsze, faceta w ogóle nie interesowała moja wersja wydarzeń.

Po tym spotkaniu wróciłem do bloku jako kłębek nerwów. Czując totalną bezsilność, napisałem kolejny list do moich bliskich. Pozostało mieć nadzieję, że przynajmniej ten do nich dotrze i zrozumieją, jak przedstawia się sytuacja. Prosiłem, by odebrali facetowi pełnomocnictwo i nie płacili mu już żadnych pieniędzy. Tak oczywista dla mnie sprawa musiała wyglądać zupełnie inaczej w oczach mojej rodziny. Zwłaszcza wobec zapewnień pana konsula. Niestety, pisanie było jedynym, co mogłem zrobić.

Myśląc o tym wszystkim, z dnia na dzień dostawałem coraz większej paranoi. John powiedział mi o możliwości wysłania do sądu oświadczenia. Podobno taki dokument miał być czytany przez sędziów i dołączony do sprawy. Cóż miałem do stracenia w takiej sytuacji! Postanowiłem przedstawić sądowi własną wersję wydarzeń. Opisałem dokładnie całą historię. Na koniec przyznałem się wyraźnie do przesłania listów z MDMA. Był to jedyny sposób, skoro nie mogłem liczyć na normalną obronę!

– Może po tym liście sąd uwzględni twoje przyznanie się do winy i dostaniesz redukcję, na przykład z dożywocia na 50 lat? – pocieszał John.

– To jest naprawdę optymistyczna wersja, dzięki! – odpowiedziałem z przebijającym się przez smutek sarkazmem.

Jedno było pewne, w tym systemie moja wina była przesądzona, a wszelkie próby udowodnienia swojej niewinności traktowano jako dodatkową arogancję w stosunku do sądu. Gadaliśmy o tym z Johnem, dochodząc do dość pesymistycznych wniosków.

Pozostało zastanowić się nad radykalnym rozwiązaniem. Nie był to temat, który można było otwarcie poruszać w takich miejscach. Za samo tylko jego wspomnienie trafiało się do karceru na długie miesiące. Warto jednak było przedyskutować tę sprawę, a mój rozmówca okazał się mieć bardzo podobne do moich plany.

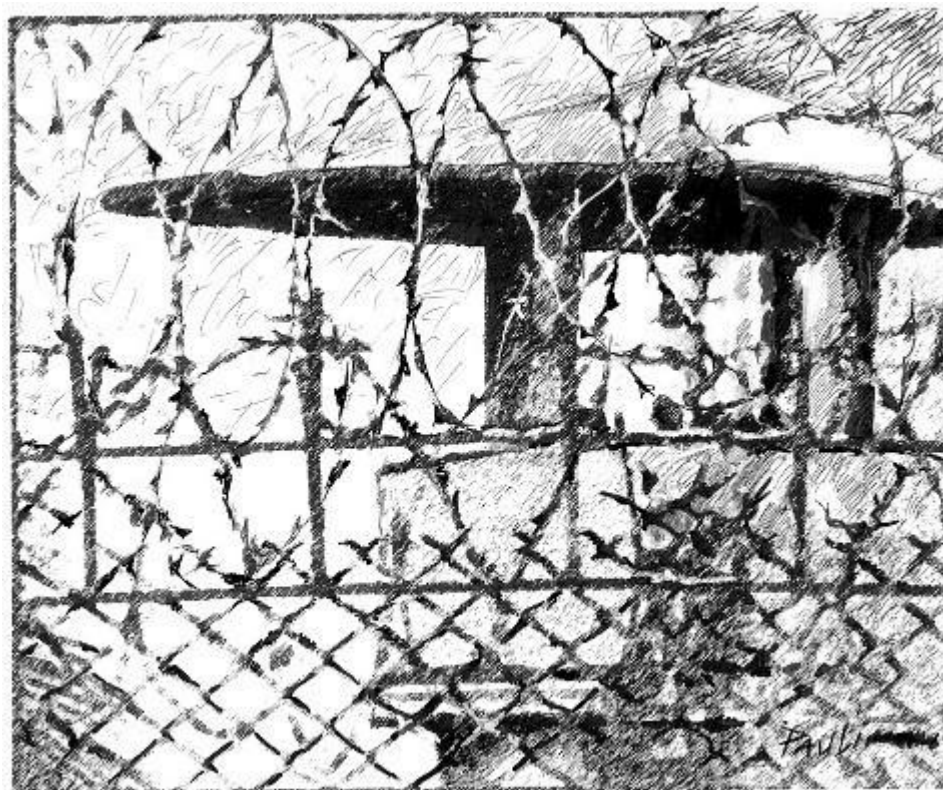
John miał już dość zaawansowany projekt, a jedynym miejscem, gdzie mogliśmy o nim rozmawiać, okazała się najbardziej nasłoneczniona część placu. Tam nawet Tajowie nie byli w stanie długo wytrzymać. Chodziliśmy w kółko, rozważając kolejne możliwości i milknąc, gdy ktoś podchodził za blisko. Nawet jeśli był to jakiś nieznający angielskiego Taj. Oczywiście tajemnica dotyczyła ucieczki. Sama myśl o przedostaniu się przez którykolwiek z murów, czy to w dzień, czy w nocy, nawet przy założeniu, że uda nam się wydostać z klatki, wydawała się niemożliwa. Wysokie, ponadczterometrowe ogrodzenie było dodatkowo naszpikowane zasiekami i „elektrycznym pastuchem”. A jakby tego było mało, od placu oddzielała je fosa oraz następna siatka z zasiekami. Kolejny problem stanowił fakt, iż w tym miejscu nigdy nie udawało się wyrwać poza obserwujący wszystko wzrok innych. A trzeba dodać, że przynajmniej 50 procent przebywających tu Tajów to kapusie i donosiciele. Tak zorganizowany system pozwalał strażnikom spokojnie wylegiwać się w swoich klimatyzowanych budkach, bez obawy, by coś działo się bez ich wiedzy. Żyli sobie tutaj jak prawdziwi królowie. Dosłownie wszystkim zajmowali się funkcyjni, odróżniający się od reszty niebieskimi uniformami.

Taka sytuacja dawała marne szanse na normalną próbę wspinaczki i przedzierania się przez system tutejszych ogrodzeń.

Jakiś rok wcześniej pewna grupa Chińczyków próbowała uciec stąd w dość spektakularny sposób. Udało im się przejąć samochód – niewielkiego pick-upa, jednego z wjeżdżających tu co jakiś czas, by zabrać do sprzedania przedmioty wykonane przez więźniów. Były to praktycznie jedyne pojazdy dostające się na teren więzienia. Z pomocą wykonanych własnoręcznie lub zdobytych w jakiś sposób noży Chińczycy sterroryzowali kilku strażników, a następnie wzięli ich ze sobą jako zakładników. Zasłonili się mundurowymi i ruszyli autem w kierunku głównej bramy. Wszystko skończyło się jednak tuż przed nią, gdzie zdołano ich zablokować. Zastrzelono wszystkich – łącznie z robiącymi za żywe tarcze strażnikami.

Generalnie rzecz biorąc, nie było zbyt wielu osób, którym udało się stąd uciec. Przed paroma laty powiodło się co prawda pewnemu Australijczykowi, ale miało to miejsce w Lard Yao, a poza tym od tamtej pory zdecydowanie wzmożono ochronę. Nasz pomysł był więc zupełnie inny. Taki, którego nikt tu jeszcze nie próbował.

Otaczały nas trudne do przebrnięcia zasieki i mury. Spędzaliśmy jednak około osiem godzin dziennie na otwartej przestrzeni, a wieżyczki strażnicze nie były zbyt gęsto rozsiane. Z naszego bloku widać było zaledwie jedną. W tym punkcie obserwacyjnym znajdował się strażnik, który siedział zamknięty na 14-godzinnej wachcie. Takie tkwienie na wartowni było najgorszą z prac dla tutejszego personelu, którą traktowano wręcz jako karę. Nikt nie chciał jej wykonywać, skoro można było sobie wygodnie leżeć w klimatyzowanym biurze i być obsługiwanym przez usłużnych funkcyjnych. Zamknięci w wieżyczce oglądali więc najczęściej telewizję za pomocą małych przenośnych odbiorników albo po prostu spali. W ich ślady szli praktycznie wszyscy Tajowie, którzy mogli sobie na to pozwolić. Zwłaszcza w godzinach południowych, gdy słońce stawało się najbardziej nieznośne.



Potrzebowaliśmy helikoptera... Tak, helikoptera – i kogoś, kto nadleciałby w okolicach południa, wprawiając w osłupienie wszystkich dookoła. Musielibyśmy szybko wspiąć się na płozy, a potem od razu odlecieć. Nawet jeśli padłoby kilka strzałów, mało prawdopodobne, by były celne. Zwłaszcza że strażnicy na wieżyczkach ze swymi flintami w niczym nie przypominali snajperów. W każdym razie byliśmy gotowi podjąć takie ryzyko. Helikopter zostawiłby nas na którymś z budynków Bangkoku. Dłuższe niż 15-minutowe poruszanie się nim byłoby niemożliwe. Więzienie natychmiast zaalarmowałoby policję, która wypatrywałaby śmigłowca. Należało więc załatwić czekające w pobliżu auto, by szybko rozmyć się w tłumie metropolii, oraz miejsce, gdzie można by było przeczekać w ukryciu miesiąc lub dwa. Dalej miałem już swój plan. Pojechałbym busem wożącym setki białych turystów na wyspę Ko Chang. Tam zaś bez problemu mógłbym znaleźć rybaka, który łódką przewiozłby mnie do odległej o trzydzieści kilometrów Kambodży.

John miał przyjaciela, który mógł pomóc finansowo i organizacyjnie. Gorzej było z pilotem. Ciężko było znaleźć kogoś, kto zgodziłby się na takie ryzyko z własnej woli. Musiałby być równie zdeterminowaną jak my osobą, której dodatkowo zależałoby na pieniądzach. John mógł zorganizować pewną sumę. Było to jednak zdecydowanie za mało, by zachęcić do tak szalonego czynu pilota z krajów anglojęzycznych lub Europy. Na tym więc póki co wszystko stanęło. Brak jakiejkolwiek formy komunikacji całkowicie niweczył próby znalezienia osoby, która mogłaby się tego podjąć. Myślałem o kimś z Ukrainy lub państw byłego ZSRR. Możliwe, że ktoś stamtąd zdecydowałby się na takie ryzyko za rozsądną sumę. Pozostało więc odłożyć nasz plan do czasu powstania bardziej sprzyjających okoliczności.

– Słuchaj, ja spodziewam się wyroku za parę miesięcy – mówił mój angielski przyjaciel.
– Jeśli będzie on wyższy niż 30 lat, a mało prawdopodobne, by nie był, to przeniosą mnie do Bang Kwang. Z tego, co widzę, ty też tam wcześniej czy później trafisz.

Bang Kwang było więzieniem, do którego trafiało się z wyrokami śmierci, dożywocia lub innym wysokim numerem, powyżej 30 lat. Na jego temat krążyły przeróżne historie. Jedno było pewne: nie mogło być tam gorzej niż tutaj.

– Jakoś się tam znajdziemy i wtedy okaże się, co dalej – dodał.

– OK – przytaknąłem, kończąc nasze rozmowy o ucieczce.

Była to szalona alternatywa, możliwe jednak, że jedyna, by nie spędzić reszty życia w tym miejscu.

IX

Lipiec 2547

Coraz częstsze ulewy zamieniły plac w jezioro-ściek, oznajmiając nadchodzącą porę deszczową. Minał jakiś miesiąc od nieszczęsnego spotkania z Sumsakiem, gdy wezwano mnie na wizytę ambasady.

Tym razem miałem więcej czasu, by porozmawiać z konsulem. Przedstawiłem mu w skrócie moje obawy i żale dotyczące adwokata, na co usłyszałem:

– My, jako ambasada, nie mieliśmy prawa namawiać twojej rodziny na wybór obrońcy – tłumaczył się konsul. – Po prostu poleciłem go jako osobę, którą znam.

– Wiem, i nie mam do pana pretensji. Proszę jednak zrozumieć moją sytuację. Mam wrażenie, że ten człowiek prowadzi mnie w jeszcze większe bagno.

– Zrozum, to jest człowiek znający tajskie prawo, do tego specjalista. Nie spodziewaj się, że będzie ci tłumaczył skomplikowane zawiłości prawne. Powinieneś mu po prostu zaufać.

– Jak mogę mu zaufać, skoro nie uzgodnił ze mną nawet, co zamierza?!

– Tak jak już mówiłem: ten człowiek to specjalista. Ja ci nic więcej tu nie poradzę.

– Mogę choć prosić o przekazanie mojej opinii rodzinie? – spytałem.

– Tak, oczywiście. To mogę zrobić. Twoja matka i siostra kontaktują się z nami dość często.

– Zależy mi, by jak najszybciej odebrać panu Sumsakowi moje pełnomocnictwo. Poza tym chciałbym wiedzieć, jak wygląda jego honorarium za taką „pomoc” – dodałem. W końcu dał mi już niezłe popalić, nie było sensu bawić się w konwenanse.

Twarz konsula poczerwieniała jeszcze bardziej, a czoło oblał rzęsisty deszcz potu. Wytarł je i zaczął mówić:

– Nie wiem, jak ty to sobie wyobrażasz! Pan Sumsak dostał już część honorarium w wysokości 30 000 zł i przygotowuje się do twojej sprawy... Ale to twoje życie. Oczywiście przekażę twoje stanowisko rodzinie – dodał po chwili, nie ukrywając złości.

Minął nasz czas i pozostało się pożegnać.

Nie miałem już żadnego wpływu na to, co działo się z moim życiem. Było to jak paraliż ciała u kogoś, kto tonie lub próbuje uciec przed niebezpieczeństwem. Pozostawało bezradne czekanie. Takie czekanie jest jak robak, który powoli wysysa wszelkie siły, pozostawiając marazm i szaleństwo.

Moi angielscy koledzy mieli na to jedno określenie: „This is prison, mate, what we can do?”. Zaś Tajowie, jeszcze bardziej przyzwyczajeni do braku wpływu na swój los, pozostawali przy: „meba laj” – co oznaczało „nie przejmować się”, lub „alaj ga daj” – „wszystko jedno”. Czasem z zazdrością podziwiałem ich umiejętność pogodzenia się ze swoim losem. Im bliżej ich poznawałem, tym częściej mogłem zauważyć, jak potrafili cieszyć się z prostych spraw, jak choćby jedzenie czy gra w „tako” (przypominająca grę w „zośkę”, tylko bambusową piłką). Widać było, że nie potrzebują wiele. Z drugiej jednak strony... Skąd mogłem wiedzieć, co

naprawdę siedzi w ich głowach? Ich kultura diametralnie różniła się od tego, co znałem i co byłem w stanie zrozumieć. Nawet rok, liczony od śmierci Buddy^[7], inny od naszego – Chrystusowego, potęgował wrażenie kompletnej abstrakcji.

^[7] W Tajlandii obowiązuje kalendarz buddyjski, według którego lata liczy się od śmierci Buddy, czyli od roku 543 przed Chrystusem.

X

Karcer

Do karceru trafiłem dzięki młodemu Holendrowi o imieniu David. Rysy jego twarzy wskazywały na bliskowschodnie korzenie. Dostał się tu przez dziewczynę, z którą mieszkał. Tajka handlowała, podobno bez jego wiedzy, ya-ba (tajska odmiana amfetaminy). Opowiadał, że dowiedział się o wszystkim dopiero, gdy do ich wspólnego mieszkania wpadła policja. Znaleźli jakieś 200 piguł. Następnie zgarnęli ich oboje. Nie przemawiał do niego fakt, że nawet jeśli jego wersja była prawdziwa, dla tajskiego sądu nie miało to żadnego znaczenia. Nadal bronił swego stanowiska i zamierzał zwalić wszystko na dziewczynę.

Tego dnia stałem przy „tratwie”, gdy jego patyk omal nie przebił mi gardła. Wystartował do mnie z kawałkiem ostro zakończzonego szpikulca. Udało mi się zablokować szybki cios, ale zwaliliśmy się razem na ziemię. Już w chwili, gdy go poznałem, wydał mi się dupkiem. Tym razem jednak przegiął. Miałem ochotę zobaczyć jego rozkwaszony ryj. Dookoła zebrał się tłum, a z nim funkcyjni, którzy przy dźwiękach gwizdków zaczęli nas rozdzielać. Skończyło się na paru epitetach i każdy z nas poszedł w swoją stronę. Nie było to jakieś szczególne wydarzenie dnia. Bójki, mniejsze czy większe, zdarzały się tu codziennie. Najczęstsze rozrywki polegały na rozbijaniu na głowach butelek lub dźganiu się ostrymi przedmiotami. I tak było tego stosunkowo niewiele – jak na ponadtysięczną grupę sfrustrowanych ludzi, żyjących tu jak w kurniku, chodzących sobie nawzajem po głowach. Nasuwał się jeden wniosek: Azjaci byli przyzwyczajeni do takiego życia.

Przypomniałem sobie znajomych studiujących malarstwo na Silpakorn University. Zapraszali mnie czasem do swoich akademików. Panował tam prawie taki sam tłok. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak oni tam żyją. Teraz, w tym „innym świecie”, miałem okazję poznać, jak bardzo nieobliczalna i szalona potrafiła być ich stadna natura.

Wydarzyło się to kilka dni wcześniej... Siedzący w klatce naprzeciwko King Kong o imieniu Owo miał jakiś problem ze swym tajskim sąsiadem.

Owo był ogromnym i napakowanym Nigeryjczykiem. Pracował dla ludzi przerzucających heroinę z Bangkoku do Europy. Robił to od wielu lat i pewnie byłoby tak dalej, gdyby nie zachłanność pracującego w policji współnika, który dostarczał im towar. Policjant „przerobił” chłopaków, sprzedając im proszek bardzo złej jakości. Nigeryjczycy zaś, niewiele się zastanawiając, spuścili mu porządne baty (nie mylić z obowiązującą tu walutą!). Okazało się to poważnym błędem. Po kilku tygodniach cała grupa została aresztowana pod wiadomym

zarzutem. Dowodami zaś zajął się między innymi ich były współnik – policjant.

W więzieniu Owo pozostał przy heroinowym biznesie. Tym razem w interes zamieszani byli strażnicy. Ale to już inna historia...

Nie wiem, o co dokładnie poszło. Usłyszałem jakieś wrzaski. Gdy spojrzałem przez kraty na drugą część korytarza, zobaczyłem tajska masę oblepiającą duży czarny kształt. Olbrzym szamotał się, zrzucając z siebie kolejnych agresorów, aż wreszcie upadł pod ich naporem. Gdyby nie strażnicy, którzy wpadli do środka i z pomocą bambusowych kijów opanowali sytuację, Owo skończyłby uduszony kawałkiem gumowego kabla, zaciskającego się już na jego szyi.

Sam na szczęście do tej pory nie miałem z nikim większych zatargów. Za to Holender wkurzał mnie już od kilku dni. Po południu tego dnia, kiedy miała miejsce wspomniana awantura z Davidem, spotkałem go ponownie w wąskim przejściu między filarami. Nie było mowy, by któryś ustąpił. Krew gotowała mi się w żyłach na widok jego ryja. Wpadliśmy na siebie w połowie wąskiego korytarza, zderzając się ramionami. Uderzenie wybiło mnie z trajektorii, obracając o jakieś 50 stopni. W tym samym momencie nadleciała jego pięść. Ledwo udało mi się uchylić, a jego ciało, niemające punktu oparcia po nietrafionym strzale, runęło prosto na mnie. Jego bezwładny ciężar pchnął nas obu do tyłu. Akurat w pechowy sposób – prosto na stojący obok posąg Buddy. Statuetka zachwiała się i po chwili runęła na betonową podłogę. Rozległ się dźwięk rozbijanej ceramiki. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Wokół nas zebrał się już tłum. Tajowie zaczęli wykrzykiwać coś niezrozumiałego, następnie rzucili się na nas z furją. Przestałem zwracać uwagę na Davida. Uderzenia padały teraz praktycznie ze wszystkich stron. Uratowały nas gwizdy, które zwiastowały pojawienie się uzbrojonych w pałki patczula. Po krótkiej szamotaninie wyciągnięto nas na plac i dalej, do pomieszczenia, gdzie urzędował szef budynku. W środku panował przyjemny chłód. Ubrany w mundur koloru khaki strażnik siedział za sporym biurkiem. Jego dość wąską, jak na Azjatę, twarz zdobił krzaczasty wąsik – zjawisko nader rzadkie wśród raczej nieposiadających zarostu Tajów. Widziałem tu zaledwie kilku, którzy musieli się golić. Reszta co najwyżej wyrывała sobie pęsetą jakąś marną szczecinę. Imię szefa brzmiało Aphisit, choć Tajowie nazywali go „łanna”, co oznacza dobroczyńcę, wielmożnego pana. Aphisit nie przepadał za obcokrajowcami. Nie pracowaliśmy jak reszta Tajów, co zmniejszało jego profit, nie byliśmy też tak ulegli i usłużni. Jednym słowem – same problemy. Mimo ściągniętej twarzy trudno mu było ukryć złość i nienawiść, jaką do nas pałał. Zapanowała długa chwila milczenia. Dla Taja jego rangi okazanie emocji było niedopuszczalną formą poniżenia. Wreszcie zaczął mówić stonowanym głosem. Im dłużej trwała jego przemowa, tym pewniejsza wydawała się kara. Nie podejrzewałem, by nas pobito. Strażnicy obawiali się trochę skarg ambasad w razie jakichś wypadków. Słyszałem historię o pewnym Włochu, który zmarł od razów. Włoska ambasada zainteresowała się sprawą i, choć nic do końca nie udowodniono, wśród personelu więzienia „potoczyły się głowy”.

Aphisit wreszcie skończył mówić. Przytrzymujący mnie patczula skłonili się nisko i wyciągnęli z chłodnego pomieszczenia. Nie jestem pewien, co stało się z Davidem. Przypuszczalnie trafił w podobne miejsce, lecz w innym bloku. Ja zostałem w dziewiątce, ale dostałem własny pokój. No, może niezupełnie pokój... Pomieszczenie, do którego mnie zaprowadzono, znajdowało się w tym samym budynku, w którym były cele, ale na końcu korytarza. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na nie uwagi, gdyż było ukryte za wąską ścianką działową. Patczula wepchnęli mnie do środka. Po chwili przyniesiono mi jeszcze mój szary koc

i zatrzasnęły się ażurowe, wykonane ze stalowej kraty drzwi. W środku panował półmrok. Mająca około 60 centymetrów szerokości i 2,5 metra długości komórka nie była na tyle wysoka, by móc stanąć w niej wyprostowanym. Murowane ściany nie miały też żadnych otworów, oprócz drzwi, przez które wpadało trochę światła. Na samym końcu znajdowała się klasyczna dziura toaletowa wraz z małym wiaderkiem napełnionym wodą. Rozłożyłem otrzymany koc i usiadłem na ziemi.

Pierwsze godziny w tym miejscu nie były złe. Wreszcie trochę samotności i stosunkowej ciszy. Nawet półmrok wydał się miły po kilku miesiącach spędzonych przy non stop zapalonych jarzeniówkach. Dopiero później zrozumiałem, co mnie czeka. Zacząłem czuć, jak moja skóra powoli zamienia się w lepką, wilgotną substancję. Z czoła spływały rzęsiste krople potu. Panująca tu temperatura przypominała saunę. Z trudem łapałem kolejne porcje wilgotnego powietrza.

Nie minęło wiele czasu, gdy ciemną ciszę dodatkowo przeszył charakterystyczny dźwięk przelatującego gdzieś obok mojej głowy komara. Później kolejny i jeszcze jeden. W tych ciemnościach nie byłem w stanie dostrzec ich kształtów. Czułem za to niezłe ich ukąszenia, a tych było coraz więcej i więcej. W ogromnych salach, gdzie leżało po 60 osób, stało przynajmniej kilka marnych wiatraków, które miały tę malaryczną zupę, utrudniając życie małym krwiopijcom. Moja komórka nie należała do tak komfortowych. To ciemne i wilgotne miejsce okazało się mekką dla wszelkiego rodzaju robactwa.

Po południu wrzucono mi miskę brudnego ryżu ochrzczonego ostrą, oleistą mazią. Była to typowa porcja więzienna. Jej smak nie kojarzył się dobrze. Od miesięcy kupowałem sobie pokarm, teraz trzeba było się przemóc, by zaspokoić głód.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, przepełniona ugryzieniami komarów i sam nie wiem jeszcze czego. Nie było sposobu, by schronić się przed tym wszystkim.

Z radością przywitałem pierwsze promienie słońca. Dzień nie przyniósł jednak większej ulgi od insektów, za to wzrastająca temperatura z powrotem zamieniła karcer w saunę.

Funkcyjni przynieśli wodę, żebym napełnił stojące w kącie wiadro. Miało mi ono wystarczyć na cały dzień do mycia i toalety. Później dostałem jeszcze ryż i butelkę nadającej się do picia wody. Tę ostatnią przekazano mi od Johna. Więzienie nie zapewniało takiego luksusu. Wodę można było zamawiać za opłatą, w ten sam sposób, co pożywienie, lub pić wlewany do zbiornika lekko brunatny płyn. Jedzenie przychodziło mi z coraz większym trudem. Odstawiłem aluminiowe miski, ku uciesze wszędobylskich karaluchów. Przez chwilę próbowałem medytacji. Złapanie dystansu okazało się jednak zupełnie niemożliwe. Zjadające mnie robactwo nie było jedyną przeszkodą. Płuca pracowały ciężko, by wciągnąć kolejną porcję wilgotnej zawiesiny. Musiała ona jednak zawierać za mało tlenu, bo wreszcie zmęczony i niedotleniony umysł zaczął płatać figle. Nie byłem pewien, ile czasu upłynęło, gdy pojawiły się zwidy. Wszystko działo się na granicy snu, choć moje oczy były otwarte. Pojawiające się postacie wywoływały różne uczucia. Czasem mówiły do mnie lub ciągnęły gdzieś za sobą. Już tylko ugryzienia robaków przywracały mi poczucie rzeczywistości.

Znowu otworzyły się drzwi. Usłyszałem głos funkcyjnego powtarzający głośno:

– Ma, ma, leo, leo.

Słowa docierały do mnie jak z oddali. Trudno było stwierdzić, czy nie było to kolejne przywidzenie. Dwie osoby podniosły mnie i wyciągnęły na zewnątrz. Przeszliśmy przez korytarz, a następnie w dół schodami na betonowy plac. Dopiero ostre światło dnia zaczęło przywracać mi świadomość. Przez oślepiający blask ujrzałem wypełnione ludźmi podwórze. Powoli stanąłem na własnych nogach. Pojawiły się pierwsze znajome twarze. Siadłem obok „tratwy”, opierając się plecami o filar. Odzyskanie zmysłów objawiło się uczuciem pragnienia. Plastikowa butelka z wodą, którą mi podano, wręcz przykleiła się do mojej spoconej i brudnej dłoni. Kąpiel była kolejną rzeczą, o której marzyłem. Niestety jej pory przypadały wyłącznie na poranek i popołudnie, czyli czas tuż po wyjściu i tuż przed wejściem do klatek. Tymczasem dochodziła godzina 11. Koryto wypełnione żółtą cieczą stało więc opuszczone.

Poprosiłem Steve’a, który mówił po tajsku, by spytał, czy pozwolą mi się umyć. Ten wysłuchał mojej prośby i poszedł pogadać z jednym z patczula. Trwało to chwilę. Widać było, jak Taj próbuje zbyć nalegającego Anglika. Wiadomo, funkcyjny bał się „zawracać głowę” strażnikom takimi sprawami. Wreszcie, nie mogąc pozbyć się Steve’a, zniknął w jednej z klimatyzowanych budek.

Minęło jakieś 15 minut, gdy funkcyjny wrócił, oznajmiając:

– Daj maj, leo, leo.

Było to pozwolenie na szybki prysznic. Dopiero podczas mycia zacząłem czuć rozsiane po całym ciele swędzące bąble – pamiątki po ukąszeniach komarów i reszty robactwa. Zwłaszcza na prawej nodze powstało sporo wulkanicznych kształtów. Podciągnąłem łańcuchy i wróciłem na plac obok filaru.

Po chwili podszedł do mnie Steve. Towarzyszył mu ten sam funkcyjny. Trzymał w ręce jakieś dokumenty, na których widoczna była pieczętka polskiej ambasady. Zdziwiony wziąłem od niego pismo i zacząłem czytać.

Ambasada oczywiście nie miała pojęcia o moim pobycie w karcerze. Władze więzienia nie zadawały sobie trudu, by informować o takich błahostkach. Zresztą pewnie nikt poza blokiem tego nie wiedział. Pismo dotyczyło zupełnie innej sprawy. Ambasada zwracała się z prośbą do władz więzienia o udzielenie mi pomocy medycznej. W dołączanych dokumentach znajdowała się opinia lekarza, a zarazem mojego przyjaciela. Przejrzał on moje badania wykonane przed wyjazdem z Polski – podejrzewał chorobę nowotworową. Rzeczywiście, jeszcze w kraju, mając pewne problemy zdrowotne, wykonałem serię badań. Nie zdążyłem jednak odebrać wyników przed wyjazdem. Wyglądało na to, że zrobił to ktoś z moich bliskich w porozumieniu z zaprzyjaźnionym lekarzem. Szczęśliwym trafem dokument dotarł tu właśnie teraz, ratując mnie przed spędzeniem kolejnych dni w karcerze. Słyszący to Anglicy chórem wymyślili mi ksywkę „sick note” – co po angielsku oznacza zwolnienie lekarskie.

Stało się jasne, że ściągnięto mnie na dół, gdyż prośba ambasady zaowocowała nakazem przeniesienia mnie do sekcji szpitalnej. To właśnie oznajmił patczula. Wiedziałem, czego mogę

się spodziewać po tutejszym szpitalu. Wołałem to jednak zdecydowanie niż powrót do karceru. Pozostało cieszyć się z takiego obrotu spraw. Nie miałem wiele do zabrania. Po półgodzinie stałem przy bramie, a zabierający mnie funkcyjni podbijali niezbędne dokumenty.

XI

Szpital

Już zbliżając się do tego bloku można było wyczuć bardzo specyficzny, gryzący w nozdrza smród. Była to mieszanina kwasu bornego i rozkładających się ciał. Samo miejsce nie różniło się specjalnie od sekcji dziewiętej. Na środku niewielkiego placu stał podobnie osadzony na filarach budynek. Pod nim siedzieli ludzie, wykonując jakieś prace.

Dopiero dalej, po prawej stronie, widać było część parterową, spełniającą rolę szpitala. Miała ona nie więcej niż 20 na 20 metrów. Tam właśnie mnie zaprowadzono. Nie była to moja pierwsza wizyta w tym miejscu. W bloku dziewiątym można było poprosić o pomoc medyczną. Jeśli podało się dobry powód, otrzymywało się zezwolenie na wizytę u lekarza, która miała miejsce właśnie tutaj. W prawie każdy poniedziałek ustawiała się grupa, która za zezwoleniem zmierzała do bloku trzeciego, by poskarżyć się na swoje dolegliwości. Takie wyprawy najczęściej kończyły się powrotem z garścią tabletek paracetamolu. Był on tutaj złotym środkiem na każdą przypadłość. Zdarzyło mi się uczestniczyć kilka razy w takich ekspedycjach. Stąd też moja wiedza o tym bloku i rodzaju świadczeń medycznych, na jakie można było tu liczyć.

Spora sala, do której mnie wprowadzono, pełniła funkcję poczekalni. Dalej widać było kilka innych pomieszczeń, łącznie z małym gabinetem zabiegowym, gdzie udzielano pierwszej pomocy. Zaraz obok znajdował się pokój, w którym urzędowała pielęgniarka i lekarz. Sam doktor pojawiał się tylko co kilka dni i nie przebywał tu dłużej niż godzinę. Pacjentów przyjmował jedynie w bardzo wyjątkowych przypadkach.

Po chwili oczekiwania ze szklanej komnaty wyszła pielęgniarka. Była to kobieta w średnim wieku o typowym dla Tajów niskim wzroście. Najpierw rozmawiała z funkcyjnymi, którzy mnie przyprowadzili, by następnie, uśmiechając się, przemówić do mnie w łamanym tajsko-angielskim:

– You tamalajna? – spytała, mieszając angielskie „ty” z tajskim zapytaniem „dlaczego”.

Trzymała już w ręku dokument, który był przyczyną mojego przeniesienia, więc nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi i niby jak mam odpowiedzieć na jej pytanie. Nie zwracając uwagi na moje milczenie, zaczęła znowu rozmawiać z funkcyjnym. Po chwili do grupy dołączyło jeszcze kilku Tajów. Pielęgniarka tłumaczyła im coś zawzięcie.

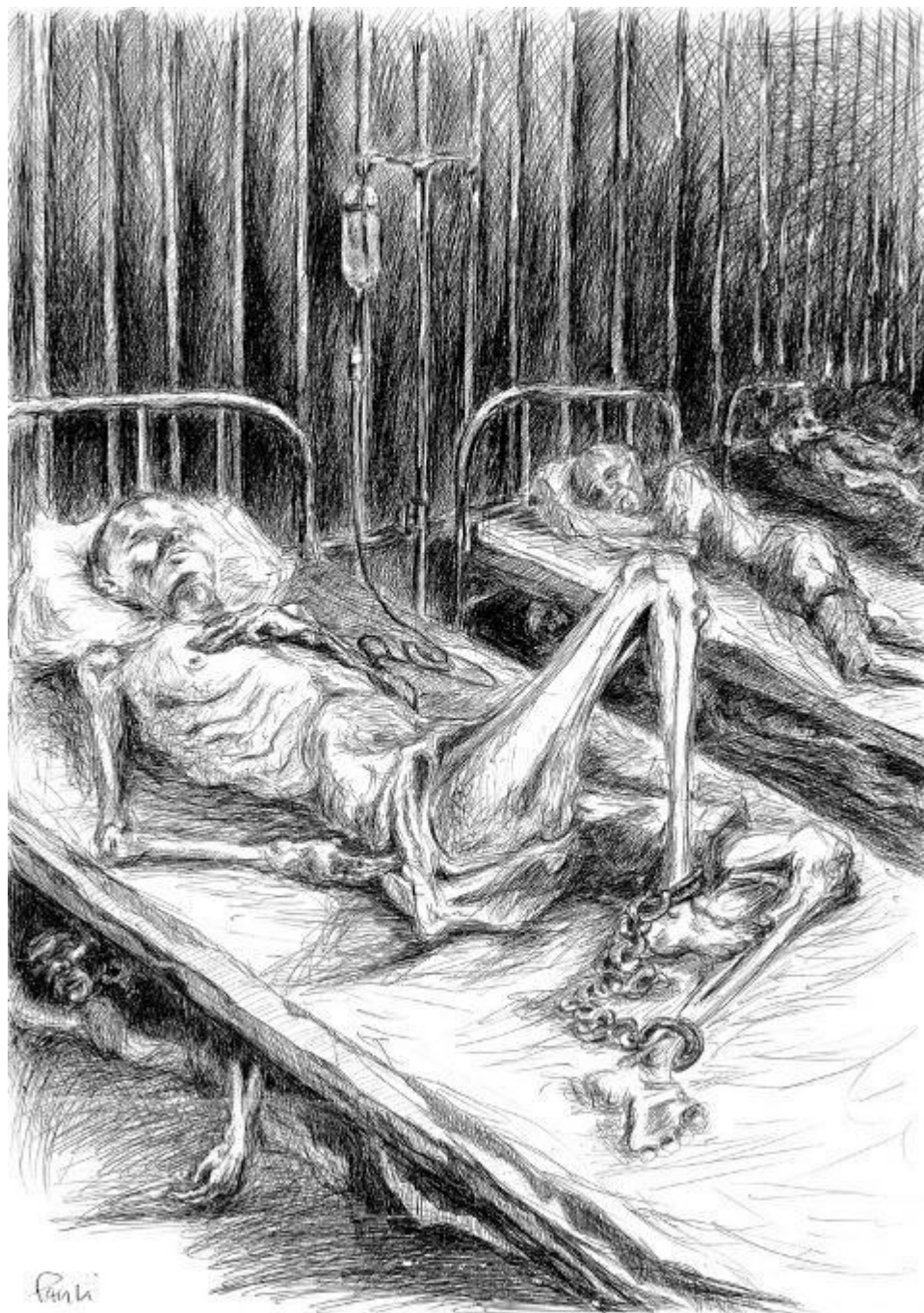
Znów odwróciła się do mnie, przemawiając łamaną angielszczyzną:

– Doctor łanii no have – co znaczyło: „doktora dziś nie ma”. Po czym dodała:

– You stay here now. Punii see doctor dajj – to mówiąc, odwróciła się do grubszego Taja

w białej koszulce i niebieskich spodenkach. Jego ubiór wskazywał, że był to również patczula. Zrozumiałem jedynie, że mówią coś o lekarzu i dniu jutrzejszym. Następnie pielęgniarka wróciła do szklanego gabinetu, a ja zostałem z grubym Nojem.

Noj był szpitalnym funkcyjnym. Jego angielski sprowadzał się do kilku podstawowych słów. Sprawiało to, że nasze rozmowy musiały przybrać praktycznie formę migową. Gdy parę miesięcy później zacząłem rozumieć trochę więcej tajskich słów, dowiedziałem się, że był on również aresztowany za ecstasy, które po tajsku nazywano „yae”. Policja znalazła przy nim 20 pigułek i oskarżono go o handel. Ostatecznie, dzięki pomocy rodziny i dużej sumie pieniędzy, przekupiony sędzia dał mu niski wyrok – dziesięć lat. Był to już jego piąty rok, więc coraz częściej liczył dni dzielące go od powrotu do domu...



Poszliśmy do klatki znajdującej się na samym końcu, za poczekalnią, gabinetem lekarskim i innymi pomieszczeniami. To, co tu zobaczyłem, przebiło chyba wszystkie dotychczasowe doświadczenia.

Pomieszczenie zawałały stare metalowe łóżka. I choć same prycze, niewidziane już od bardzo dawna, powinny obudzić we mnie pozytywne wrażenia, tu nie kojarzyły się z niczym miłym. Lekko podrdzewiałe konstrukcje wraz ze swymi lokatorami przypominały mi obrazy H.R. Giger'a lub Beksińskiego.

Noj dał mi jeden z szarych koców i wskazał miejsce na podłodze przy kratkach. Rozłożyłem koc i usiadłem. Spod zardzewiałej pryczy naprzeciwko wychyliła się wysuszona postać. W tych okolicznościach nic już nie mogło mnie zdziwić. Pod łózkami również leżeli ludzie. Było ich pełno.

Porozstawiane przy niektórych pryczach charakterystyczne stojaki na kropłówki były jedynym znakiem, że ktoś tych ludzi jeszcze leczył. Wszędzie leżały żywe trupy. Poza jednym z kątów, gdzie stały trzy wolne łóżka, należące do funkcyjnych.

Opiekę nad całą salą sprawował gruby Noj wraz z kilkoma innymi patczula. Pierwszy, jakiego poznałem po Noju, był Czaj. Jego ciemną skórę w całości pokrywały tatuaże. Nie był to ewenement. Podobnie jak on wyglądało tu jakieś 60 procent więźniów. Większość była wytatuowana magicznymi symbolami, mającymi odstraszać duchy i przynosić szczęście. Umieszczali je nawet na głowach i twarzy. Niektórzy wyglądali jak chodzące tapety. Wśród wielu wzorów zdarzały się też napisane po angielsku. Przeważały różne sportowe symbole, jak Adidas czy Nike. Niektóre nie tylko dziwiły, ale i rozśmieszały, na przykład wytatuowane na dupie „Levis”.

Noj miał tylko jeden tatuaż ze smokiem. Obwijał się on wokół jego ręki, kończąc aż na plecach. Takie wzory były popularne wśród Singapurczyków, Chińczyków oraz znacznej części Sino-Thai. Właśnie do tej ostatniej grupy należał Noj. Określano tak potomków chińskich emigrantów, wyróżniających się dość jasną karnacją. Ta mniejszość etniczna, wraz z tak zwanymi „luk kreung” – ludźmi o domieszce europejskiej krwi, cieszyła się wśród Tajów wysoką pozycją społeczną. W przeciwieństwie do ciemnych, pochodzących z Południa mieszkańców, do których należał Czaj. Ich status był równie marny jak ludzi z Isaan, północno-wschodniej prowincji, którzy uzurpowali sobie miano potomków Khmerów i porozumiewali się językiem lao. To samo dotyczyło Karenów, górali z terytoriów graniczących z Mjanmą, oraz wielu innych małych społeczności dawnego królestwa Syjamu. Tak samo jak uchodźcy z Birmy, Laosu czy Kambodży, nie mieli oni łatwego życia.

Po trzeciej odbyło się odliczanie. Trzasnęły stalowe drzwi, a zostający na noc strażnik poszedł spać do swej klimatyzowanej budki. Wtedy gromadka funkcyjnych zaczęła coś kombinować. Przede wszystkim na światło dzienne wyciągnięto dobrze ukryty, elektryczny wok.

Oczywiście sam wok do niczego się nie nadawał, jeśli nie miało się jedzenia, które można by na nim przyrządzić. Okazało się jednak, że i z tym ferajna radziła sobie całkiem nieźle. W obskurnej klatce, pośród masy chorych, rozpoczął się prawdziwy piknik. Znalazło się nawet miniaturowe radio. Zaraz po jedzeniu funkcyjni zaczęli go słuchać, zapisując coś na małych kartkach. Po jakimś czasie, gdy już lepiej ich poznałem, dowiedziałem się, że były to wyniki meczy piłkarskich. Popularny tu hazard całkiem umknął mojej uwadze w bloku dziewiątym. Pewnie musieli się z tym nieźle kamuflować, w końcu było to zakazane.

Wkrótce nawiązałem kontakt ze współwięźniami. Rozmawialiśmy trochę na migi. Wyglądali na bardzo zainteresowanych nowym farangiem. Mogłem się więc odprężyć i zamknąć oczy bez obaw, że ktoś nocą udusi mnie wężym od kropłówki.

Rankiem obudził mnie smród i strasznie swędząca noga. Ponownie przyjrzałem się

nowemu miejscu. Na sali leżały w większości ciężkie, wręcz beznadziejne przypadki. Większość miała gruźlicę. Sporo było też osób z AIDS. Takie połączenie obu chorób w jednym miejscu kończyło się dość niefortunnie dla nosicieli wirusa HIV. Niemal natychmiast łapali gruźlicę, a w takiej sytuacji ich koniec był oczywisty i nieuchronny. Z samymi zgonami było różnie. Widziałem takich, którzy potrafili się „zawinąć” w ciągu tygodnia. Sama myśl o umieraniu tu i w taki sposób napawała mnie strachem. Z drugiej strony, patrząc na niektórych z nich i wyobrażając sobie, jak muszą cierpieć w tych warunkach, wydawało się jasne, że śmierć była dla nich jedynym wyzwoleniem.

Już pierwszego popołudnia przyszło mi zobaczyć pierwszą. Był wieczór, tuż po zamknięciu klatki. Noj i Czaj jak zwykle skrobali coś na kartkach, słuchając radia. Ja siedziałem w swoim kącie, przeżywając różne personalne paranoje. Wąskim przejściem między łózkami w stronę stojącej na drugim końcu klatki toalety wlokła się powoli wyschnięta postać. Wreszcie dotarła do umieszczonego na betonowym podwyższeniu kibla. Znajdowały się tam dwie oddzielone murkiem kabiny, z klasycznymi dla Azji otworami. Wyschnięty człowiek wspiał się na podwyższenie i w tym samym momencie musiał stracić równowagę, runął bowiem całym ciałem na podłogę. Funkcyjni zerwali się, żeby sprawdzić, co się stało. Ciało leżało bezwładnie. Głowa nieszczęśnika utkwiała w klozetowej dziurze. Wyciągnęli go na zewnątrz i przenieśli z powrotem na łóżko. Facet już nie żył.

– Paj ban – poinformował, nie przestając się śmiać, Czaj.

Słowa te oznaczały: „poszedł do domu”. Tak, dla wielu z nich był to jedyny sposób, by wydostać się z tej klatki...

Szpital nie należał do miejsc, gdzie można znaleźć jakiegokolwiek współczucie. A tym bardziej nie okazywano go tym, którzy nie mieli na tyle siły, by zadbać o siebie. Sanitariusze wykonywali pewne podstawowe prace, jak podawanie leków czy kroplówek oraz – jak w tym wypadku – odłożenie pacjenta na jego łóżko i zawinięcie szczelnie w białe płótno. Na tym się jednak kończyło. Nikt nie dbał o to, by jakoś pomóc unieruchomionym, często obrzyganym i obrzanym ludziom. Nikt też nie reagował na ich prośby o wodę czy inne sprawy.

Ta śmierć w toalecie była pierwszą spośród wielu, jakie miałem tu jeszcze zobaczyć. Ciało zawinięte w białe prześcieradło pozostało na łóżku aż do następnego popołudnia. Dopiero wtedy, około godziny 3, zaraz przed zamknięciem, przyjechała policja z koronerem. Jak mi wytłumaczono, nie wolno było przenosić ciała zmarłego do czasu spisania protokołu. Dla mnie nie miało to sensu, gdyż i tak łóżko nie było jego miejscem zgonu, a w takiej sytuacji wydawało się bez znaczenia, czy denat leżał tu, czy może w jakimś oddzielnym pomieszczeniu. Zwłaszcza że na ucieczkę w jego przypadku już się nie zanosilo. Te przemyślenia mogłem jednak zostawić tylko dla siebie. Niezbyt przyzwyczajeni do indywidualnego myślenia Tajowie mieli na wszystko jedną odpowiedź: „me daj”, co znaczyło: „nie wolno”! Pozostało się cieszyć, że nie zostawili go do następnego dnia na przykład z głową w kiblu.

Ten dziwny przepis najbardziej dawał popalić, gdy ktoś umarł w sobotę lub niedzielę. Ciało musiało czekać aż do poniedziałkowego popołudnia, gdy przyjeżdżała po nie policja. W tych temperaturach specyficzny zapach zaczynał się roznosić mniej więcej już po dniu. Nie przeszkadzało to jednak nikomu. A w szczególności lekarzowi, pielęgniarce czy strażnikowi.

Personel nigdy nie wchodził do klatki. Czasem w drzwiach pojawiała się z maską na twarzy pielęgniarka, wydając jakieś polecenia funkcyjnym. Nigdy jednak nie widziałem, by przekroczyła tę granicę.

Właśnie dzięki temu sala była świetnym miejscem na ukrywanie różnych nielegalnych przedmiotów, jak radio czy wok. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by któryś ze strażników był na tyle szalony, by zdecydować się na przeszukanie klatki pełnej truposzy i nie wiadomo jakich chorób. Miejsce miało więc poważne atuty, które skrzętnie wykorzystywali obaj funkcyjni. I z tego też powodu starali się robić wszystko, by nie zostać przypadkiem przeniesionymi gdzieś indziej.

Ich podstawową metodą na utrzymanie swojej pozycji były dobre relacje z przełożoną pielęgniarką, od której praktycznie wszystko zależało. Starsza pani bezdyskusyjnie rządziła tym miejscem. Noj z Czajem, podobnie jak cała reszta funkcyjnych, dbali o to, by wykonywać starannie wszystkie jej polecenia. Pozostawał jeszcze pan doktor. Ten jednak miał wszystko gdzieś. Wyglądało na to, że zależy mu jedynie, by bezproblemowo odbębnić swój dyżur i powrócić do jakichś ciekawszych zajęć na zewnątrz. Miałem okazję poznać go osobiście kilka dni później, gdy wezwał mnie do siebie. Noj zaprowadził mnie prosto do klimatyzowanego gabinetu, gdzie ten przesiadywał.

Lekarz siedział wygodnie rozparty w obracanym fotelu. Wyglądał na typowego Taja w średnim wieku. Nigdy nie udało mi się do końca nauczyć oceniania wieku Azjatów po wyglądzie. Jego dość jasna karnacja świadczyła o dobrym statusie społecznym. Miał na sobie cywilne ubranie, z czego najbardziej charakterystyczna była wściekle różowa koszula, rozpięta luźno pod szyją. Na stole obok leżały znane mi już, przysłane przez ambasadę, dokumenty.

Przemówił do mnie po angielsku:

– Twoja ambasada chce, byśmy się tobą zajęli. Podobno masz maleng (to słowo po tajsku oznaczało raka). Osobiście mało mnie obchodzi, co tam masz – ciągnął – ale skoro nalegają, to sprawdzimy cię tutaj, a później wrócisz do swojej rezydencji – z ironią zakończył swój monolog. Następnie skinął na funkcyjnego, który natychmiast wyprowadził mnie z pomieszczenia.

To krótkie i co najmniej dziwne oświadczenie nie wyjaśniło zbyt wiele. Tego samego dnia Noj poznał mnie z pewnym mówiącym po angielsku Tajem o imieniu Tao. Siedział on w pomieszczeniu z drugiej strony placu, gdzie zajmował się prowadzeniem ksiąg rachunkowych dla strażników. Był on, podobnie jak Noj, jasnej karnacji. Jego przypominającą księżyc twarz zdobiły duże okulary. Mocne szkła powiększały jego czarne ślepie.

Kiedyś miał podobno renomowany salon Toyoty. Został aresztowany za słabość do ecstazy. Policja znalazła u niego w domu około 20 tabletek, co pozwoliło skazać go na 15 lat więzienia. Poznanie Tao cholernie mnie ucieszyło. Nie bardzo bowiem wiedziałem, jak poradzę sobie dalej, gadając tylko rękoma. Miałem do niego całą masę pytań. Zacząłem od jeszcze świeżej sprawy, prosząc, by wytłumaczył mi, o co chodzi z tym lekarzem. Czy miałem w ogóle szanse na pomoc medyczną?

Od dłuższego czasu nawalało mi sporo rzeczy w brzuchu. Zwłaszcza po przygodzie

z karcerem zacząłem dostawać coraz silniejszych bólów i skurczów, z którymi magiczny środek o nazwie paracetamol nie bardzo sobie radził. Cholernie mnie to martwiło, zwłaszcza patrząc na to, w jaki sposób można było tu skończyć.

Noj i Tao wytłumaczyli mi to tak:

– Ty, farang, możesz tu zostać, jeśli chcesz. Mrs Sangrawee chce, żebyś pomagał jej z angielskim. Ale jak zaczniesz chodzić do lekarza, zwracając mu głowę swoim problemem, to napiszą, że jesteś zdrowy i odeślą cię do dziewiątki. Po prostu siedź cicho i nie przeszkadzaj, a będzie OK – w ten optymistyczny sposób Tao zakończył wyjaśnianie.

To, co mówił, brzmiało jak kolejny absurd. Istniało jednak jedno bardzo logiczne wytłumaczenie tej sytuacji, które usłyszałem wtedy po raz pierwszy od Tao, a które później towarzyszyło mi swym echem w wielu paranoicznych sytuacjach. Brzmiało ono: „This is Thailand!”.

Doszedłem do wniosku, że z dwojga złego wolę zostać tutaj, niż wracać do dziewiątki. Jeśli by pominąć smród i umierających, było tu jednak dużo więcej luzu niż w mojej dawnej celi. Najbardziej podobała mi się możliwość korzystania do woli ze stojącego za budynkiem zbiornika z wodą. W dziewiątce były na to tylko dwie wyznaczone godziny dziennie, kiedy cała masa ludzi rzucała się do nabierania brudnej cieczy. Tu mogłem sobie spokojnie zaczekać aż większość skończy się myć. Poza tym nieocenioną ulgę przynosiła ablucja w godzinach południowych, gdy temperatura w tym betonowym terrarium stawała się cholernie nieznośna.

Kolejnego południa, stojąc właśnie obok betonowego zbiornika z wodą, przyglądałem się bąblom na mojej nodze. Te pamiątki po pobycie w karcerze ciągle rosły, sprawiając mi nieznośny ból. Reszta ukąszeń na ciele już dawno znikła. Zastanawiałem się, co mam z tym zrobić, gdy nagle pod skórą na nodze coś się poruszyło. Przymknąłem na chwilę powieki.

– Od tego słońca zaczynam mieć halucynacje – pomyślałem. Spojrzałem z powrotem na nogę, tym razem uważniej się jej przyglądając. Nacisnąłem delikatnie na jedną z zaropiałych struktur. Przeszył mnie silniejszy ból, ale ruchu już nie zauważyłem. Tak, to musiały być jakieś omamy. Nie było sensu dłużej o tym myśleć...

Do wieczora nic się nie zmieniło. Siedziałem z funkcyjnymi, którzy częstowali mnie upichconym „kho pad kao” – smażonym ryżem z kawałkami kurczaka i liści akacji. Ból w nodze stawał się coraz bardziej nieznośny. Wreszcie spytałem na migi Czaja, czy nie mają jakiejś maści na takie rzeczy. Ten przyjrzał mi się uważnie, a po chwili zawyrokował: „thang sa luk nam”. Cokolwiek to znaczyło, cholernie bolało. Następnego dnia poszedłem z nim do Tao, który wytłumaczył mi diagnozę Czaja.

– Masz w nodze larwy botfly – powiedział.

– Co?

– Botfly. To taka mucha – powtórzył.

– I one żyją wewnątrz mnie?

– Tak. On ci je może powyciągać. Tylko nie rób scen! – jego jasne zęby błysnęły w uśmiechu.

Nie rób scen?! Jakież robale zżerają mnie od środka, a ten się nabija... Ruszyłem za Czajem, który poprowadził mnie z powrotem do klatki. Wyciągnął pudełko pełne smaru – śmierdział jak zwykły maszynowy towot i pewnie tym właśnie był – po czym zaczął nim smarować moją nogę. Na koniec porozrywał torebki foliowe i owinał mi je szczelnie wokół ran. Teraz pozostało czekać. Po godzinie ból zaczął narastać i wtedy ponownie zobaczyłem, jak pod bąblem coś się poruszyło. Pozbawionym tlenu larwom przestało być wygodnie pod moją skórą. Patrzyłem na nogę z szeroko otwartymi oczami.

Dopiero następnego dnia Czaj porozmawiał z pielęgniarką, a później zwołał mnie do gabinetu zabiegowego. Po zdjęciu folii bąble wyglądały inaczej. Miały niewielkie otwory, z których wystawały białe czubki. Kilka największych znajdowało się na łydce. Czaj podszedł do mnie z długą pęsetą i powoli wcisnął ją do jednego z dużych wulkanów. Silny ból sparaliżował cały mięsień. Mój wybawca zaczął powoli wyciągać białego robala. Robił to bardzo sprawnie i wkrótce było już po wszystkim. Larwa miała około czterech centymetrów, okrągły łeb i jasny, lejkowaty, pofałdowany tułów. Trzymana między szczypcami wiła się energicznie. Twarz funkcyjnego rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, ukazując białe uzębienie. Wycedził: „czip pay”, co po tajsku oznaczało „spieprzaj”. Rozwarł pęsetę i wijący się robal upadł na ziemię. Czaj przygniótł go natychmiast nogą. Na szarej betonowej podłodze została jedynie spora brązowa plama. Teraz trzeba było zająć się resztą. Widać było, że patczula zna się na rzeczy. Pewnie robił to wiele razy. Ja nie mogłem na to patrzeć. Wyjął pięć larw. Wszystkie skończyły jako mokre plamy.

Miałem nadzieję, że najgorsze mam za sobą. Niestety, po dwóch dniach rany zaczęły się ślimaczyć, a ból, choć przytępiony, trwał nadal. Przemywanie i zalepianie gazą niewiele pomagało. Najgorsze były łańcuchy na nogach – ciągle obcierały rany, powodując dodatkowe problemy. Wreszcie udało mi się przekonać pielęgniarkę, by wstawiła się w mojej sprawie i napisała raport, żeby mi je zdjęto. Gdy przysłała zgoda, zaprowadzili mnie do tego samego kowalskiego czarta. Taj posadził mnie przy maszynie służącej do rozciągania obręczy. Przypiął haki z dwóch stron i przycisnął całym ciałem długi przegub. Stalowe koło rozchyliło się, uwalniając mnie od czterech kilogramów stali. Znowu mogłem normalnie chodzić. Każdy krok stał się tak lekki, jakbym poruszał się po pozbawionym grawitacji Księżycu.

Rany na nodze goiły się przez miesiąc. W zamian za pomoc pielęgniarki wypełniałem jej testy z angielskiego. Zaliczała je, by dostać wyższy stopień i lepszą pensję, sama niewiele z tego kapując. Do kilku innych obowiązków, które miałem, należało zakładanie kroplówek. Czaj nauczył mnie, jak dobrze wbijać igły, co nie było trudne, gdy miało się do czynienia z tak wyschniętymi, żyłastymi i anemicznymi ciałami.

Resztę wolnego czasu spędzałem na niewielkim placu, byle być z dala od widoku śmierci. Docierał do mnie tylko jej zapach, od którego nie dało się uciec. Chodziłem pośród gęstego tłumu. Tajowie siedzieli, wykonując zleconą przez strażników pracę. Wśród nich sporo osób miało poważnie uszkodzone ciała po ranach postrzałowych. Część z tych ludzi była ofiarami

kampanii rozpoczętej w czerwcu 2003 roku. Przez trzy miesiące zastrzelono na ulicach ponad 2000 osób. Wszystko to w imię wojny przeciwko narkotykom. Do takiego rozwiązania posunął się, wspierany przez administrację George'a Busha, ówczesny premier Tajlandii Thaksin Shinawatra. Oczywiście wszystkie pozwolenia podpisał sam król. Stojąca ponad prawem policja strzelała do wszystkich jak leci, często rozwiązując w ten sposób swoje prywatne porachunki. Powszechnie stosowaną metodą było podkładanie zastrzelonym kilku tabletek ya-ba lub heroiny, by uzasadnić akcję.

Sam Thaksin, pochodzący z Chiang Mai, zaczynał swą karierę jako policjant. W krótkim czasie dorobił się fortuny umożliwiającej mu startowanie w wyborach. Było jasne, że zdobył te pieniądze właśnie dzięki narkotykom. Nikt jednak głośno o tym nie mówił. Po latach, gdy na jaw wyszły inne przestępstwa byłego premiera, zaczęto też wspominać nieśmiało o niewinnych ofiarach z 2003 roku. Nikt jednak nie pamiętał o tych, którzy przeżyli postrzeleni, trafiając tu na podstawie zafałszowanych dowodów. Część z nich siedziała właśnie na tym placu. Ta armia kalek, starców i transwestytów odrabiała swoją pańszczyznę. Towarzyszył temu gwar i tłok. Nie było miejsca, gdzie można by zaznać odrobiny spokoju. Azjaci mają we krwi tłok i harmider. Ja czułem się tu jak w mrowisku.



Za budynkiem, w wąskim przejściu, było trochę spokojniej, choć dość ciasno. Siadywałem tam często przy ścianie. Dwa metry dalej sterczała już naszpikowana zardzewiałymi kolcami siatka. Za nią zaczynała się kilkumetrowej szerokości fosa. Ten kanał miał kilka zastosowań. Przede wszystkim był ściekiem, poza tym dodatkowym utrudnieniem dla ewentualnych uciekinierów. Jego smród stanowił dodatkową atrakcję – po prostu nie było miejsca, gdzie nozdrza nie byłyby atakowane intensywnym zapachem, w tym wypadku gówna. Ciecz płynęła powoli, jak jakaś wulkaniczna lawa, wypuszczając z siebie spore gazowe bąble. Widok kończył się na stojącym za fosą szarym murze. Siadywałem tam często, odpływając myślami do miejsc znajdujących się daleko poza nim. Czasem wracała silna nienawiść do Pim. Trafił mnie szlag na myśl o niej i na wspomnienie własnej głupoty. Cóż jednak mogłem z tym zrobić? Gnicie dalej w tym miejscu było jedyną opcją. Czasem przychodził do mnie Tao. Wtedy spędzaliśmy czas na gadaniu o czymkolwiek. Innym razem przysiadł się pewien mówiący po

angielsku Singapurczyk o imieniu Shiao.

Aresztowano go za posiadanie ya-ba, tajskiej amfetaminy, i skazano na 18 lat. W więzieniu na skutek infekcji stracił obydwie nogi. Okazana mu łaska spowodowała się do udostępnienia mu wózka. Nie mógł liczyć na żadne złagodzenie wyroku i powrót do domu. Siedział więc w bloku szpitalnym, radząc sobie ze swym kalectwem jak wielu mu podobnych.

XII

Interesy

Czaj z Nojem zawsze coś knuli. Zaczynało się od porannych godzin szczytu, podczas których poczekalnia wypełniała się pacjentami. W zależności od dnia przychodziły tu różne bloki. Szeregi chorych ustawiały się w kolejce do punktu, gdzie siedziała pielęgniarka, otoczona zawsze kilkoma funkcyjnymi. Wysłuchiwała przez chwilę żalów, po czym najczęściej nakazywała jednemu z funkcyjnych wydanie nieszczęśnikowi kilku tabletek paracetamolu.

Wykorzystywałem ten czas na gadanie z różnymi obcokrajowcami przychodzącymi z wycieczką potrzebujących. Była to jedyna możliwość spotkania ludzi z innych sekcji. Noj z Tao mieli natomiast okazję, by załatwić masę swoich spraw. O tych interesach dowiedziałem się dopiero, gdy zaproponowali mi udział w ich biznesie.

– Michun, spytaj swoich kumpli farangów, który chce seks z ladyboyem – zaproponował mi któregoś dnia Tao. – Dziesięć kartonów fajek i my załatwiamy miejsce pod łóżkiem w klatce, i gwarantujemy, że strażnicy nie będą się czepiać – ciągnął. Była to ta sama klatka, w której spałem, pełna umierających ludzi. Sama myśl o tym wywołała dreszcze na mojej skórze.

– Oczywiście dla ciebie za darmo, pyean (to znaczy: „przyjacielu”) – dodał Noj, uśmiechając się radośnie.

Pewnie! O niczym innym nie marzyłem. Wyglądający jak żalosna imitacja kobiet transwestyci, nazywani po tajsku „ka toj” lub z angielskiego „ladyboy”, oprócz odrażającego wyglądu w większości mieli HIV, pomijając masę innych chorób. Wszyscy znajdowali się właśnie w tej sekcji. Mieli swoją oddzielną klatkę na górze. Noj z Tao wykorzystywali napalenie większości więźniów, aranżując takie sesje z „katojami” pod łóżkiem. Wszystko działało się podczas porannych wizyt u „lekarza”. Nie był to jedyny interes prowadzony przez obu funkcyjnych. W cenie był też spirytus metylowy służący do odkażania, który po prostu pito, oraz cienkie igły nadające się do robienia tatuaży. Największą furorę robiły jednak specjalne zabiegi. Tym zajmował się Czaj. Polegały one na wstrzykiwaniu jakiegoś rodzaju soli fizjologicznej do penisa. Chętnych nie brakowało. Gapiłem się z niedowierzaniem na te praktyki.

– Chcesz? – pytał Czaj za każdym razem, gdy zastawałem go przy zabiegu.

– To robi super na puing (dziewczyny) – zapewniał.

Nie do końca wiedziałem, o jakich dziewczynach mówi. Będąc kobietą, nieźle bym się przeraził, widząc faceta z tak spuchniętym przyrodzeniem. Wyglądało to, jak gdyby zamiast

penisa mieli sporą gruszkę. Tajowie mieli fioła na tym punkcie. Może było to związane z kompleksem małego członka, który dotyczył większości Azjatów?

Zabieg „gruszki” nie był jedynym, który tu wykonywano. Wielu z nich nacinało sobie skórę na penisie, by w rozcięcia wkładać małe szklane kulki. Po takim zabiegu członek wyglądał jak maczuga. Zdarzało się jednak czasem, że pod skórę dostawała się infekcja. A wtedy wszystko kończyło się amputacją.

Z tym akurat nie było tu problemu. Mały gabinet zabiegowy radził sobie z takimi rzeczami. Jeśli zaś trzeba było obciąć coś większego, jak na przykład nogę, co zdarzało się tu często, wysyłano delikwenta do Lard Yao. Zakażone i gnijące kończyny były następnym, po HIV i gruźlicy, przekleństwem tego miejsca. Jeśli już wdała się infekcja, o którą nie było trudno we wszechobecnym syfie, nie pozostawało nic innego jak amputacja. Sam miałem dużo szczęścia, że moje rany po larwach botfly wreszcie się zagoiły. Budynek szpitalny był pełen ludzi, którzy mieli go zdecydowanie mniej.



Minęło kilka miesięcy, gdy znów zjawiała się ambasada, przynosząc wieści o śmierci bardzo bliskiej mi osoby. Wiadomość uderzyła jak bomba, wzmagając tęsknotę za rodziną i domem. Tymczasem czekała na mnie mała klatka, hałas i wszechobecny syf. Czułem, że długo nie jestem już w stanie tego ciągnąć. Wciąż nie dochodziły do mnie żadne listy. Wszystkie wiadomości ograniczały się do tego, o czym w skrócie informowała mnie ambasada.

Kilka dni później spotkałem Tomka, który przyszedł do szpitala. Spytałem go, jak to wygląda u nich.

– Stary, jestem tu prawie dwa lata i jeszcze nigdy nie dotarł do mnie żaden list. Nie mam pojęcia, co te pierdolone małpy z nimi robią – odpowiedział.

– Ale widzę, że Tajowie jakieś dostają.

– Tak, dzicy dostają jakieś listy. Ale obcokrajowcom zdarza się to naprawdę od święta. Nic na to nie poradzisz. Z ambasadą nie ma nawet co gadać, a ci pieprzeni strażnicy mają wszystko w dupie. Wręcz cieszą się, widząc, jak cię ta sytuacja rozpierdala.

– Tam, w dziewiątce, był jeden, co kazał się Tajom ustawiać w szereg i kolejno czołgać do jego stóp po listy.

– U nas też jest kilku pojebów. Jeden ostatnio zakatował Birmańczyka na śmierć. Dla nich to żaden problem. Kto się upomni o takiego Birmańczyka?

– Wiem, przywieźli go tutaj. Musiał mieć jakiś wylew wewnętrzny, bo ciało było w krwawych plamach – przypomniałem sobie. Rzeczywiście, nikt nawet nie spytał, co się z nim stało.

– Dan hok paj! – rozległo się nawoływanie funkcyjnych z piątego bloku. Tomek musiał wracać do siebie. Ja zaś poszedłem pomóc Czajowi przy zakładaniu kroplówek. Był poniedziałek. W klatce cuchnęło ohydnie gościem, który zmarł w sobotę. Dopiero dziś po południu miał zostać zabrany.

Odwiedzający nas obcokrajowcy często pytali, jak można żyć w tym smrodzie, ciągle patrząc na śmierć. Przychodzący czasem do szpitala Nissan wykrzywił jak zwykle swą pociągłą twarz, pytając:

– Jak ty możesz wytrzymać w tym smrodzie? W życiu bym się nie dał zamknąć wśród tych trupów.

– Nie wiem, Nissan. Po prostu nie za bardzo uśmiecha mi się wracać do dziewiątki. Tu przynajmniej mam większy luz i wreszcie nie noszę łańcuchów – odparłem. – Poza tym, gdybym tu nie siedział, kto podawałby ci wiadomości od Eliaha?

Te słowa zmyły na chwilę grymas z jego posępnego oblicza. Podałem mu małe zawiniątko. Była to wiadomość z bloku siódmego od jego kumpla, również z Izraela. Odkąd wylądowałem w szpitalu, wiele przychodzących do lekarza osób prosiło mnie o taką przysługę. Był to jeden z nielicznych sposobów na przesłanie informacji do kogoś w innym bloku. Przez szpital przewijało się masę ludzi. Widywałem obcokrajowców aresztowanych za kilka skrętów czy dwie pigułki. Najczęściej byli to ciężko przerażeni kolesie, przypominający mi samego siebie na początku. Wypytywali o różne sprawy, narzekając na niesamowicie surowy wyrok. Z ich punktu widzenia była to tragedia. Dla mnie byli szczęściarzami, którzy spędzą tu góra pół roku i wrócą do siebie, skądkolwiek ich лихо przyniosło. Mnie zaś czekało powolne gnienie w tym syfie...

Theravada

Spośród wszystkich religii buddyzm zawsze wydawał mi się najsensowniejszy. Między innymi dlatego, że tak naprawdę był dla mnie bardziej filozofią prowadzącą do samodoskonalenia niż wypełnioną dogmatami bajką.

Buddyzm, który poznałem i praktykowałem w młodości, miał swe korzenie w mahajanie przyniesionej do Tybetu. Tutaj poznałem kolejną z wielu ścieżek tej religii, by zrozumieć, jak bardzo różni się ona od znanej mi wadźrajany. Jej nazwa brzmiała theravada. Ta najbardziej tradycyjna forma buddyzmu, będąca oficjalną religią Tajlandii, dotarła tu około XIII wieku ze Sri Lanki, początkowo w nieco innej formie – jako hinajana.

W moim nowym domu za murami modlitwy były nieodzowną częścią codzienności. Każdego ranka o godzinie 8 rano z megafonów nadawano hymn narodowy, a zaraz po nim modlitwę. Długie szeregi ludzi powtarzały recytowane w języku pali wersety. Gdzieś między zwrotkami słychać było:

„...Niechaj wszystkie istoty, które żyją – niedołączone, silne czy jakiegokolwiek inne, długie czy duże, średnie, krótkie czy małe, widzialne i niewidzialne, żyjące daleko i tuż obok, narodzone czy mające przyjść na świat – **niechaj wszystkie istoty będą szczęśliwe i mają się dobrze**”.

Z perspektywy tego miejsca brzmiało to jak czysta hipokryzja. Dalsza część modlitw wypełniona była oddawaniem boskich czci. Budda był tu takim samym bogiem jak dla innych Ganesha czy Chrystus, choć sam – wedle znanej mi historii – nigdy za takiego się nie uważał.

Fajne było to, że theravada wcale nie wyparła starszych wierzeń i magii. Odwrotnie niż chrześcijaństwo rozprawiające się u nas ogniem i mieczem z pogańskimi świątkami. Tutaj buddyzm mieszał się z hinduizmem i starymi plemiennymi tradycjami.

Wszędzie towarzyszyły mi obrzędy i symbole, w które wierzyli Tajowie. Właściwie wszyscy oprócz magicznych tatuaży nosili najróżniejsze amulety, jako naszyjniki lub przepaski biodrowe. Ci, których było na to stać, mieli ich co najmniej kilka. Wszystkie bardzo silnie związane z naturą i podświadomością, a przede wszystkim z mitologią hinduską. Nawet posiadający niezłe, ścisłe wykształcenie Tao zawieszał na szyi kilka amuletów, święcie wierząc w ich skuteczność. Pewnego dnia, gdy pytałem go o zadziwiające zasady ruchu drogowego w Tajlandii, które fascynowały mnie już od pierwszego pobytu w Bangkoku, usłyszałem:

– Po co zapinać pasy bezpieczeństwa, jeśli ma się ochronny talizman!

Z takim argumentem ciężko było polemizować. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego z takim trudem forsowałem skrzyżowania, gdzie absolutnie nikt nie pomyślał o światłach dla pieszych.

Po prostu nie miałem odpowiedniego amuletu!

Często spotykanym symbolem i przedmiotem wierzeń był Naga. Pochodzące z hinduskiej mitologii Nagi – pół ludzie, pół węże – zamieszkiwały mistyczny las Himapan. Tajowie wierzyli,

że po dziś dzień żyją w mętnych wodach Mekongu. Najważniejszy z tych fantastycznych stworzeń był skrzydlaty Garuda. Reprezentował tu królewską władzę. Stąd też wszystkie państwowe dokumenty, łącznie z moim aktem oskarżenia, posiadały jego charakterystyczny emblemat. Nie brakowało innych bóstw, jak piękny Hong czy pół słoń, pół tygrys Rajasi. Aczkolwiek one – budzące naiwne emocje czy nawet strach – należały raczej do plemiennych wyobrażeń. Cała armia różnych duchów i demonów, poza indyjską Marą, nazywana była Naguła. I to właśnie przed nimi miały chronić tatuaże i amulety.



Mnie osobiście bardziej od bytów metafizycznych doskwierały te realne. Po zakończonej historii z larwami moje ciało nawiedziły inne robaczki. Były to małe scabies. Te mikroskopijne pajęczki składały w skórze jajka, po czym powoli zaczynały kolonizację. Towarzyszyło temu okrutne swędzenie. Pewnie dlatego po polsku ten pasożyt nazywany jest świerzbowcem.

Dostałem od pielęgniarki wyglądającą jak mleko truciznę. Musiałem nią smarować całe ciało kilka razy dziennie, by wytępić małych kolonizatorów. Niewiele to jednak dawało. Brudne szare koce i reszta syfu były wspaniałym rajem dla tych stworzeń. Gdy swędzenie trochę ustawało i już cieszyła mnie myśl o pozbyciu się dziadostwa, na rękach między palcami, w pachwinach i wszelkich fałdach znów pojawiały się charakterystyczne bąbelki. Oznaczało to, że zwierzątka czują się dobrze i właśnie złożyły nowe jaja...

W ostatnich dniach września do mojego bloku przywieziono martwego Massimo. Był to Włoch aresztowany za kokainę. Spotykałem go często w szpitalu. Skarżył się na jakieś dolegliwości. Jak widać, lekarz specjalnie mu nie pomógł. Podobno zmarł w nocy, leżąc w klatce. Cóż, na pogotowie nie było szans stąd zadzwonić. Ciało położono w naszej sali, gdzie musiało czekać na popołudniowy przyjazd policji i koronera. Oficjalny raport głosił, że Massimo zmarł właśnie w szpitalu. Nie miałem pojęcia, skąd akurat taka wersja. Może dla włoskiej ambasady, by nie robiła problemów.

XIV

Niespodziewany gość

W połowie października wezwano mnie znowu do pokoju wizyt. Tym razem zamiast konsula, z panią attaché siedział wysoki, lekko łysiejący pan. W trakcie rozmowy wyjaśniło się, że jest polskim adwokatem. Został wynajęty przez moją rodzinę, by zbadać wszystkie okoliczności. Takiego obrotu spraw w ogóle się nie spodziewałem. Moi bliscy, z którymi praktycznie nie miałem kontaktu, starali się zrobić wszystko, by mi pomóc. Musiał dojść do nich któryś z moich listów lub konsul przekazał, o co prosiłem. Jakkolwiek było, ważne, że zostałem zrozumiany. Chodziło mi przede wszystkim o to, by pozbyć się Sumsaka, tymczasem w zamian dodatkowo pojawił się nowy adwokat! Ta niespodziewana wizyta znów rozbudziła moją nadzieję.

Zdawałem sobie sprawę, że wydano kolejne, jak dla mnie kosmiczne, sumy na mojego obrońcę. Jak dowiedziałem się kilka lat później, moja mama sprzedała swoje mieszkanie, by zapłacić żądane przez niego wynagrodzenie, gdyż moje własne było już zadłużone i nie nadawało się na sprzedaż. Pan mecenas podobno był specjalistą od prawa międzynarodowego. Czy mógł jednak występować tu w mojej obronie lub pomóc mi w jakikolwiek inny sposób? Bardzo chciałem w to uwierzyć, choć rozsądek podpowiadał coś zupełnie innego.

Facet wydał się miły, wręcz przyjacielski. Zaczął od podbudowywania mojego morale i opowieści o swych lokalnych kontaktach. Zamierzał spotkać się z Sumsakiem, by ocenić jego działania. Rozmowa nie trwała długo i ostatecznie umówił się ze mną na kolejny dzień, gdy będzie już po spotkaniu z moim tajskim „obrońcą”.

Czekałem na tę wizytę od świtu. Wreszcie, około 11, wywołano moje imię. Na wstępie rozmowy przeszliśmy na „ty”. Niecierpliwie spytałem Karola o spotkanie z Sumsakiem.

– Ach... Trochę mi zawalił dzień ten Sumsak. Umówiłem się z nim w ambasadzie, ale spóźnił się o kilka godzin. Dlatego nie zdążyłem na inne spotkanie w twojej sprawie.

– I... – ponaglałem, licząc na więcej szczegółów i jego opinię.

– Dostałem kopie akt i będę się w tej kwestii konsultował przez moje tutejsze kontakty. Nie ma sensu, żebym ci o tym opowiadał.

– Rozumiem, że ty mnie tu bronić nie możesz? – zadałem retoryczne pytanie.

– Jest wiele sposobów, bym mógł ci pomóc. Jeśli nie teraz, to po wyroku. Może będzie się dało przenieść cię do Polski. Na razie nic nie mogę obiecać. Ten Sumsak nie jest zbyt lotny, ale nie sądzę, by trzeba było z niego rezygnować. Na razie muszę się rozejrzeć. A ty się zrelaksuj i czekaj.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Pozostało mi wrócić do bloku, by się „relaksować”. Karol miał się pojawić z powrotem za parę dni. Nigdy nie należałem do osób cierpliwych. I choć

w tym miejscu przeszedłem już masę lekcji poskramiających moją pogoń za czasem – właściwie uczył tego każdy dzień – teraz kolejne godziny przepełnione były wyjątkowo szaleńczym oczekiwaniem. Rozbudzone nadzieje zaczęły się wyrwać poza klatkę i mury, by po chwili wracać i jeszcze bardziej mnie dobijać swą nierealnością. A nuż gdzieś tam istniała jakaś szansa, by adwokat mógł wszystko odkręcić i wydostać mnie stąd – kołatało mi po głowie.

Po kilku nieprzespanych nocach – wreszcie kolejna wizyta. Karol mówił ogólnie, głównie o swoich kontaktach. Wywnioskowałem z jego słów, że na razie nie ma żadnego konkretnego pomysłu. Wróci do Polski, a ja zostanę z Sumsakiem na karku.

Zdecydowałem się bez ogródek przedstawić mu praktyczną stronę mojej sytuacji prawnej. On poznawał tutejsze prawo przez tajskich kolegów po fachu, ja widziałem działanie tego systemu w praktyce, gdy wracały kolejne transporty z sądu. Ludzie opowiadali, jakie dostawali wyroki i za co. Wiedząc to wszystko, ciężko było mi podzielać jego optymizm. Choć wcale nie chciałem urazić jego zawodowej dumy i negować posiadanej przez niego wiedzy.

– Karol! Jeśli nie ma żadnej innej drogi, to moją jedyną szansą, by nie wylądować w celi śmierci, jest odkręcenie tego, w co wpuścił mnie Sumsak. Może później będziesz mógł mi jakoś pomóc?

– Uspokój się, dobrze? Rozmawiałem z nim już o tym. Powiedział, że jeśli chcesz się przyznać, to nie będzie ci stawał na drodze. Nie ma sensu toczyć z nim wojny. On ma podobno układy w sądzie. Niech już prowadzi twoją sprawę.

– Skoro tak mówisz... Ja wiem jedno. Jak tylko zjawię się na kolejnej rozprawie, muszę podnieść rękę i, wypowiadając tajskie „lap salap pha”, przyznać się do winy.

– Myślę, że przesadzasz z tą karą śmierci, ale skoro tak chcesz... Porozmawiam z Sumsakiem jeszcze raz. Jutro mam samolot do Polski.

Do mojej kolejnej rozprawy zostało jeszcze pół roku. Miała się odbyć w okolicach kwietnia. Karol obiecał zjawić się ponownie przed samym jej rozpoczęciem. Po pożegnaniu każdy z nas wrócił do swojego świata. O dziwo czułem się podbudowany, mimo iż nie usłyszałem nic konkretnego. Pozostawało czekać, aż zacznie się druga część mojego procesu. Jakikolwiek byłby jej wynik, wiedziałem już na pewno, że będę mógł liczyć na moich bliskich. Nadal nie umiałem sobie wyobrazić, że mógłbym tu zostać do końca życia. Choć fakty mówiły zupełnie co innego.

XV

Przeprowadzka

– A masz pieniądze? – spytał, siedząc rozparty w swoim obrotowym fotelu lekarz.

Rozmawiałem z nim o możliwości zrobienia pewnych badań w pobliskim Lard Yao, zwanym również Klong Prem. Liczyłem, że uda mi się tam przenieść. Podejmowałem ten temat już kilka razy z pielęgniarką. Bezskutecznie.

Nie miałem jeszcze wyroku, co było dla niej podstawowym problemem. Bambat Phiset był aresztem śledczym dla ludzi skazanych za narkotyki i tych z wyrokami nie wyższymi niż 20 lat. W Lard Yao zaś przebywali skazani za różne sprawy, ale już z zapadniętymi wyrokami. Przynajmniej tak było od niedawna. Tutejsze przepisy ciągle ulegały zmianom. Często pozbawione sensu i logiki tworzyły jeszcze większy chaos. Taka jednak była specyfika tego miejsca, a nawet kraju. Nauczeni od dziecka ślepego wykonywania poleceń Tajowie nigdy nie ośmielali się kwestionować bezmyślnych decyzji swoich przełożonych. Jeśli zaś chodzi o regulacje w sposobie rozlokowywania więźniów, jedno się tylko nie zmieniało. Jeśli dostało się duży wyrok lub karę śmierci, opcja była tylko jedna – Bang Kwang.

Tego dnia lekarz powiedział, że mógłbym pójść do Lard Yao na badania, jeśli zapłacę mu 30 000 bathów. Był to odpowiednik około 3000 złotych. Nie widziałem innego wyjścia, jak zgodzić się na jego warunki. Obiecałem wpłacić żadaną sumę zaraz po wizycie ambasady.

Pani attaché pojawiła się pod koniec października. Poprosiłem ją o przekazanie informacji mojej rodzinie, wpłacenie pieniędzy i o rozmowę z lekarzem. Oficjalnie suma miała być zapłatą za badania, bez wzmianki o łapówce, a spotkanie pani attaché z doktorem miało jedynie uwiarygodnić i przyspieszyć cały proces. Wszystko musiało się udać, bo już kilka dni później pielęgniarka powiedziała mi o przygotowanych dokumentach przynosin. Cieszyło mnie, że tym razem mogłem liczyć na szybką pomoc pani attaché.

Po dwóch tygodniach przyszło pismo o przeniesieniu. Zanim jednak pozwolono mi się spakować, zabrano mnie z powrotem do miejsca, gdzie zakładano kajdany. Nie mogłem zostać przeniesiony bez tej „miłej” formalności. Znow miałem na nogach kilkukilogramowe żelastwo.

Tao i Noj pożegnali mnie słowami „chok dii”, oznaczającymi życzenia powodzenia. Z bloku wyprowadziło mnie dwóch strażników. Byłem pewien, że zabiorą mnie do głównej bramy i stamtąd pojedziemy jakimś autem. Ku mojemu zdziwieniu strażnicy skręcili w odwrotnym kierunku. Mój tajski nie był wystarczający, by zrozumieć, o co chodzi. Wlokłem się więc bezradnie za dwoma ubranymi w mundury Tajami. Minęliśmy blok dziewiąty, aż wreszcie stanęliśmy przy małych, mocno zardzewiałych drzwiach w murze. Było to naprawdę niewielkie przejście. Przypominało *Tajemniczy ogród* lub historie jak z *Alicji w krainie czarów*. To porównanie miało się jednak nijak do tego miejsca. Mimo wszystko drzwi wydały mi się w jakimś sensie magiczne. Jeden ze strażników wyciągnął spory klucz. Włożył go w zamek, następnie wśród zgrzytów i trzasków otworzył przejście. Po drugiej stronie rzeczywiście był ogród. Tak przynajmniej myślałem, dopóki nie przeszliśmy kolejnych dziesięciu kroków. Zieleń ustąpiła miejsca niewielkim klatkom. Stały po obu stronach drogi, a z ich wnętrza wydobywało się charakterystyczne chrumkanie.

Z każdym krokiem coraz bardziej opadała mi szczęka. Co robiła świńska farma w środku więzienia? Sto metrów dalej skręciliśmy w prawo, dochodząc do białej budowli znajdującej się na środku ronda. Tu rozgałęziały się drogi do poszczególnych sekcji. Strażnicy przekazali mi kilku funkcyjnym. Wyglądali oni trochę inaczej niż w Bambat. Zamiast koszulek nosili ciemnogrnatowe mundurki. Gdyby nie podstarzałe twarze, można by ich było pomylić z drużyną harcerską lub pionierami. Zaczęto sporządzać stosowne formularze, łącznie z sesją zdjęciową i odciskami palców.

„Biały dom” – jak nazywano budynek administracyjny na środku placu – opuściłem już w towarzystwie dwóch patczula. Poszliśmy prosto, mijając kolejną bramę z szeregiem kontrolnych punktów. Dalej stał szpital. Wysoki na sześć pięter budynek został niedawno wykończony, zajmując miejsce starego, małego szpitalika. Podobno jego budowę sponsorowali Amerykanie. Na pewno była to duma tajskiego systemu penitencjarnego, świadcząca o tym, jak jest on sprawny i komfortowy.

W środku rzeczywiście było nadzwyczaj sterylnie. Cicha, nowoczesna winda zawiozła mnie prosto na piąte piętro. Kondygnacja miała kształt atrium. W wolnym lufcie zawieszono stalowe siatki, służące jako zabezpieczenie, by ktoś przez niego nie wyskoczył. Kwadratowy korytarz prowadził do poszczególnych klatek. Na tym piętrze znajdowały się trzy duże sale. Zamknęto mnie w pierwszej z nich.

– You, paj, paj – odezwał się jeden z Tajów, próbując przepchnąć mnie dalej.

Ruszyłem do środka. Na około 30 metrach kwadratowych stało ponad 40 łóżek. Taj wskazał mi jedno z nich. Biała pościel i czystość wręcz raziły w oczy. Usiadłem na wskazanym miejscu i spojrzałem przez zakratowane okno. Z piątego piętra widać było całą okolicę. Tak dawno niewidziany świat zza murów po prostu mnie zahipnotyzował. Trwałem w ten sposób aż do wieczora, gdy ostro jarzące się świetlówki wewnątrz sali zabiły odległe obrazy. Sufit był utkany podłużnymi lampami i kamerami. Światło raziło nawet po zamknięciu powiek. Po raz pierwszy od ponad pół roku leżałem w łóżku. Musiałem zarzucić na głowę koszulkę, by zgasić blask i spróbować zasnąć.

Rankiem zaczęła się krzątanina. Funkcyjni latali z klasycznym obchodem: temperatura i ciśnienie. Liczyłem, że później otworzą się drzwi od klatki i wypuszczą nas na jakiś wybieg. Okazało się, że byłem w błędzie. Pozostało cieszyć się łóżkiem i widokiem z okna. Tak mijały kolejne dni. Zauroczenie panoramą zmieniło się w irytację. Spytałem jednego z funkcyjnych, czy mogę porozmawiać z lekarzem. Chciałem się dowiedzieć, co dalej!

– Mo me mi – tyle zdołałem zrozumieć. Nikt nie mówił po angielsku. Ten krótki zwrot oznaczał brak lekarza. Nie wyjaśniało to jednak wiele.

– Mo ma nyng atii (lekarz pojawia się raz na tydzień) – dodał Taj.

W trzech salach na tym piętrze leżało ponad 120 osób. Duży szpital z zewnątrz mógł się wydawać niesamowicie nowoczesnym, jak na te warunki, miejscem. Tymczasem nie było tu prawie w ogóle opieki medycznej.

Kilka dni później miałem okazję przekonać się o tym w praktyce, gdy na salę trafił jeden młody Taj. Jego historia w pełni pokazuje, jak dbano tu o pacjentów. Przywieziono go z dalekiej prowincji Phetchaburi. Jego rodzina słono zapłaciła za przeniesienie go z małego więziennego szpitalika do dużego, nowoczesnego gmachu w Bangkoku, licząc na to, że ktoś mu tu pomoże. Chłopak miał nie więcej niż 18 lat, chude, patykowate ciało i strasznie rozdęte bebech, na środku którego widniała duża blizna po niedawnej operacji. Funkcyjni położyli go na jednym z łóżek i podłączyli kroplówkę. Mijały kolejne dni, a on wciąż leżał, biadoląc coś pod nosem. Nikt się

tym jednak specjalnie nie przejmował. Wreszcie po czterech dniach nad ranem umarł. Nie miałem pojęcia, jaki miał problem. Dowiedziałem się tylko, że jego wyrok był niewielki. Za kilka tabletek ya-ba został skazany na dwa lata, z czego do wyjścia zostało mu już tylko dwa tygodnie. Nie udało się!

Lekarz przyszedł następnego dnia. Była to środa. Nie wszedł nawet do klatki, by zrobić obchód. Funkcyjni postawili mu biurko na początku holu. Strażnicy otworzyli klatki i po kolei wywoływano pacjentów. Przyszła i moja kolej. Doktor był mały i korpulentny, a nazywano go Budmi. Jego akcent z trudem pozwolił mi zrozumieć angielskie słowa.

– Dobrze, sprawdzimy cię. Następny! – tak skończyła się nasza hiperszybka rozmowa.

Kilka dni później w sali znowu pojawiła się śmierć. Przez moment panowało poruszenie. To był jeden z tych przypadków, które w ostatnich godzinach życia popadają w obłąd, co było tu zresztą dość częstą regułą. Ktoś zakręcił cicho syczący tlen. Na łóżku pozostały szczupłe zwłoki. Z półotwartych ust wydobywał się niemy krzyk. Później obserwowaliśmy już tylko ten sam rytuał zabierania ciała. Rodzina mogła je zobaczyć dopiero, gdy opuściło mury. O ile więzień jeszcze ją miał. Często, po wielu latach spędzonych w tym miejscu, okazywało się, że świat i bliscy już dawno o nim zapomnieli. Widziałem tu ludzi, którzy umierali po 30 lub 40 latach w więzieniu. Tu był cały ich świat. Lard Yao mieściło w swych murach 20 000 ludzi. Podobno to najliczniejsze więzienie w Azji, a nawet na świecie. Dla przynajmniej 40 procent skazanych – dom na długie lata lub resztę życia. Najwięcej starych ludzi trafiało tu jednak z Bang Kwang. Większość skazanych za narkotyki nie miała już zobaczyć świata po drugiej stronie muru.

Tak było z Wiladem. Mówiący trochę po angielsku Taj trafił tu jakiś tydzień później. Był w więzieniu już 25 lat. Zamknięto go za historię z heroiną. Chciał tylko trochę zarobić, ale złapali go z kilogramem towaru. Jedna pomyłka i „game over”.

Wypytywałem Wilada o Bang Kwang. W końcu liczyłem się z tym, że mogę tam trafić. Patrzył na mnie tępym wzrokiem, opowiadając jakieś chaotyczne historie.

– Ty, farang, masz pieniądze. U nas w Bang Kwang masz pieniądze – dużo pomóc. Strażnik płacić żyć lepiej. Jedzenie strażnik sprzedawać też.

Wśród Tajów panowało przekonanie, że biali są zrobieni z banknotów. Wilad myślał podobnie. Tu, w szpitalu też można było zamówić coś poza wydawanym dwa razy dziennie ryżem z ochłapami. Niestety, chwilowo należałem do niewyobrażalnej dla niego grupy białych bez kasy. Ciężka pozycja w takim miejscu. W takiej sytuacji dochodzi do głosu prawo silniejszego. Zabiorą ci nawet tę darmową miskę ryżu, jeśli się im nie postawisz. Tak wyglądała druga strona Krainy Wiecznego Uśmiechu.

Najgorsza była jednak nieznajomość języka. Nigdy nie wiedziałem do końca, co się właśnie dzieje. Przez miesiąc wyszedłem z klatki tylko kilka razy. Najczęściej jedynie na parter, gdzie robiono mi prześwietlenie albo pobierano krew.

Któregoś dnia zrobiło się lekkie zamieszanie. Strażnicy zaczęli wyciągać wszystkich w łańcuchach. Z mojej sali, łącznie ze mną, wyszło dziesięć osób. Sprowadzono nas na dół

i dalej, do dawnej, oddzielonej części szpitala. W starej, nieużywanej klatce stłoczono jakieś 200 osób. Ni cholery nie mogłem się dowiedzieć, o co chodzi. W klatce było dość ciasno i nie bardzo dało się położyć. Sytuacja przedłużała się do późnych godzin. Po południu przyniesiono nam ryż i dalej nic. Zostaliśmy tam na noc i cały następny dzień. Wypuszczono nas dopiero pod wieczór. Wracając do nowego szpitala, zauważyłem znanego mi funkcyjnego, który mówił trochę po angielsku. Na początku nie był zbyt chętny, by odpowiadać na moje pytania. Wreszcie przemówił:

– Farangów dużo przyszło... Doktor oprowadzał. Pokazywał im szpital.

Niewiele z tego zrozumiałem. Co odwiedziny jakichś białych miały wspólnego z zamknięciem nas w ukryciu? Dowiedziałem się tego kilka tygodni później, gdy przeniesiono mnie do bloku numer 6.

Podczas mojego pobytu w szpitalu, w Bangkoku odbywała się konferencja ONZ. Jej tematem było prawo i systemy penitencjarne. Spotkanie zostało zorganizowane przez ówczesnego premiera Tajlandii. Tego samego, który rok wcześniej wydał decyzję, po której na ulicach zastrzelono 2000 domniemych dealerów. Urządzano z tego tytułu różne szopki, przypominające wieś potiomkinowską^[8], by udowodnić, jak dobrze żyje się w tutejszych więzieniach. Z jednego z bloków, który zamierzano pokazać gościom, wysiedlono połowę ludzi. Przeniesiono ich do innej sekcji, upychając w jeszcze bardziej nieludzki sposób. Zaś ten wyludniony blok zamieniono na parę dni w prawdziwy raj. Przywieziono filtry. Z koryt do mycia leciała czysta woda. Zorganizowano stołówkę, gdzie podano lepsze żarcie. Pojawił się nawet jakiś komputer, by można było powiedzieć, że więźniowie uczą się go obsługiwać.

To samo stało się w szpitalu. Schowano nas, bo mieliśmy na nogach łańcuchy. A tego przecież ludziom z ONZ nikt nie chciał pokazywać. Po udanych wycieczkach powstał bardzo zgrabny raport komisji ONZ, jak to dobrze jest w tajskich więzieniach. Tylko wyroki trochę za długie. Pewnie domyślali się prawdy, ale ich po prostu nie obchodziła, więc wszystko wróciło do „normy”.

Minął ponad miesiąc mojego pobytu w szpitalu. Po kilku prześwietleniach i badaniach krwi znów wywołano mnie na korytarz.

– Jesteś zdrowy, odsyłamy cię do bloku – oświadczył lekarz.

Pomijając śmieszność przeprowadzonych tam badań, bardziej zastanawiało mnie, gdzie ruszę dalej. Czy wracam do Bambat?

– Nie, zostajesz tu, w Klong Prem.

Ta wiadomość mnie ucieszyła. Nie uśmiechało mi się wracać na stare śmieci.

Po południu przyszli po mnie funkcyjni. Zabrano mnie z powrotem do „Białego domu”. Tam dostałem swój numer: 5683/48. Dawał on wyobrażenie, jak liczne jest to mrowisko. Później trafiłem do bloku numer 6.

Przestrzeń była przynajmniej trzy razy większa od sekcji w Bambat. Na środku placu stało nawet kilka drzew. Resztę miejsca zajmowały głównie hale fabryczne, gdzie pracowali więźniowie. W biurze zawiadującym tą szarańczą mówiący trochę po angielsku Taj wspomniał o jakichś innych Polakach, gdy podałem mu swoją narodowość. Poprosiłem, by ich zawołał przez megafon. Spojrzał na mnie niepewnie, po czym nachylił się nad mikrofonem i zaczął sylabizować:

– Tom-ak Ba-szt-szto-szcze-szc-szczu – nie był w stanie tego wymówić.

Po dłuższej chwili zobaczyłem zmierzającego do budynku Tomka. Był to ten sam Polak, którego poznałem w Bambat.

– Wiedziałem, że chodzi o mnie. Te dzikusy nigdy nie nauczą się wymawiać mojego nazwiska – zaczął rozbawiony.

– Co ty tu robisz, stary? Jak się wam udało...

Byłem totalnie zdziwiony, ale i ucieszony z tego spotkania. Po chwili dołączył do nas Paweł. Drugi Polak.

– Przynajmniej pogadam sobie trochę we własnym języku – pomyślałem.

– Ambasada załatwiła nam przeniesienie – wyjaśnił Tomek. – Jest szansa, że w przyszłym roku wrócimy do Polski.

– Zawodowo!

– Pewnie. Jesteśmy tu już trzy lata. Przy naszym siedmioletnim wyroku możemy się starać o transfer po czterech.

Tyle też wiedziałem. Pozostało tylko im pozazdrościć. Z moim potencjalnym przyszłym wyrokiem nie miałem takich szans. Po ich powrocie do kraju będę tu jedynym Polakiem. Takie były realia. Teraz pozostało się cieszyć tym, co jest. Z chłopakami zawsze było łatwiej powoli się tu zaadaptować.

To miejsce, oprócz dealerów i narkomanów, roiło się od zawodowych złodziei i morderców. W takiej dżungli trzeba się było nieźle pilnować. Średni wyrok za morderstwo wynosił 20 lat. Za narkotyki – 50 lat. Wynik był taki: narkotykowi stanowili ponad 70 procent więźniów i raczej stąd nie wychodzili. Reszta dostawała małe wyroki, często znacznie skracane amnestiami, które nie obejmowały narkotyków.

W efekcie Lard Yao posiadało ponad 20 000 „rezydentów”, co czyniło je jednym z najliczniejszych więzień na świecie. Taki stan rzeczy to czysty interes dla departamentu więziennictwa. W tajskiej kulturze defraudacja środków publicznych jest tak naturalna jak uśmiech czy codzienna miska ryżu. Pod pretekstem oczyszczania społeczeństwa z plagi narkotyków liczba skazanych stale rośnie. Na więzienia przeznaczane są spore środki z budżetu, z których tylko niewielka część trafia realnie na potrzeby izolowanych. Kradną wszyscy,

zaczynając od wysokich urzędników, a kończąc na zwykłych strażnikach. Prostym przykładem jest sposób defraudacji sum przeznaczonych na wyżywienie lub polepszenie infrastruktury. Bierze się rachunki na dobry ryż, a w zamian do więzienia trafia najgorszy z możliwych. Wpisuje się remont instalacji sanitarnych – system powstaje tylko na zdjęciu! Tak dzieje się ze wszystkim. Po prostu kolejny złoty interes ludzi będących przy żłobie.

Król powiedział: „Sprzedający narkotyki to najwięksi przestępcy! W odróżnieniu od morderców oni zabijają miliony”. Któregoś dnia w tajskiej telewizji obejrzałem szokujący materiał propagandowy. Wyraźnie odurzony człowiek próbował wyrzucić przez okno małe dziecko. Taka rzecz potrafi wstrząsnąć każdym. Podano, że mężczyzna był pod wpływem ya-ba, „tabletek szaleństwa” – jak można przetłumaczyć tę tajską nazwę. Nie było jednak dodatkowej wzmianki, ile alkoholu musiał wypić, by doprowadzić się do tego stanu. Statystyki policyjne większości cywilizowanych krajów podają, że większość desperackich zachowań notowana jest u ludzi, którzy pomieszali amfetaminę z alkoholem, a nie zastosowali ją samą... Dzięki takim medialnym kombinacjom bez problemu można panować nad opinią społeczną.

W końcu zapchane do granic możliwości więzienia nie wystarczają. Trzeba więc budować nowe i biznes się kreci. Sprytna propaganda ma też inne podłoże. Spędzający życie w klatkach nieszczęśnicy są w 90 procentach zaledwie małymi płótkami. Biedakami i idiotami, którzy dali się skusić mamonie, zostali zmuszeni lub nawet niewinnie oskarżeni przez policję, by ta mogła poprawić statystykę i dostać premię. Prawdziwi baronowie narkotykowi siedzą sobie wygodnie na wysokich stanowiskach i dbają, by sytuacja się nie zmieniła. Wiadomo – im wyższe kary, tym wyższa cena i lepsza koniunktura. Nieoficjalnie wiadomo, że ludzie tacy jak Thaksi zawdzięczają swe majątki właśnie narkotynom. To, jak wielu policjantów czy strażników zajmuje się bezkarnie tym interesem, sam miałem okazję zobaczyć.

^[8] Wieś potiomkinowska – atrapa, pozory maskujące przykrą rzeczywistość. Nazwa pochodzi od makiet wsi, które kazał budować Grigorij Potiomkin (1739-1791), namiestnik Krymu, na czas wizytacji carycy Katarzyny II.

XVI

Dan 6

– Jeśli trzymasz z nami, to możesz tu siedzieć. Chyba, że wolisz czarnych? – pytał Adam, wysoki blondas. Był Amerykaninem. Złapali go za podrabiane czeki bankowe i paszporty. Dostał pięć lat i niebawem czekał go powrót do Stanów. Sprytnie, małe oczka zakrywał okularami przeciwsłonecznymi. Rozmawialiśmy o jakiejś miejscówce. Moi dwaj ziomkowie mieli zajęte miejsca przy Nigeryjczykach. Na kolejnego białasa było tam jednak za ciasno. Adam sam przyszedł z propozycją. Ulokował się kilka metrów dalej, przy betonowym odlewie. Koczował tam z jednym potężnym Algierczykiem – złodziejem kieszonkowym z trzyletnim wyrokiem, i Alim – małym irańskim kombinatorem. Panujące tu zasady były jasne: albo trzymasz z jakąś grupą, albo oglądasz się ciągle za plecy.

Po sporym placu krzątała się ponadtysięczna menażeria różnych dziwnych typów.

Niektóre dzikie gęby olewały wszystko. Mogli cię zadźgać za parę drobniaków, jeśli nic ich nie powstrzymało. Koleś, który zabił już kilka osób i miał na karku 20-letni wyrok, miał gdzieś, czy dołożą mu jeszcze parę kolejnych latek. Byli tacy, których mogłeś wynająć za kilka stówek lub działkę hery. W ten sposób załatwiano tu sporo porachunków. Takich, którym na niczym już nie zależało i mogli zabić dla kasy, nazywano z japońskiego „samurajami”. Większość z nich to były dzieciaki lub w miarę młode typy. W ich ciemnych oczach drzemało jakieś szaleństwo. Po akcji zabierano ich do karceru na parę miesięcy, a później trafiali tu z powrotem. Ich ofiary, którym trafiał się kawałek zaostzonego pręta pod żebra, już raczej nie wracały. Pięciu strażników znajdujących się w budynku i z tuzin funkcyjnych nie panowało zupełnie nad takimi sprawami. Poza tym większość sama była zaangażowana w różne machloje.



Stałem przy korycie z wodą do mycia, nabierając kolejną miskę brunatnej cieczy i wylewając ją na siebie. Lepki płyn dawał przyjemny chłód.

– W domu to chyba sobie wystawię na balkon wiadro i tak się wykapię – śmiał się stojący obok mnie Tomek. – Jak niby inaczej miałbym to zrobić po latach w tej dżicy?

– A ten tam, co robi? – Wskazałem na skuloną przy betonowym słupie postać.

– Cha, cha! Nazywam go „władca much”. Podobno jest tu już 30 lat. Siedzi cały dzień i łapie muchy. Nie widziałem, żeby robił coś poza tym.

Starzec siedział wygięty w nieruchomej pozycji jak modliszka. Jego oczy skoncentrowane na jednym punkcie mrugały z rzadka. W prawej ręce trzymał plastikową torbę, do której zbierał małe, czarne robale. Właśnie następny wylądował wewnątrz przezroczystego plastiku.

– Siedzi tu cały dzień. Najpierw je łapie, a później kroi na małe kawałki i daje mrówkom. Taką małą hodowlę sobie facet założył, cha, cha, cha...

Wariatów tu nie brakowało, tak samo jak much, karaluchów czy... kotów. Muchy były wszędzie, gdzie nie wlażyły karaluchy. Rankiem oblepiały nasłoneczniony beton i wszystko, co tylko się przed nimi nie odganiało. Później przechodziły do ataków w cieniu. Ich bzyczenie towarzyszyło nam od rana do nocy. Tajom, nieposiadającym mikrowłosek na skórze, praktycznie nie przeszkadzały. Ja czułem je wszędzie. Co chwilę odzywało się swędzenie, wywołane przez którąś z nich, spacerującą po mojej nodze czy ręce. Następne w kolejce były karaluchy. Te potrafiły wpięprzać nawet papier i materiał. Wciskały się w każdy kąt i do każdego lockera, gdzie jadły co się dało, w zamian zostawiając czarne bobki odchodów.

Koty były tu z kolei najliczniejszą grupą ssaków, zaraz po Tajach.

– Mój „fad bastard” ma dożywocie – mówił poważnie Adam, karmiąc dużego kocura resztkami obiadu z plastikowego worka.

System sprzedawania jedzenia był tu podobny jak w Bambat. Zaletą było to, że cała transakcja odbywała się szybciej. W bloku stała mała buda, nazywana „sklepem”, gdzie dostarczano codziennie zamówione woreczki. Były one napełnione typowo tajskimi mieszankami i stanowiły jedyną alternatywę dla głodowych porcji wydawanych dwa razy dziennie z dużych kotłów, które przyjeżdżały na plac. Nawet Tajowie nie bardzo mogli to jeść, strażnicy zarabiali więc fortuny, sprzedając przynajmniej dwa razy drożej bardziej przyzwoite zarcie.

Wyleniące zwierzę Adama nie było okazem zdrowia. Jak wszystkie inne, i ten kocur urodził się i miał umrzeć w tym bloku. Choć zdarzały się i przypadki przenosin. Czasem któryś z kotów zaszedł komuś za skórę. Wtedy dostawał lotniczą eksmisję. Wkładano zwierzaka do torby i przrzucano za czterometrowy mur. System działał w obie strony. Niekiedy zza muru przylatywały kocie przesyłki z sąsiedniego bloku numer 5. Czasem taka podróż kończyła się nieszczęśliwie dla zwierzaka, choć najczęściej koty wychodziły z opresji tylko lekko dezorientowane i przerażone. Było ich tu naprawdę sporo. W większości chore i zaniedbane. Duża część chorowała na toksoplazmozę, którą zarażały się od szczurów. Tych ostatnich też tu nie brakowało. Koty raczej się ich bały. Za to Tajowie uważali je za nie lada przysmak. Niektórzy mieli małe metalowe skrzynki, działające jak paleniska. W „sklepie” można było zamówić węgiel drzewny, więc często piekły się w nich nabite na patyk szczurki. Zrobione z zaostzonych łyżek noże pozwalały uciąć głowę, łapy i ogon, po czym zdzierano z nich skórę. Grillowany szczur nie wyglądał źle. Kanał, z którego wyszedł, nie skłaniał mnie jednak, by spróbować tego specjału. Na ruszt trafiały też czasem gołębie, jeśli któryś omyłkowo wylądował za nisko. Ale kotów nikt się nie tykał. Widocznie istnieje jakiś powód, dla którego kociego mięsa się nie je. Ja go nie poznałem. Tao opowiadał mi, jak smaczne są psy, nie wpadłem jednak wtedy

na to, by zapytać go o koty.

Adam karmił „fad bastarda” ryżem i resztką kurzych gnatów. Robił to codziennie. Przez te trzy lata żył się ze stworzeniem bardziej niż z kumplami. Dokoła nich wirowało przyciągnięte zapachem mięsa stado much. Kot pochłaniał łapczywie rozrzucone kawałki, Adam zaś mówił. Opowiadał najczęściej historie, które przynajmniej w połowie były raczej wytworami jego wyobraźni niż rzeczywistością. Słuchaczy jednak nie brakowało. Jeśli dookoła nie panowało poruszenie z powodu jakiejś bijatyki lub strażniczych nalotów i przeszukiwań, Adam potrafił zapęnić czas swoimi historyjkami. Jego nieodłącznym kompanem był ogromny Algierczyk o imieniu Monsur. Tajowie czuli respekt przed taką postacią, co ustawiło też Adama. Poza tym „załatwiacz” Ali i kilka innych osób zawsze słuchało wynurzeń Amerykanina.

– ...zabrali nas na miesięczne szkolenie do Kolumbii. Wylądowaliśmy w Chingaza. Wszędzie po prostu dżungla! Miejsce podobno było bezpieczne, co oznaczało brak rebeliantów i karteli. Pluton podzielono na drużyny. Było nas dziesięć osób. Mieliśmy przedostać się niezauważeni do bazy niedaleko Bogoty... – ten wypływający z jego głowy potok słów był niezłym sposobem, by zapomnieć o przytłaczającej codzienności.

– Jak zrobić taki dobry kamuflaż? – takie pytania mógł zadawać tylko duży Monsur.

– Stary, to wyższa szkoła jazdy. Musisz zmienić geometrię twarzy. Wystające miejsca schować, a wklęsłe uwypuklić – tłumaczył przekonująco Adam, wprawiając niezbyt bystrego Algierczyka w stan konsternacji.

Innym razem opowieści pełne były historii z jego seksualnych podbojów.

– Wiecie, w końcu każdy biały w Tajlandii jest jak królewicz – kwitował, by następnego dnia zacząć kolejną historię: – ...przez dwa lata jeździłem tą hondą bez papierów i prawka. Tajskich policjantów trzeba podchodzić psychologicznie. Jeśli widzisz, że chce cię zatrzymać, zanim zaczniesz swoją formułkę, pytasz go bardzo zaaferowany o drogę do jakiegoś punktu. Zawsze działa! Jak już ci wszystko wytłumaczy, zapomina o reszcie, a ty szybko odjeżdżasz. – Po każdej opowieści ekipa dyskutowała zawzięcie.

Przerywali tylko wtedy, gdy za jedną z fabryk, na małym placu rozpoczęły się sparingi muay thai. Nagle wszystkich przestawała obchodzić strzelanina z policją w Meksyku czy inne historie Adama. Na wpół legalne widowisko obstawiali prawie wszyscy, łącznie ze strażnikami. Zdarzało się to średnio dwa razy w tygodniu. Na niewielkiej przestrzeni otoczonej przez podekscytowany tłum rozpoczynała się bijatyka.

Walczący na pięściach zamiast rękawic mieli zawinięty materiał. Pośród ludzkiego hałasu rozlegały się transowe dźwięki podobne do tych, jakich indyjscy muzycy używają do hipnotyzowania kobry. Dwaj przeciwnicy próbowali się długo, aż jednemu udawało się złapać oponenta w kleszcze ramion. Jego głowa tkwiła w założonej blokadzie, a na brzuch sypały się kolejne uderzenia kolanem. Można już było przewidzieć, kto wygra. Po drugiej rundzie obrotowy cios łokciem zwałił na ziemię jednego z Tajów. Pokonany nie miał szczególnych obrażeń, krwawiących zadrapań i siniaków. Tym razem skończyło się szczęśliwie. Kiedy indziej widziałem, jak załatwiono człowieka uderzeniem w czaszkę. Do jednych z bardziej

ekwilibrystycznych ciosów w muay thai należał wyskok z uderzeniem łokciem w górną część głowy. Właśnie taki cios zwałił z nóg nieszczęśnika. Facet nie odzyskał przytomności. Zabrano go do szpitala. Podobno nie przeżył.



Po odbytej walce zaczynały się rozliczenia. Pieniądze, papierosy lub heroina służyły za środek płatniczy. Jeśli nie było akurat widowiska na żywo, Tajowie oglądali pojedynki w kilkunastu telewizorach znajdujących się w bloku. Oficjalnie były one zakazane, tak samo jak małe radio. Niedozwolony sprzęt można było jednak załatwić przez strażnika, jeśli miało się wystarczającą ilość gotówki. Przy dobrych układach dało się tu dostać nawet telefon. To jednak było wyjątkowo ostro ścigane i karane w fatalny sposób. Czasem w telewizji oprócz boksu

i footballu oglądano też jakieś filmy. Zdarzało się tłumaczone kino amerykańskie. Tu zaczynało się prawdziwe pole do popisu dla Adama.

Podczas oglądania jakiejś fantastycznej opowieści o smokach, rodem z Hollywood, wmawiał Tajom, że takie stwory naprawdę istnieją w miejscu, skąd pochodzi. Ci zaś słuchali z otwartymi paszczami, w przekonaniu, że mówi prawdę.

– To jest rock and roll, stary! – widać było, że miał ubaw.

Punkowe klimaty również nie były mu obce. Miał też pojęcie o mahajanie, którą, podobnie jak ja kiedyś, praktykował. W monotonii kolejnych dni często bujaliśmy się razem, zabijając czas rozmową.

– Mnie został tylko rok. Mogę sobie tu siedzieć, powciskać duperele i afirmować miły powrót do Kalifornii – stwierdzał niewzruszony otaczającym nas krajobrazem. Do czarnych okularów brakowało mu tylko gumy do żucia, by dopełnić jego „cool image”.

Było czego pozazdrościć, on miał już z górki. Szliśmy na drugą stronę placu. Tam, obok fabryki butów, znajomy Filipińczyk o imieniu Jesus wynajmował od strażników niewielką przestrzeń na prowizoryczną siłownię. Kilka betonowych odlewów i sklecone z drewna podesty stanowiły całe wyposażenie. Dalej wisiał jedynie stary worek treningowy. Jesus kiedyś był bokserem. Został skazany na 12 lat za napad z bronią. Spędził tu już ponad pięć, prowadząc ten mały interes. Duszny i brudny ką, pełen gratów, nie przypominał w niczym siłowni. Było to jednak najlepsze, co mogliśmy mieć. Jesus dodatkowo robił treningi bokserskie, ale te – jako kumpel – oferował nam za darmo. Filipińczycy byli o wiele lepsi w klasycznym boksie niż Tajowie. W sobotę lub niedzielę tajska telewizja prowadziła transmisję ze specjalnie organizowanych walk. Były to sparingi między Tajami a zawodnikami z innych krajów. Jak w przypadku każdego innego boksu, więzienie na chwilę zamierało. Podekscytowani skazańcy patrzyli w szklane pudełka. Większość robiła zakłady. Hazard, choć był tu nielegalny, stanowił jedyny sposób zapomnienia o codziennym marazmie. Jeśli gościem był Filipińczyk, na 90 procent można było przewidzieć, że dokopie Tajowi. Chyba że sędzia będzie oszukiwał na korzyść Taja, co zdarzało się często.

Jesus zawsze odchodził wkurzony z takich widowisk.

– Widziałeś, jak go załatwił lewym prostym?! Za to powinien dostać przynajmniej dziesięć punktów. W tym kraju można wygrać tylko nokautując te mendy.

– Tak, cholera, właśnie tak! – dodawał wkurzony Monsur.

Jesus sam kiedyś brał udział w takich widowiskach i, jak twierdził, wiele razy został oszukany przez tutejszych sędziów.

– Tych gnojków trzeba od razu nokautować, a później jeszcze dojechać sędziemu, by czegoś nie wykombinował – ciągnął, nie potrafiąc ukryć swej nienawiści do Tajów i ich systemu sprawiedliwości.

– A wy chuj o tym wiecie – wtrącił się przechodzący obok stary François. Francuz był już mocno po sześćdziesiątce. Jego natrętny i kłótniwy charakter nie pomagał mu zbytnio.

– A ty co się wpięprzasz, dziadek? – Chmurny wzrok Monsura utkwiał w oblanej zmarszczkami twarzy.

François przypominał mi Louisa de Funèsa w trochę większej wersji. Opowiadał, że został aresztowany bezpodstawnie, za swą sympatię do islamistów. Podobno prawdziwa historia brzmiała trochę inaczej.

Francuz pracował w jednym z tutejszych banków. Przy okazji nie ukrywał, że sympatyzuje z islamistami. Gdy któregoś dnia dowiedział się o spodziewanej wizycie w Tajlandii G. W. Busha, zaczął się publicznie odgrażać chęcią dokonania zamachu na prezydenta USA. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Policja zapukała któregoś ranka i solidnie przeszukano jego dom. Oprócz całej masy kserokopii różnych paszportów nie znaleziono żadnych powiązań z terrorystami. Same dokumenty okazały się jednak wystarczającym problemem. Jako pracownik banku Francuz miał dostęp do danych personalnych i fotokopii paszportów ze względów proceduralnych. Kopie te powinien jednak zniszczyć natychmiast po dokonaniu transakcji. Na tym właśnie polegał cichy interes Francuza. Sprzedawał te dane ludziom zajmującym się fałszowaniem papierów. W końcu sędzia skazał go na trzy lata – na pewno nie za samo gadanie bzdur.

– Zostaw dziadka, Monsur! – zarządził rozbawiony sytuacją Adam.

Musiał mieć słabość do zwariowanego staruszka. Poza tym byli z jednej branży. No i – kto lubi G. W. Busha? Nikt też nie chciał mieć na karku zabójstwa, a tym by się skończyło jedno uderzenie Monsura.

– Pieprzę was, cieniasy – dodał na odchodnym François.

Starzec miał niezły odjazd. Opowiadał historyjki jeszcze lepsze od Adama. Twierdził, że pracował w Deuxième Bureau francuskiego wywiadu w Kambodży i w Wietnamie w latach siedemdziesiątych. Mówił nawet o spotkaniu z Pol Potem^[9]. Sam byłem zafascynowany Kambodżą i choć dotarłem tylko do Angkor Wat, widziałem pola minowe i spuściznę zostawioną przez były reżim.

Francuz siedział najczęściej obok siatki, za którą strażnicy hodowali żaby (przeznaczone do jedzenia) w zbiornikach podobnych do naszych umywalni. Zapewne kiedyś nawet nimi były. Szef budynku musiał jednak uznać, że lepiej robić biznes, niż pozwolić ponadtyśięcnej gawiedzi na dodatkowy zbiornik do mycia. Miejsce było odgrodzone od reszty placu tak, by nikt się tam nie kręcił. Duże, brunatno-zielone płazy tłoczyły się w betonowych pojemnikach, przykrytych drobną siecią zabezpieczającą przed ucieczką. Gdy już urosły wystarczająco, zajmujący się nimi funkcyjni pakowali je do skrzynek, które zabierano poza mury. Nie wiedziałem, czy Francuz celowo wybrał sobie miejsce blisko hodowli żab, ale sam ten fakt zdecydowanie mnie rozśmieszał. Może podświadomie ciągnęło go do narodowej kuchni i kombinował, jak się do nich dobrać?

Staralem się podejść go uprzejmie słowami w stylu – „ça va?”, by usłyszeć jakąś kolejną dziwną historię. Ten jednak, zawsze chmurny, odpowiadał: „pas du tout!”, chowając nos w swoją starą, zapełnioną rupieciami reklamówkę. Bywało jednak, że się rozgadywał.

– Pieprzę takie więzienie! Te tajskie lachociągi mogą mi nagwizdać. W kwietniu 1975 dotarłem do Phnom Penh, tam to dopiero była jatka... – François złapał haczyk i zaczął swą kolejną opowieść. – W mieście panował totalny chaos. Khmerowie robili jatkę na całego. Płonął nawet szpital. Ulica spływała krwią, a trupy pokładały się hałdami. Miałem takiego pietra, że prawie posrałem się w gacie. Z tego wszystkiego tak mi się coś popieprzyło, że z trudem znalazłem francuską ambasadę, której adres znałem przecieź znakomicie. W środku masa ludzi! Amerykanie, Rusczy, Angole, miejscowi. Wszyscy schrzaniają przed nieuchronną masakrą. Znalazłem kumpla-konsula. Ten biegał z obłędem w oczach. Łączność nie działa, nie ma planu ewakuacji... – Dziadek splunął przed siebie i mruknął coś pod nosem.

– I jak z tego wyszedłeś, François? – zapytałem.

– Byłem szpiegiem! Rozumiesz, kretynie?! Jakby mnie dorwali, to kulka w łeb natychmiast! Wieczorem rebelianci otoczyli ambasadę. Na szczęście nie odważyli się wejść do środka. Zaczęły się negocjacje. Po kilku dniach nie było już nawet wody. Khmerowie postawili warunek, by oddać im wszystkich miejscowych. Ponad 500 osób wyszło za bramę ambasady. Później słyhać było strzały. Był tylko jeden sposób traktowania zdrajców rewolucji. Ja mogłem być następny. Wreszcie udało nam się złapać kontakt z Paryżem. Wysłano po nas samolot, ale Pol Pot nie zgodził się na lądowanie...

Rozległ się dzwonek zbiórki. Dochodziła godzina 3 – czas powrotu do klatek. Nie byłem pewien, ile prawdy mogło być w opowieści dziwaka. Trzeba było to jednak zostawić na inny czas. Teraz czekały na mnie długie godziny leżakowania w zatłoczonej klatce. Przed wejściem do cel zawsze można było spotkać Łysego. Przydomek strażnika nasuwał się sam – jego łysa głowa świeciła jak wypastowane buty. Przypieprzanie się do farangów było jego ulubionym zajęciem. Tym razem miał problem z długopisem. Mówię mu, że chcę napisać list, a ten swoje:

– Me daj, me daj!

– Masz, wsadź sobie w dupę ten długopis! – odpowiadam po polsku.

Stojący za mną Tomek już „leje” ze śmiechu. Mogę sobie tak ze strażnikiem pogadać: on po tajsku, ja po polsku. Wkurwiony zabiera długopis i w końcu wpuszcza mnie do środka...

Minał miesiąc mojego pobytu w Dan 6. Moi dwaj kumple z Polski zostali przeniesieni do innego bloku. Taka jest procedura. Ja z moją niezakończoną sprawą powinienem być z powrotem przetransportowany do Bambat. Jakimś cudem zostawili mnie jednak w Lard Yao. Tu było zdecydowanie lepiej. Większa przestrzeń, lepsze warunki. Zaczęły dochodzić listy, a co najważniejsze – ściągnięto ze mnie kajdany. To nic, że musiałem za to trochę zapłacić. Jedynie z komunikacją nie było oczywiście tak pięknie:

– Don, o co chodzi z tymi listami?

Moje układy z pracującym w biurze funkcyjnym stały się niezłe za sprawą znaczków pocztowych. Tajowie mieli hopla na punkcie ich zbierania. Dawałem mu zawsze te z otrzymanych listów, a w zamian mogłem liczyć na pomoc w pewnych sytuacjach. Jeśli miało się jakąś sprawę do strażnika, najlepiej było ją załatwić przez jego „służących”. Do takich właśnie należał Don.

– Musisz pisać po angielsku albo po tajsku. Tak sobie życzą w cenzurze. Jeśli piszesz po polsku, to w najlepszym wypadku oddadzą list twojej ambasadzie podczas wizyty.

– Ale to bez sensu. Moja rodzina mówi po polsku. Co mi da, że napiszę do nich list po angielsku?

– Tak zarządził szef. Co ja ci na to poradzę?

– Jaką im to robi różnicę? Przecież po angielsku też nie czytają.

– Czytają! Nasi oficerowie są bardzo wykształceni – zaproponował Taj.

Nie było sensu dyskutować z matolem. Lizałby ich po tyłkach, gdyby mógł. Taka była co najmniej połowa Tajów – wchodzący w dupę strażnikom kapusie.

Po pewnym czasie dowiedziałem się prawdy. Żaden ze strażników nie znał na tyle angielskiego, by czytać nasze listy. W biurze cenzorującym mieli jednego Włocha, który to robił. Makaroniarz był skazany za pedofilię. Jego dziesięcioletni wyrok należał do rzadkości. W Tajlandii prawo nie przejmowało się zbytnio tym problemem. Słyszałem, że to istny raj dla pedofilów. Ten miał mniej szczęścia. Zabił jakiegoś dzieciaka, a rodzina, zamiast przyjąć rekompensatę pieniężną, co często się tu zdarza, zgłosiła sprawę na policję. Widywałem go tylko czasem, w „Białym domu”. Wśród nas menda by nie przeżyła. Koleś trzymał się więc Tajów i strażników, włączając im w dupę tak samo jak funkcyjni.

Zacząłem pisać po angielsku, choć wciąż wydawało mi się to wyjątkową paranoją. Przychodzących listów nikt nie sprawdzał. Problem stanowiły tylko wychodzące. Ale i z tym bywało różnie. Z jakiegoś powodu ktoś w cenzurze ubzdurał sobie, by moje listy przekazywać ambasadzie. Sęk w tym, że ta zjawiała się naprawdę rzadko. Ostatnio widziałem ich zaraz po przeniesieniu ze szpitala do bloku numer 6.

– Widzicie, jakie superwarunki wam załatwiłem! – oznajmił wówczas napuszony jak paw konsul.

Odwrócił się do mnie:

– A ty jesteś podobno zdrowy jak ryba! Tak nam napisał tutejszy lekarz...

Nie wnikałem, na podstawie jakich badań wysnuł takie wnioski. Jedno było pewne – na szczególną pomoc ambasadry nie było co liczyć, również w sprawie listów.

W końcu pomógł mi pewien Taj. Ea był naprawdę w porządku. Pracował jako dostawca

zamawianego do „sklepu” jedzenia. Miał już za sobą 20 lat więzienia i do odsiadki zostało mu ostatnie dziesięć. Jako młody chłopak został złapany z ya-ba. Teraz miał już ponad 40 lat i właściwie większość dorosłego życia spędził tutaj. Zabierał moje listy poza pierwszą bramę, a tam przekazywał je znajomemu strażnikowi. Oficer za odpowiednią sumę wynosił je na zewnątrz i wysyłał na pocztę.

Od tego momentu miałem gdzieś cenzurę.



^[9] Pol Pot – właściwie Saloth Sar, dyktator Kambodży, były mnich buddyjski, nauczyciel i członek Komunistycznej Partii Kambodży

XVII

Zima roku 2548

W ostatnich dniach grudnia tajska telewizja podała informację o tragedii na Phuket. Tsunami wdarło się na fragment wyspy, powodując śmierć kilkuset osób, głównie znajdujących się na plaży turystów. O dziwo tragedia innych w przedziwny sposób podnosiła mnie na duchu. Kto wie, co mogło mi się przytrafić, jeśli nie wpakowałbym się w to bagno. „Zawsze mogło być gorzej” – przypomniały mi się słowa powtarzane przez Nigeryjczyków. Czarni mieli w sobie specyficzną mądrość, pozwalającą przetrwać i mieć nadzieję w każdych warunkach!

Pierwszy dzień nowego roku minąłby niezauważony pośród monotonii jemu podobnych, gdyby nie pewna poranna ceremonia. Zaczęło się od znieawidzonego przez wszystkich obcokrajowców apelu. W nim nie było akurat nic nadzwyczajnego. Odbywał się codziennie, zaczynając się hymnem, a kończąc buddyjską sutrą i przemówieniami. Tym razem po przemówieniu na plac wyległa grupa ladyboyów. Ich przebranie i makijaż w żaloszny sposób parodiowały kobiecego wygląd. Przy kocich dźwiękach rozpoczęto przedstawienie z cyklu „wieś tańczy i śpiewa”. Kiedy patrzyłem na zahipnotyzowanych tą totalną popeliną Tajów, wracał strach przed przyszłością w tym miejscu.

Kilka dni później zaczęła się tajska zima. Zrobiło się naprawdę chłodno. Temperatury nocą spadały nawet do 10 stopni Celsjusza. Dla kogoś, kto urodził się poza tropikiem, wydaje się to śmieszne. Nie było mi jednak do śmiechu, gdy obudził mnie szcęk własnych zębów. Po jedenastu miesiącach upałów organizm ciężko znosił taką zmianę. Nie miałem nic poza kilkoma koszulkami i parą szortów. W panującej do tej pory saunie było to i tak za dużo. Miało się wtedy ochotę zdjąć pokrytą lepkiem potem skórę. Teraz czułem się jakbym zamarzał.

– Pieprzone miejsce, w każdą pogodę przesrane – mruczał leżący obok Szwajcar.

Jurgen był tu od dwóch lat. Skazano go za posiadanie 4 gramów kokainy. Wyrok brzmiał: 25 lat. Ta i podobne historie nie rokowały zbyt optymistycznie dla mojej sprawy. Kokaina miała tu niższą grupę – „B”, ecstazy zaś, tak samo jak heroinę, umieszczono na pierwszym miejscu jako najbardziej niebezpieczne substancje. Cóż z tego, że według znanych mi wyników badań stosowano je jeszcze w latach osiemdziesiątych jako lek na depresję. Ecstasy jest dużo mniej uzależniające od kokainy, nie mówiąc już o heroinie. Tutejsze mało logiczne przepisy dawało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób – „to jest Tajlandia!”. Szwajcar miał jeszcze jeden problem. Od dziesięciu lat chorował na AIDS, a jego stan zaczął się dramatycznie pogarszać, odkąd trafił do więzienia. Istniały niewielkie szanse, że uda mu się wytrwać choćby część kary, by móc wrócić do Europy. Dostawał oczywiście non stop leki przynoszone przez ambasadę, niewiele to jednak zmieniało. Tej nocy leżał skulony pod kocem, przeklinając wszystko, co tajskie.

Następnego dnia udało mi się załatwić przez Ea podobny koc. Oczywiście nie za darmo. Dla Tajów spadek temperatur musiał być jeszcze większą katastrofą. W rannych godzinach spora

ich liczba gromadziła się na nasłonecznionej części placu. Otuleni szmatami wyglądali jak stado pingwinów w arktyczną noc. Kurtki czy długie spodnie były przywilejem strażników. Przepisy zakazywały więźniom posiadania takich ubrań.

XVIII

System

„Normalne”, upalne temperatury wróciły dopiero w pierwszych dniach lutego. A z nimi zwykła więzienna aktywność. Strażnicy zakatowali na śmierć Birmańczyka, który podobno przygotowywał ucieczkę. Patrzyłem na to z niedowierzaniem. Kryminaliści, którzy pilnują kryminalistów! Choć większość więźniów nie dorasta do pięt gangsterom, którzy są ich strażnikami. Zepsuty do szpiku kości system pozwalał swoim funkcjonariuszom dowolnie łamać prawo. Ważne było jedynie, by działał i ciągle zasilał swój krwiobieg.

Wśród uciekinierów z Lard Yao, tak samo jak i w Bambat, nie było zbyt wielu szczęściarzy. Nikt też nie odważył się o tym głośno mówić. Za samo poruszenie tematu można było narobić sobie sporo kłopotów. Słyszałem oczywiście kilka historii o takich, którym udało się pokonać mur. Żadna z nich nie kończyła się jednak dobrze. Dopiero poznając Eddiego, usłyszałem historię ucieczki zwieńczonej sukcesem. Edd był Niemcem skazanym za heroinę. Siedział w tym miejscu już ponad dziesięć lat. Opowiedział mi o ucieczce Davida McMillana.

W sierpniu 1996 roku David jako jedyny obcokrajowiec wy dostał się poza mury tego więzienia, a następnie poza granice Tajlandii, wbrew woli tutejszego systemu, który oskarżył go o przemyt narkotyków. Spodziewając się najwyższego wyroku, zaryzykował, tworząc swój desperacki plan. Wszystko miało miejsce w bloku szóstym, gdzie właśnie przebywałem. W końcu korytarza znajdowały się mniejsze klatki. Mogły one pomieścić nie więcej niż sześć osób. Teraz zajmowali je tylko funkcyjni. Dawniej można było załatwić przeniesienie do jednej z nich, jeśli miało się wystarczającą ilość pieniędzy. Od tego właśnie zaczął McMillan.

Dzięki pomocy przyjaciół z zewnątrz i pieniądzom udało mu się zorganizować wszystko, co niezbędne. W plan wtajemniczył kilku najbliższych kumpli. Wszyscy wylądowali w tej samej celi i zamierzali uciekać razem. Wreszcie przyszedł dzień, kiedy udało im się przemycić do klatki małe ostrze piły do metalu. Było ich trzech gotowych do działania. Resztę znajdujących się w pomieszczeniu osób wyeliminowano sporą porcją środków nasennych. Gdy zaczęli piłować kratę, nie było już odwrotu. Minęło kilka godzin, gdy z przerażeniem uświadomili sobie, jak wolno im to idzie. Pilnik był za mały i zbyt słaby w stosunku do grubej stali. Do godziny piątej nad ranem przecięli jedynie niewielki fragment prętów. Otwór nie był jeszcze dość duży, by się przez niego przecisnąć. Udało się to jedynie szczupłemu McMillanowi. W ostatniej chwili, pod osłoną szybko znikającego mroku, zbudował z bambusowych kijów coś, co pozwoliło mu pokonać pierwszy mur. Skąd je wytrzasnął? To pozostaje niejasne. Naszpikowana zasiekami pięciometrowa przeszkoda dzieliła budynek szósty od starego szpitala. Tam czekała go kolejna wspinaczka. Gdy wy dostał się na zewnątrz, musiało już świtać. Pozostało przebrnąć przez znajdującą się po drugiej stronie fosę. Podobno cudem uniknął spotkania z kilkoma strażnikami idącymi do pracy. Jedno jest pewne – w tamtych czasach Klong Prem nie miało jeszcze elektrycznych zasieków, które zdecydowanie utrudniłyby przeprawę. Po czterech godzinach David siedział już w samolocie lecącym do Singapuru. Tajowie nigdy go nie złapali. Nigdy też

nie zdążyli go skazać, choć czekał na to w Lard Yao ponad trzy lata.

Edd znał tę historię od człowieka, który miał uciec razem z McMillanem. Niestety nie zdołał przecisnąć się przez otwór. Rankiem skatowano ich wszystkich bambusowymi kijami i wysłano do karceru... na rok! Jako bonus dorzucano łańcuchy. Cóż, nie udało im się... Za to dokonanie McMillana pozwalało się rozmarzyć.

Nad moją głową zahuczały silniki boeinga 747. Ciężka stalowa krowa przemknęła nieopodal, prawie zahaczając o czubki koleczastych murów. Kilka kilometrów dalej kończył się pas lotniska Don Muang. Traf chciał, że korytarz powietrzny lotów do Europy przebiegał dokładnie nad terenem więzienia. Mój bilet powrotny był nieaktualny od dłuższego czasu. Mimo to uwielbiałem zamykać oczy, wyobrażając sobie, jak siedzę wewnątrz samolotu. Widok znikającego pod nogami Tajowa – niczego bardziej nie pragnąłem.

Mój sąsiad Jurgen miał prostszy sposób na zapomnienie. Mała działka białego proszku wystarczała na dzień lub dwa. Heroinę najprościej można było kupić od Nigeryjczyków. Przynajmniej będąc farangiem. Sami Tajowie mieli na pewno lepsze źródła, handlując bezpośrednio ze strażnikami. Małe zawiniątko kosztowało około 1000 bathów – sumę, za którą można było przeżyć ponad tydzień na płatnym wikcie.

– Pieprzyć takie życie – brzmiał komentarz Jurgena, gdy poruszałem ten temat.

Trudno się było z nim nie zgodzić. Miał przed sobą wizję minimum 15 lat więzienia, przy czym choroba, na którą cierpiał, mogła w każdej chwili wysłać go na tamten świat. Sama świadomość powolnego oczekiwania na śmierć w tym miejscu po prostu „rozwalala”. Heroina stała się jego sposobem na ucieczkę. Jedynym dostępnym! Zanim tu dotarł, znał tylko dużo mniej uzależniającą i mniej szkodliwą kokainę. Paradoksalnie w tym miejscu można było znaleźć głównie cięższe dragi.

Heroina – moim zdaniem najbardziej uzależniający narkotyk – była tu chlebem powszednim dla wielu. Jurgen zażywał ją wciągając do nosa. Widziałem jednak bardziej zdesperowanych. Za niedostępne tu igły służyły puste wkłady długopisowe. Napelnioną roztworem cienką rurką przebijano żyłę. Następnie trzeba było mocno dmuchać, by heroina pod wpływem ciśnienia dostała się do środka. Strażnicy oficjalnie nic o tym wszystkim nie wiedzieli. Za posiadanie narkotyków wewnątrz groziła kolejna kara. Nieustająca wojna z używkami była tu na topie podobnie jak za murami. Co ciekawe, ta sama szajka, która zajmowała się dostarczaniem narkotyków do więzienia, przychodziła tu z krucjatą w ich poszukiwaniu. Patrząc na to z boku, można się było nieźle uśmieć z takiego rozdzielenia jaźni wśród personelu tego ośrodka. Dla Jurgena nie było to jednak wcale takie zabawne.

Jego oczy zaczynały mrugać ze zdwojoną aktywnością, a z zaciśniętych ust wydobywały się niemieckie przekleństwa, podczas gdy dwóch funkcyjnych przeszukiwało właśnie jego miejsce. Strażnicy nie parali się sami pracą. Mieli od tego stado „psów”. Ubrani w niebieskie mundurki więźniowie szperali wszędzie, skrzętnie raportując swym panom, gdy tylko znaleźli coś podejrzanego.

XIX

Marzec 2548

Mijał pierwszy rok mojego pobytu za murami. Nie mogłem uwierzyć, jak dużo czasu już tu spędziłem. W połowie miesiąca pojawił się ponownie polski adwokat.

– Skąd wiesz, że dostaniesz 50 lat?

– Popatrz, Karol, jestem po tej stronie kraty. Wiem, jakie ludzie dostają tu wyroki! 50 lat to jest bardzo optymistyczna wersja!

– Rozmawiałem z kilkoma tutejszymi adwokatami. Ich opinie były zupełnie inne. Bądź dobrej myśli. Jeśli dostaniesz kilkanaście lat, to po kilku będziemy próbować przenieść cię do Polski.

Chętnie uwierzyłbym w jego wersję, gdybym tylko nie wiedział, jak wyglądają realia.

– A jak przedstawia się sytuacja z Sumsakiem? – Najwyższy czas, by dowiedzieć się konkretów, a nie tylko wysłuchiwać idylliczne bajki.

– Sumsak występuje jako obrońca na twojej rozprawie. Tak jak już wcześniej ustaliliśmy. Konsul zapewnia o jego znakomitych wpływach. Podobno zna się osobiście z prezesem sądu Rachada. Nie przejmuj się! Kontroluję całą sytuację. Widzimy się pojutrze na sali rozpraw. Głowa do góry! Dobra, muszę już lecieć...

Nadszedł dzień rozprawy. Droga poza mury nie obyła się bez wizyty u tutejszego kowala. Na moich nogach po raz kolejny zagięły się metalowe pręty. Tym razem nikt ich nie spawał. Miały zostać zdjęte po powrocie.

Strażnicy wprowadzili mnie do wypchanego ludźmi autobusu. Znów mogłem zobaczyć kawałek normalnego świata. Ruchoma klatka brnęła wolno pośród zatłoczonych ulic. Po około godzinie stanęła przed wysokim gmachem. Zapędzono nas do wydzielonej rdzawą kratą części. Tu miałem czekać na swoją kolej. Mijały długie godziny. Dopiero późnym popołudniem usłyszałem znajome: „Miczun”. Winda, przy której kiedyś straciłem buty, zawiozła mnie na górę. Tym razem nie przejmowałem się już obuwem – byłem boso.

Strażnik zaprowadził mnie do sali rozpraw. Wewnątrz było już kilka osób, łącznie z moim tajskim obrońcą. Stał niedaleko sędziowskiej wokandy, rozmawiając z małym, ubranym w czarny garnitur Tajem. Posadzono mnie w pierwszym rzędzie, zaraz za drewnianą barierką przedzielającą salę. Po chwili pojawił się Karol.

– Jak samopoczucie? – spytał, siadając obok.

– OK – po poranku spędzonym w miłym resorcie na dole i śniadaniu w postaci brudnego ryżu w worku foliowym po prostu nie wypadało narzekać na taki luksus.

– Czy możemy jeszcze teraz, przed nadejściem sędziego, porozmawiać z Sumsakiem? To ważne.

– OK, zaraz go poproszę.

Karol podszedł do Taja i po krótkiej rozmowie obaj ruszyli w moim kierunku.

– Chciałem pana spytać o Pim. Jeśli pójdę za pana radą i nadal nie przyznam się do zarzucanych czynów, czy Pim, która odbierała te przesyłki i jest głównym świadkiem, będzie musiała zeznawać?

Adwokat zawahał się chwilę.

– Właściwie... nie. W tym wypadku sądowi wystarczą jedynie jej zeznania na piśmie.

Tak właśnie myślałem. Rozmawiając z ludźmi w więzieniu, dowiedziałem się już sporo o tutejszym prawie. Symbolizująca sprawiedliwość waga tu przechylała się zdecydowanie w jednym kierunku! Policja to instytucja zaufania publicznego i nie wolno w żaden sposób narażać na szwank jej reputacji.

– Nie ma więc możliwości, by udowodnić, że zostałem w to przez nią wciągnięty i sama również brała udział w tym procederze?

– Nie, według jej zeznań sam zorganizowałeś wszystko.

– A mogę spytać, jak mogłem sam sobie wysłać to ecstasy?

– Dzięki skrzynce pocztowej. Może ją założyć każdy.

– Ale założyła ją Pim lub ktoś, z kim współpracowała! Na pewno nie ja. Chyba trzeba pokazać jakiś dokument, by otworzyć P.O. Box.

– Tak, ale z raportu policyjnego wynika, że to ty ją założyłeś.

Na chwilę odebrało mi mowę. Poczulem się, jakby wszystko dotyczyło któregoś z odcinków „Z archiwum X”, a nie mojego życia. Miałem do czynienia z dostojnym systemem, który miał w dupie moje racje i życie jako takie. Wszystko było zawczasu przygotowane. Ja byłem złym dealerem! Mordercą mas! Oni – dobrymi stróżami prawa, chroniącymi niewinne dzieci przed zaćpaniem!

Patrzyłem na szanownego mecenasa. Jak on mógł mi pomóc? Wynik wydawał się być z góry ustalony. Nie... On był tu tylko po to, by jeszcze raz przerobić naiwnego białasa!

– ...ale na kopertach nie ma twojego nazwiska – ciągnął Sumsak. – Możemy próbować udowodnić, że to nie ty wysłałeś listy z narkotykiem...

Skubany, mówił tak, jakby sam w to wierzył! Spojrzałem na Karola. Jego wzrok zdradzał

smutną prawdę. Strategia tajskiego mecenasa była godna pożałowania.

– Panowie – zwróciłem się do obu prawników – proszę pozwolić mi przyznać się do winy. Boję się, że dla mnie ten proces skończy się karą śmierci!

– Nie, absolutnie! Nie myśl o karze śmierci. Jeśli się przyznasz, to ja już dla ciebie nie będę mógł nic zrobić...

W tym momencie na salę rozpraw wszedł sędzia. Sumsak zakończył rozmowę w pół zdania i wrócił na swoje miejsce. O czym zresztą mogłem z nim jeszcze rozmawiać? Jeśli zdecyduję się walczyć w sposób, jaki proponuje, sprawa przedłuży się o następne kilka lat, a on będzie mógł ciągnąć kasę od mojej rodziny, dając nam wszystkim złudną nadzieję. Na koniec zaś... Przez rok pobytu w więzieniu nie spotkałem nikogo, kto wygrałby swój proces i został uwolniony. Podobno zdarzało się to czasem w innych sprawach kryminalnych. Gdy chodziło o narkotyki, szanse były minimalne. Przypomniałem sobie słowa Steve'a: „To DEA, oni cię mają jak na patelni”.

Sędzia rozpoczął już rozprawę. Mijały ostatnie minuty, w czasie których mogłem jeszcze wstać i przyznać się do winy, licząc na złagodzenie wyroku. Jeśli tak nie postąpię, pozostanie mi wyłącznie zdać się na mojego tajskiego obrońcę.

– Lap salap pha. – Wypowiedziane przeze mnie słowa rozbrzmiały echem w pokrytej marmurami sali. Formułę oznaczającą przyznanie się do winy znałem już od dawna. Od tajskich więźniów dowiedziałem się, jak ją wymówić. Poinstruowali mnie też, że zostanie przyjęta przez sąd tylko, kiedy podniosę prawą rękę. Tak też zrobiłem. Teraz mogłem już jedynie liczyć na ich łaskę.

Kątem oka ujrzałem skwaszoną twarz Sumsaka. Przeniósłem wzrok na Karola. Siedział nieopodal, z zainteresowaniem przyglądając się całej procedurze. Pomyślałem o dokumentach, które dzięki jego pomocy podobno zostały dołączone do moich akt: świadectwo o niekaralności, list dziekana z mojej byłej uczelni, dokumenty medyczne... Mój polski obrońca liczył na to, że tutaj, podobnie jak w Europie, sąd weźmie pod uwagę okoliczności łagodzące, a zwłaszcza fakt, że jest to moja pierwsza życiowa pomyłka.

Proces zakończyła długa przemowa prokuratora. Na szczęście, tak jak i z całej reszty – nic z niej nie zrozumiałem. Sumsak podszedł do nas, gdy było już po wszystkim. Jego szorstki komentarz nie zdziwił mnie zupełnie. Tłumaczenie mojej decyzji niewiele pomogło.

Przyznanie się do winy spowodowało szybsze działanie maszyny czyniącej sprawiedliwość. Kolejna i zarazem ostateczna data rozprawy została ustalona na 7 kwietnia.

Niecierpliwy strażnik odstawił mnie do klatki na dół. Tu spędziłem długie godziny, by późnym popołudniem trafić z powrotem do Lard Yao.

Karol zjawiał się następnego dnia.

– Będzie dobrze. Sumsak ma wpływy w sądzie. Widziałem, jak witał się serdecznie

z prezesem.

– Myślisz, że będzie chciał pomóc, by złagodzą mój wyrok?

– Tak, rozmawiałem z nim o tym. Zajmie się sprawą na 100 procent. Ja wyjeżdżam jutro...

XX

7 kwietnia 2548

Wróciłem na salę rozpraw. Tym razem nie znajdując tam żadnej znajomej twarzy. Karol był już od dawna w Polsce. Wszystkim miał się zająć tajski obrońca. Liczyłem, że zobaczę go na sali. Moje oczekiwania okazały się jednak płonne.

Zgromadzeni w sądzie ludzie wstali na widok ubranego w czarną togę Azjaty. Podeszedł do umieszczonej w centrum sali trybuny, kładąc na dębowym blacie grubą teczkę. Rozmawiał chwilę z prokuratorem, by następnie zacząć odczyt. Domyśliłem się, że jest to wyrok, nie było mi jednak dane nic zrozumieć. Wreszcie skończył długie czytanie, a na sali zapanowała cisza. Po chwili ubrany w togę człowiek, widząc moją konsternację, zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Koczaj?

Słowo oznaczające pojmnowanie było jedynym, które zrozumiałem od momentu znalezienia się w tym miejscu.

– Me koczaj – odpowiedziałem równie zwięźle.

Jego skośne rysy nabrały jeszcze bardziej złowrogiego wyglądu. Odwrócił się do siedzącej poniżej sekretarki, która skinęła nisko głową i szybko opuściła salę. Chwilę później on także wstał i wyszedł. Znowu poczułem się jak ciełe, niemające zielonego pojęcia, o co chodzi. Po dziesięciu minutach w środku nie było już nikogo poza pilnującym mnie strażnikiem. Tym razem nie ciągnął mnie do wyjścia. Otworzyły się drzwi i do sali ponownie weszła sekretarka, prowadząc z sobą kolejną postać. Podeszli do mnie oboje. Mężczyzna ubrany był w ciemny garnitur, spod którego wyglądała żółta koszula. Ten dziwnie dopasowany zestaw był tu często spotykany. Tajowie nosili żółte koszulki, oddając w ten sposób hołd królowi. W ich kulturze kolor żółty przypisany jest do dnia, w którym urodził się władca. Czarne ślepie, uzbrojone w grube okulary, przyglądały mi się niepewnie.

– Witam, jestem tłumaczem, przyszedłem, by rozmawiać twój wyrok. – Wypowiedział to w miły, choć mało rozumiały sposób. – Ty wyrok masz śmierć – dodał.

– Słucham? – jego słowa uderzyły mnie jak potężny młot. Choć mówił mało wyraźnie, zrozumiałem ich znaczenie. To moja głowa nie chciała przyjąć tej informacji!

Taj zwrócił się do sekretarki. Rozmawiali chwilę, przeglądając dokument, który trzymała

w dłoniach.

– Właściwie masz śmierć dwanaście razy – uściślił.

Poczułem kolejną falę przenikliwych drgawek. Paralizujący impuls opanował moje nogi, a następnie resztę ciała. I nie była to już wina stalowych łańcuchów. Jego słowa dotarły wreszcie do mózgu, wywołując czerwony alarm, blokujący wszystkie systemy, łącznie z tym odpowiedzialnym za mowę.

– Ty się nie przejmować. Nasza sąd bardzo łaskawa. Ty się przyznać. Twoja śmierć zmienione na dożywocie. Bardzo łaskawa sąd...

Tłumacz mówił coś jeszcze. Za późno... Moje myśli rozbiły się już na kawałki. Strażnik złapał mnie pod ramię, by pociągnąć w stronę wyjścia.

Wiszący w holu kalendarz wskazywał datę: 7 kwietnia 2548 roku. Sam rok był dla mnie równie abstrakcyjny jak wykonanie dwunastu kar śmierci. Chyba że brało się pod uwagę reinkarnację. Martwiłbym się tym pewnie teraz, gdybym poszedł za radą tajskiego obrońcy. Czy byłoby to od razu dwanaście kulek, czy też czekałoby na mnie w kolejnych wcieleniach?

Znów znalazłem się wśród rdzawych prętów. Niesamowity jazgot krzyczących ludzi zlewał się z wszędobylskim smrodem i gorącem. Klatki tonęły w półmroku.

– Może to sen! Tylko zły sen – powtarzałem w myślach. Słowa przekazane przez śmiesznego ludka trafiały do mnie coraz wyraźniej. Umysł otrząsnął się już z pierwszego szoku i zaczął analizować fakty. To, co usłyszałem, wydawało się wręcz niemożliwe. Przypomniałem sobie slogan turystyczny: „Amazing Thailand”. Zgadzało się co do joty. Nie wiem, czy był jeszcze drugi kraj, gdzie mogło mnie to spotkać.

Jeszcze po drugiej wojnie światowej Tajlandia oficjalnie handlowała opium, uzyskując z tego tytułu znaczące zyski. W latach pięćdziesiątych CIA dofinansowywało plantacje opium w złotym trójkącie, wspierając armię generała Li Mi. Była ona pozostałością pokonanej przez maoistów armii Chiang Kai-sheka, która wycofała się na granicę Birmy i Laosu. Hodowaną tam heroinę transportowano do Tajlandii, gdzie jej dystrybucją i sprzedażą zajmowali się ludzie tacy jak generał Phao, szef tajskiej policji. W handel narkotykami zamieszanych było wiele istotnych figur tajskiej polityki. Dopiero wojna w Wietnamie zmieniła sytuację. Znaczne ilości produkowanej w regionie heroiny zaczęły trafiać do USA. Głównie za pośrednictwem stacjonującego tu wojska. Przemycano ją nawet w ciałach zabitych żołnierzy. W 1971 roku dobry wujek Richard Nixon stworzył DEA i zapoczątkował oficjalnie wojnę przeciwko narkotykom. Królestwo Tajlandii zaczęło otrzymywać miliardowe dotacje na zmianę prawa i walkę z szerzącą się plagą. Tak pojawiły się przepełnione więzienia i kara śmierci za narkotyki. Od tamtych czasów dotacje Ameryki na rozwiązywanie problemu narkotykowego taką metodą wciąż rosły. Za otrzymywane pieniądze zbudowano ogromny aparat represji, dla którego korupcja stała się tak naturalna jak codzienne jedzenie ryżu. Policja do woli manipulowała dowodami, by zyskać jak największy profit. Cały system sprawiedliwości opiera się tu na jednej zasadzie. Liczy się efektywność, bez wdawania się w zbędne szczegóły, jak „sprawiedliwość”!

W moim wypadku, jak zapewniał Karol i ambasada, dostarczono niezbędną ilość dokumentów, które w normalnym kraju wzięto by pod uwagę przed wydaniem najwyższej z możliwych kar. Czy ktoś w ogóle na nie spojrzał? Nie trzeba było długo się zastanawiać, by samemu odpowiedzieć na to pytanie. Oni mieli to gdzieś. Byłem tylko małą drobiną piasku, która dostała się pod duży walec nazywany „wojną z narkotykami”! Po prostu byłem po niewłaściwej stronie tarczy!

Rozległa się metaliczna symfonia. To strażnik, ciągnąc po prętach bambusowy kij, wygrywał na nich dźwięki jak na olbrzymiej harfie. Zbliżał się czas powrotu. Zagoniono nas do więziennego autobusu. Ściśnięty jak szprotki w puszcze chłonałem przez zakratowane okno ostatnie widoki miasta. Czekał mnie powrót do innego świata. Świata, który według wyroku sądu miał się stać jedynym do końca moich dni.

Po przybyciu do Lard Yao zaprowadzono mnie prosto do karceru. Nie zdjęto nawet łańcuchów. Od jednego z mówiących trochę po angielsku funkcyjnych dowiedziałem się, że ze względu na mój wyrok nie mogę wrócić do bloku szóstego. Na szczęście małe pomieszczenie było bardziej komfortowe od karceru w Bambat. Przypominało bardziej celę niż trumnę, do której mnie wcześniej wrzucono. Dzielne światło docierało przez niewielki otwór umiejscowiony w górnej części ściany. Można tu było swobodnie stać, a nawet zrobić kilka kroków. W rogu znajdował się wymurowany otwór służący za kibel i zbiornik na wodę. Po prostu luksus!

Tak spędziłem pierwszą noc, całkowicie załamany tym, co się stało. Następnego ranka funkcyjny przyniósł moje rzeczy i miskę ryżu.

– Pyan – zacząłem przyjaźnie, by wyciągnąć od niego jakieś informacje – wiesz, co dalej ze mną?

Taj wyjrzał na korytarz, by sprawdzić, czy jesteśmy sami, a następnie zaczął mówić:

– Not sure, ale chyba zabiorą cię do Bang Kwang.

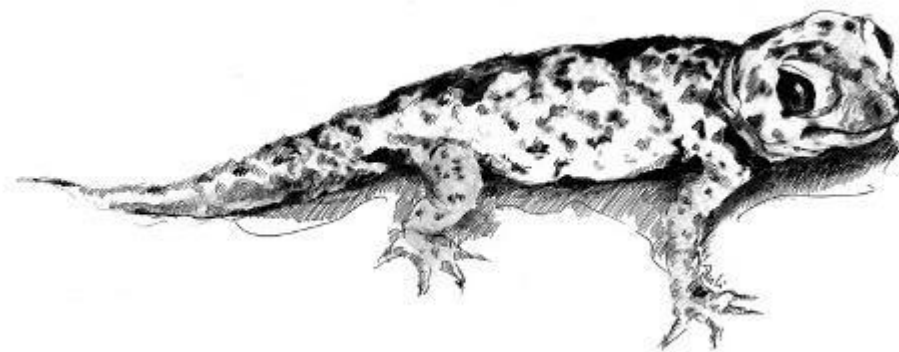
– Chyba? – spytałem zdziwiony.

– Tak, bo właśnie kończą Dan 2. Ma tam być specjalna sekcja również dla ludzi z dożywociem.

Słyszałem jakieś pogłoski o przebudowie bloku drugiego. Nie była to dobra wiadomość. Nowe miejsce należało do wyjątkowo rygorystycznych i naszpikowanych dodatkową ochroną. Ta modernizacja nie oznaczała niczego dobrego dla więźniów. Ta wiadomość wzbudziła w mojej głowie jeszcze więcej niepewności. Kilka dni później, dzięki pomocy poznanego patczula, wysłałem krótki list do ambasady. Opisałem w nim moją sytuację, prosząc o odwiedziny i pomoc.

Mijały tygodnie w zamknięciu. Ambasada, nawet bez mojego listu, musiała zostać poinformowana o wyroku. Mimo to nikt się nie pojawiał.

Czas zaczął płynąć coraz wolniej. Drzwi otwierały się dwa razy dziennie. Funkcyjny przynosił jedzenie, czasem chwilę ze mną rozmawiał. Po jego wyjściu towarzystwa dotrzymywał mi półmrok oraz karaluchy i komary. Po zmroku całą rozświetlał blask jarzeniówki. Zaczynały wychodzić miniaturowe smoki. „Czin-czok” – jak mówili Tajowie. Przyciągał je spokój i blask lampy. Zastygały w bezruchu na długie godziny – jedyni świadkowie moich lamentów i paranoi. Łypiące oczy przyglądały mi się uważnie. W międzyczasie stwory napełniały swe brzuchy małymi owadami. Czasem przychodziła większa od gekonów jaszczurka, nazywana tu „kin-ka”. Duży grzebień sprawiał, że wyglądała jak prawdziwy gad. Gdy robiło się zamieszanie, zwierzęta natychmiast uciekały przez zakratowany otwór, wracając do swojej kryjówki pod eternitowym dachem.



XXI

10 maja 2548

Minął ponad miesiąc od dnia, gdy zostałem osądzony. Otworzyły się drzwi i do środka, jak co dzień, wszedł funkcyjny.

– Jedziesz do Bang Kwang. Szybko, zbieraj się – oznajmił łamanym angielsko-tajskim.

Tak rozwiąza się część moich wątpliwości. Spakowałem do małej plastikowej torby cały mój dobytek i wyszedłem na rozświetlony słońcem dziedziniec. Tu czekało na mnie dwóch ubranych w mundury koloru khaki strażników. Na mój widok jeden z nich wypowiedział znajomą formułkę:

– Leo, leo.

Powlokłem się za nimi wolno w stronę bramy. Zagięte na nogach żelastwo obcierało boleśnie moje kostki przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Przed wejściem stał tak dobrze mi już znany zakratowany autobus. Tym razem był jednak zupełnie pusty. Miałem dla siebie całe wnętrze. Strażnicy zamknęli kratę i usiedli wygodnie z tyłu. Jeszcze raz widziałem zatłoczone ulice Bangkoku. Pojazd przesuwiał się wolno wśród wypłowiających od deszczu i słońca zabudowań. Ludzkie mrowisko emanowało kolorami. Powszechne tu budki z jedzeniem i wszelkiej maści sklepy przyciągały wzrok.

Po niecałej godzinie przestrzeń zaczęła pustoszeć. Betonowa dżungla ustąpiła miejsca stojącym gdzieniegdzie budynkom. Coraz częściej migały nam przed oczami bambusowe zarośla, zachwycając swą soczystą zielenią. Tonący w słońcu krajobraz z każdym kilometrem stawał się spokojniejszy. Wróciły wspomnienia z czasów, gdy podróżowałem przez ten egzotyczny świat swobodnie. Minęliśmy most na rzece Chao Phraya. Kilkadziesiąt kilometrów stąd, jeśli by iść w górę rzeki, można było napotkać ruiny Ayutthayi, dawnego królestwa Syjamu. Płynąc z prądem, docierało się do rajskich wysp. Ja pojechałem prosto, by za kolejnym zakrętem zobaczyć olbrzymie mury mojego nowego „hotelu”.

Samochód stanął na wprost dużej ażurowej bramy. To było wejście do Bang Kwang. Za nią ukazała się kolejna – mocna, cała ze stali. Po uchyleniu odsłoniła długą aleję. Przeszliśmy obok stanowisk dla odwiedzających. Strażnicy prowadzili mnie dalej, aż do kolejnej bramy. Tam punkt kontrolny i jeszcze jedna brama. Po krótkich widokach tętniącego życiem i kolorami miasta krajobraz wrócił do „normy”. Dookoła pełno było krat, stalowych ogrodzeń, drutów kolczastych, wysokich murów i kolejnych strzeżonych przejść.

Przypisano mnie do bloku trzeciego. Ubrany podobnie jak skauci z Lard Yao funkcyjny pchnął mnie, by zaciągnąć dalej pod wejście do bloku. Tu kolejne przeszukanie. Strażnik wręczył mi papierową karteczkę z numerem celi, w której miałem nocować. Otworzyły się stalowe wrota. Do środka wszedłem już sam. Mój nowy dom nie wyglądał zbyt zachęcająco. Na ogrodzonym wysokim murem placu, pośród dymu i totalnego smrodu, kotłowała się ponad tysięczna rzesza więźniów. Stałem obok zardzewiałej siatki, nie bardzo wiedząc, co dalej.

Nagle poczułem mocne szarpnięcie za trzymaną w rękę torbę. Odruchowo zacisnąłem dłoń na plastikowych uszach. Kątem oka dostrzegłem śniadą postać próbującą wyrwać mi moją własność. Druga, stojąca obok, krzyknęła coś i w tym momencie dostałem solidnego kopniaka w brzuch. Silny ból przeszył ciało. Moje dłonie rozwarły się. Napastnicy chwycili plastik, by natychmiast zniknąć w tłumie. Dwa kroki dzieliły mnie od znajdującej się z tyłu siatki. Oparty o nią osunąłem się na ziemię. Skulony, z wytrzeszczonymi oczami, próbowałem złapać kilka łyków gorącego powietrza, jak wyjęty z wody karp, gdy jakaś postać zasłoniła mi słońce.

– Hey, w porządku? – spytał po angielsku wysoki Syryjczyk.

– Bywało lepiej – wymamrotałem.

– Witaj w Bang Kwang – dodał, zanosząc się śmiechem.

Tak poznałem Ayhama. Skazany za heroinę spędzał tu swój 15 rok. Poszedłem z nim na drugi koniec placu.

– To jest nasz dom – oznajmił, gdy dotarliśmy na miejsce.

Małą, otoczoną kilkoma lockerami przestrzeń przykrywał wykonany z szarego, postrzępionego brezentu dach. Wewnątrz, przy palenisku, na którym stał bulgoczący gar, siedziało kilka osób. W gorącym powietrzu unosił się gryzący dym. Moje przybycie nie wzbudziło specjalnej fali entuzjazmu. W takim tłoku nikt nie potrzebował kolejnej gęby.

– Masz coś poza tym, co zapieprzyli ci dzicy?

– Właściwie nie.

– A jak z pieniędzmi?

– Będę miał, jak tylko ambasada się pojawi.

– OK. Jeśli chcesz z nami trzymać, życie w tym miejscu kosztuje. Za wszystko trzeba płacić. Za dom też płacimy strażnikom.

Spojrzałem na podszytą wiatrem konstrukcję. Nie miała więcej niż dwa metry szerokości.

– Rozumiem.

– Torbą się nie przejmuj. Załatwimy to później. – To mówiąc, zwrócił się do jednego z siedzących wewnątrz: – Ahmed, trzeba chłopakowi pomóc odzyskać parę rzeczy.

Z ziemi podniósł się barczysty człowiek. Podszedł i przywitał się ze mną. Ahmed spędził tu równie dużo czasu jak Ayham. Pochodził z Afganistanu. Skazano go za posiadanie heroiny. Sam twierdził, że został wplątany w całą historię przez DEA. Kto jak kto, ale ja akurat mogłem w to uwierzyć. Po chwili dołączył do nas Eliah. Historia Izraelity również wiązała się z narkotykami. Opowiadał o swoim życiu na jednej z wysp – Phuket. Wdał się tam w akcję z pewnym tajskim policjantem, który był zazdrosny o swoją dziewczynę. Któregoś dnia do domu Eliaha zapukali mundurowi i po krótkim przeszukaniu znaleźli worek ya-ba. Izraelita uważał, że zostało mu to bezczelnie podłożone. Sąd był innego zdania. Skazano go na 35 lat. W Bang Kwang był od około roku.

Jeszcze tego samego dnia w innej części bloku musiałem zdać swoisty egzamin. Cała trójka nowo poznanych kumpli dorwała kilku Tajów. Prawdopodobnie byli to ci sami, którzy skubnęli moją torbę. Szarpali się chwilę, a Ayham podał mi napelnioną niewielkimi kamykami skarpetę.

– Masz, ten jest twój – wskazał na śniadą postać, która miała już za sobą kilka lekko oszałamiających ciosów.

Taj wyrwał się do przodu. W jego dłoniach błysnął ostry przedmiot. Nie był to nóż, lecz jakiś kawałek zaostrego drutu. Nie było czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać. Zakute w łańcuchy nogi nie pozwalały mi na wycofanie się. Uzbrojona w stal dłoń celowała prosto w mój lewy bark. W ostatniej chwili na głowę Taja spadł cios z boku. To Ahmed zostawił na niej ślad swej dużej pięści. Chwilę później sam poprawiłem z drugiej strony daną mi skarpetę. Rozległ się dźwięk łamanych kości. Napelniony kamykami materiał trafił prosto w szczękę. Oczy Taja przybrały kształt pięcioletówek. Wytracone z równowagi ciało zawisło w przestrzeni, chwiejąc się na wszystkie strony.

– No, dalej, zajeb dziada – głos Ayhama dudnił w moich uszach.

Rozejrzałem się dookoła. Tłum Tajów stał w bezpiecznej odległości, wyraźnie niezainteresowany interwencją. Zrozumiałem, o co chodzi. Jeśli teraz okazałbym słabość, nie miałbym tu życia. Zamachnąłem się i mocno uderzyłem. Tajska głowa odskoczyła jak piłka, zalewając się krwią. Po chwili mój przeciwnik leżał już na ziemi.

– To by było na tyle – odezwał się stojący za mną Eliah.

Wcale nie cieszyło mnie to, co właśnie zrobiłem. Taj leżał w kałuży krwi. Bałem się, czy go nie zabiłem. Ktoś złapał mnie za ramię i pociągnął.

– Jak chcesz tu przeżyć, to trzymaj z nami – powiedział Ayham.

– A co z moją torbą?

– Zaraz zobaczysz!

Wieczorem torba trafiła do mnie z powrotem. Przyniosło ją dwóch innych Tajów. Ten pobity trafił do tutejszego szpitala. Nie wrócił już do naszego bloku. Słyszałem jedynie, że skończyło się na paru szwach i złamanej szczęce...

Okazało się, że w Dan 3 poza mną nie ma żadnego białasa. Zostałem więc w domu Ayhama. Niedaleko znajdowało się miejsce, gdzie koczowało sporo Nigeryjczyków. Dalej Pakistańczycy i wreszcie bardzo duże Chinatown.

Kilka dni później wezwano mnie do sekcji, gdzie odbywały się wizyty. W długim korytarzu za kratą i pleksi zobaczyłem konsula. Obok niego stała moja mama z siostrą. Zaskoczenie odebrało mi głos. Z oczu popłynął niekontrolowany potok łez. Dowiedziawszy się o moim wyroku, kupiły bilety lotnicze na najbliższy z możliwych terminów. Były w Bangkoku już od kilku dni. Rozmawiały z Sumsakiem, który za kolejną sumę pieniędzy zaoferował swą pomoc przy apelacji. Teraz chciały znać moją opinię. Ta pierwsza rozmowa przebiegła bardzo chaotycznie. Przerwał nam dzwonek, po którym musiałem wrócić do bloku.

Po drodze spotkałem Johna. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że jest w bloku szóstym.

– Człowieku, chodź do nas. Poproś ambasadę, by załatwiła ci przeniesienie – wykrzyczał na koniec.

Po powrocie do Dan 3 znów poczułem się jak ktoś potraktowany młotkiem w łeb. Przyjazd bliskich, apelacja, propozycja Johna... Ahmed powiedział mi o możliwości napisania apelacji z więzienia.

– Jest tu ktoś znający się na prawie. Może ci napisać apelację za tysiąc bathów. Po co chcesz wydawać kasę na adwokata z zewnątrz? Nie bądź głupi!

Wieczorem, już w klatce, podobną opinię wyraził Fabio. Mój sąsiad z celi z pochodzenia

był Irańczykiem, podobnie jak spotkany już wcześniej Reza. Jako młody chłopak uciekł z ogarniętego rewolucją islamską kraju. Ostatecznie zamieszkał w Nowej Zelandii i dostał tamtejsze obywatelstwo. Jego życie toczyło się powoli i beztrąsko, aż do momentu, gdy kilka lat temu przyjechał do Tajlandii. Aresztowano go w domu starego kumpla. Okazało się, że kolega ze szkolnych lat handlował heroiną. Przebywanie w jego domu automatycznie zrobiło z Fabia współnika. Od kilku lat próbował udowodnić swoją niewinność przed tutejszym sądem, o tajskich adwokatów miał więc sporo do powiedzenia.

Przypomniała mi się stara opinia na temat systemu prawnego, jaki panował w Polsce za komuny: „to nie tobie sąd musi udowodnić winę, lecz ty sądowi swą niewinność”. Mógłbym powiedzieć, że tak właśnie było tutaj, gdyby nie fakt, iż nie spotkałem do tej pory nikogo, komu udało się wykazać swą niewinność przed tutejszą Temidą. Pocieszałem się, że moja apelacja będzie jedynie prośbą o złagodzenie wyroku. Zasłyszane informacje, iż cuda w postaci pozytywnego rozpatrywania takich wniosków się zdarzają, pozwalały mi jakoś zasypiać w ostatnich tygodniach.

Następnego dnia znów zezwolono mi na widzenie z rodziną. Normalnie wizytę można było mieć tylko raz na tydzień. W tym wypadku ambasada musiała wystosować specjalne pismo i rozmawiać z dyrektorem, by łaskawie zgodził się na takie odstępstwo. Powiedziałem mamie o możliwości napisania apelacji dużo tańszym kosztem. Nie byłem jednak w stanie jej przekonać. Przejęta sytuacją w równym stopniu jak ja sam chciała, by zrobiono to dobrze. Moje argumenty wcale do niej nie docierały. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko kolejny raz zgodzić się na Sumsaka.

Tajski adwokat ponownie grał na naszych nadziejach. Swą ostatnią nieobecność podczas wydawania wyroku wytłumaczył jakąś historią z wypadkiem samochodowym. Teraz znów obiecywał bardzo zaawansowaną pomoc.

Mama z siostrą opuściły Tajlandię po tygodniu. Jakiś czas później zjawił się sam Sumsak. Miał przy sobie gotową do podpisania apelację. Dalej pozostawało już to, co zwykle – czekać...

XXII

Czerwiec 2458

Minął miesiąc. Dzięki pismu z ambasady i pieniądзом udało mi się załatwić przeniesienie do bloku szóstego. Czekala tam na mnie obiecana przez Johna miejscówka. Nie liczyłem na wiele, wystarczyłby mi jakiś locker. John zaczął się w szóstce u innego Anglika. Facet był tu już ponad dziesięć lat i miał wykupione własne miejsce. Podobno było trochę lepsze od tego, które dotąd dzieliłem z Syryjczykiem, Afgańczykiem, kolegami z Izraela i Iranu. Dodatkowo ten Anglik o imieniu Andrew miał polskie korzenie. Jego rodzice wyemigrowali na Wyspy zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. Mówił nawet trochę po polsku, o czym dowiedziałem się z krótkiej, przemyconej wiadomości.

Przeszedłem przez kilka punktów kontrolnych i otworzyła się dla mnie brama bloku szóstego. Na pierwszy rzut oka nie różnił się on specjalnie od trójki. W zbudowanej na podobnej zasadzie sekcji panował taki sam syf i tłok. Część, w której koczowali Andrew i John, nazywano

Chinatown – siedzieli tu prawie sami Chińczycy. Większość pochodziła z Singapuru, Malezji, Hongkongu lub Tajwanu. Przestrzeń przykryta była stojącym na stalowej konstrukcji eternitowym dachem, co dawało zdecydowanie lepszą ochronę przed monsunowymi „dechami” niż podszyta wiatrem kryjówka kolegów z bloku trzeciego. Taki luksus mógł powstać tylko dzięki pieniądзом skazanych. Dyrekcja więzienia nie inwestowała tu zupełnie w infrastrukturę. W środku metrowej wysokości murowane szafki działały jako strefy graniczne. Każda grupa miała swój teren, na którym urzędowała. Moi kumple zamieszkiwali na trzech metrach kwadratowych otoczonych lockerami. Było to naprawdę sporo jak na tutejsze warunki.

Dla mnie najważniejsza była możliwość upchnięcia gdzieś swoich rzeczy. Do tej pory musiałem trzymać dobytek w plastikowej torbie i nieustannie jej pilnować. Teraz wreszcie mogłem włożyć go do zamykanej na kłódkę szafki.

Chinatown było małym fragmentem bloku, w którym większość przestrzeni zajmowały fabryki i budynek, gdzie zamykano nas na noc. Także tutaj znaczna część Tajów pracowała, szyjąc, robiąc plastikowe balony lub torby. Dostawali za to miesięcznie równowartość kilku paczek ryżu lub kartonu papierosów. Na pewno było to dużo więcej niż w Bambat. Będące własnością strażników fabryki dawały im też dach nad głową. Niepracującym i nieposiadającym pieniędzy ludziom pozostawało wałęsanie się po małym placu i okolicach. Życie w miejscu, gdzie mnie zaproszono, również kosztowało. Strażnicy musieli czerpać korzyści w każdy możliwy sposób.

Andrew rzeczywiście mówił trochę po polsku, choć generalnie był wyjątkowo milczącym typem. Długie siwe włosy i broda, zdradzające hipisowskie korzenie, w tym miejscu kojarzyły mi się bardziej z Robinsonem Cruzoem, porzuconym na zaludnionej wyspie. W swym małym terrarium spędzał dni z nosem w książkach, przysyłanych mu przez przyjaciół, lub grał w szachy. Tak wyglądał jego świat, do którego miałem szczęście zostać zaproszony. Nad całością czuwał zaś Wong. Pochodzący z Malezji Chińczyk był jego ochroniarzem, kucharzem, tłumaczem i „załatwiaczem”. Wong podobnie jak Andrew siedział tu za przemyt heroiny. Obaj mieli 50-letnie wyroki i odsiedzieli już ponad dziesięć lat swojej kary. Koneksi Wonga i szacunek, jakim się tu cieszył, były tak znaczne, że nikt z Chińczyków nie odważył się przeszkadzać jego pracodawcy.

Na początku nie zachwyła go moja obecność, przyzwyczajał się powoli, a z czasem nawet rozplątał mu się język. Moim ulubionym zajęciem było pytanie Wonga o historie innych Chińczyków. Wskazywałem na przechodzącą obok postać, zagadując – a ten? Wong zaś opowiadał. Bez wyjątków – znał ich wszystkich. Tak poznałem powoli całą okolicę.

Z białych najbardziej charakterystyczny był gruby Bob. Australijczyk wyglądał jak wieloryb i ważył jakieś 140 kg. Mieszkał nieco dalej, na końcu, przy murze, na małej przestrzeni dwóch lockerów. Miał również swojego Chińczyka. Australijska ambasada, tak samo jak angielska, wpłacała swoim obywatelom wystarczająco dużo, by mogli sobie tu poradzić. Chińczyk Boba miał na imię Dong, choć gruby nazywał go po prostu Henry.

Obaj rozumieli się tylko w podstawowych sprawach. Chińczyk znał jedynie kilka angielskich słów, co nie przeszkadzało Australijczykowi gadać do niego godzinami. Dong zaś kiwał głową, udając, że słucha i rozumie, co do niego mówią. Dopiero wykrzykiwane przez

grubego słowa: „Henry! I'm hungry!”, wrywały Chińczyka ze specyficznego transu. Tu kończyły się żarty. Gruby spędzał dnie, śpiąc na wąskim murku nad swoimi szafkami, a jeśli już wstawał, to w jednym celu – by pochłonąć jakieś żarcie.

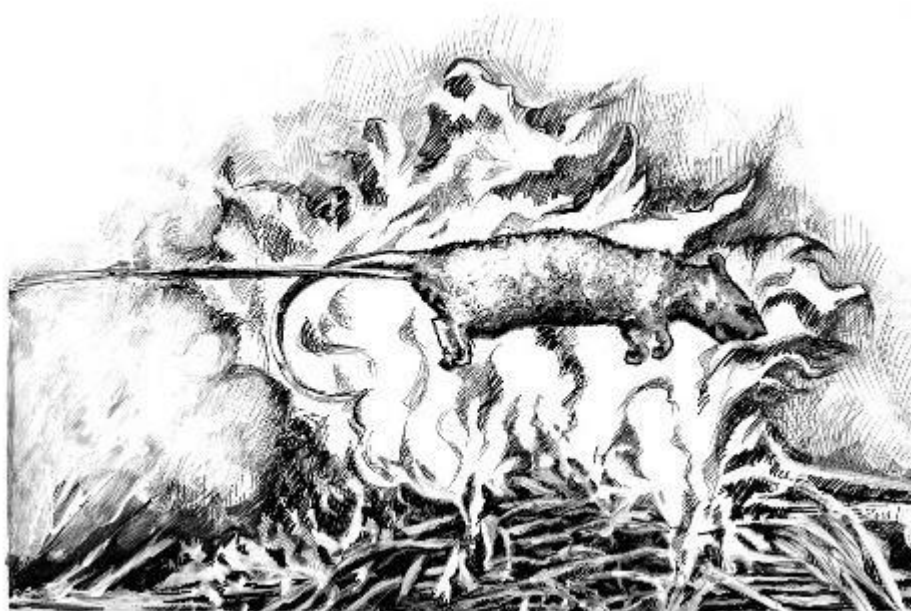
Sama kwestia zdobywania jedzenia w Bang Kwang była o niebo lepsza od tego, co widziałem w Lard Yao czy Bambat. Posiadając pieniądze, można było zamówić sporo podstawowych produktów oraz węgiel drzewny, niezbędny do ich przygotowania. W dzień sekcję wypełniały dymiące kuchenki. Można by pomyśleć, że jest to jakiś piknik. Niestety, w tej temperaturze i wilgotności koszmarnie gryzący dym nie należał do atrakcji. W rzeczywistości jednak gotowanie na tych grillach było jedynym sposobem na przetrwanie. Na tym, co dawano tu za darmo, nie dało się długo pociągnąć. Tajowie przykładali dużą wagę do jedzenia, a gotowanie należało do najważniejszych ceremonii dnia. Oczywiście wśród tych, którzy mieli pieniądze.

Nie obywało się też bez przysmaków w postaci szcurków. Mur sekcji otoczony był fosą, do której spływały ścieki produkowane przez ludzką masę. Tam organizowano polowania na szcury. Gdy zakończyły się sukcesem, gryzoń miał obcinane łapy, głowę i ogon, a następnie – wypatroszony – trafiał na ruszt. Mięso jak mięso, choć jak dla mnie – wyłowione z gówna. Tajom to nie przeszkadzało, wręcz uznawali je za przysmak. Podobnie mówiono tu o niektórych robakach.

Pierwszego dnia w bloku szóstym po godzinie 3, jak cała reszta, trafiłem do celi. Liczyłem na kwaterunek w klatce, gdzie byliby jacyś obcokrajowcy. Ostatecznie znalazłem się wśród samych Tajów. Już na początku jeden siedzący obok zaczął mieć jakieś problemy. Pamiętając historię Owo i fakt, jak zjednoczeni w grupę dzicy potrafili skatować człowieka, postanowiłem siedzieć cicho. Całą noc nie zmrużyłem oka, obawiając się uduszenia lub zadźgania.

Następnego dnia szukałem możliwości przeniesienia do celi Andrew, gdzie był też John i kilku innych Europejczyków. Okazało się to niemożliwe. Strażnicy nie chcieli się zgodzić na zbyt dużą liczbę białych w jednym miejscu. W końcu dogadałem się z Nigeryjczykami. Liderem ich grupy był Tony. Ogromny koleś pochodził właściwie z położonej niedaleko Nigerii Ghany. Był tu już ponad 17 lat. Skazany za heroinę odsiadywał 50-letni wyrok. Tony był zagorzałym chrześcijaninem. W każdą niedzielę prowadził tu rodzaj spotkania, któremu towarzyszyły donośne śpiewy i modlitwy. Gdy tylko dowiedział się, że jestem Polakiem, wykrzyknął: „Pope! Pope!...”. Chodziło oczywiście o Papieża.

Tak udało mi się zmienić celę. W małej klatce znajdowało się 15 Afrykańczyków, w większości z Nigerii, kilku Birmańczyków, trzech Tajów i ja...



XXIII

Hebanowe towarzystwo

Po trzech miesiącach przebywania w Bang Kwang zdjęto mi łańcuchy. Razem z żelastwem zniknęła połowa ziemskiej grawitacji. Znow zacząłem się czuć, jakbym stąpał po Księżycu. Siedzenie w klatce z ciemnoskórymi kolegami też nie było takie złe. Byli to ludzie, którym mogłem zaufać w wielu sprawach, w odróżnieniu od Tajów. Choć przebywanie z nimi w małej klatce miało też swoje mankamenty. Przez ponad rok pobytu w tajskim więzieniu przyzwyczałem się jakoś do permanentnego hałasu, jaki wydawało z siebie ludzkie mrowie. Tajowie nie potrafili żyć w ciszy. Wystarczyło pooglądać chwilę tutejszą telewizję. Szklane oko wydawało z siebie dźwięki w wysokich, piskliwych tonacjach, jak gdyby obdzierano kogoś ze skóry. Z Afrykańczykami było trochę inaczej. Ich głosy były tubalne, wręcz basowe. Znośne w małej liczbie. Problem powstawał, gdy zebrało się ich więcej. Zwłaszcza liczba 15 była zdecydowanie za duża. Po przybyciu do klatki natychmiast zaczynały się dyskusje. Na początku spokojne. Tematem był głównie ich ukochany football. W trakcie dyskusji zaczynali się coraz bardziej ekscytować, a ich tubalny głos przypominał huczące tam-tamy. Mieszkanką angielskiego przełamowaną swoimi rodzinnymi dialektami nadawali do późnych godzin. Wypróbowałem załatwienie z zewnątrz zatyczki do uszu, te jednak zupełnie się nie sprawdzały przy takim natężeniu dźwięków. Jeszcze trudniej było wytrzymać, gdy tematy zbaczały na religię lub, co gorsza, jakąkolwiek ogólną wiedzę o świecie. Podzielona na kilka głównych grup etnicznych Nigeria i tu miała przedstawicieli z różnych części kraju, Jaruba i Ibo, pochodzący z Południa, wyznawali chrześcijaństwo. Hausa i Fulani z Północy byli muzułmanami. Ich dyskusje religijne przeradzały się w istne krucjaty. Gdy nie starczało już argumentów słownych, zaczynała się bijatyka. Przynajmniej kilka razy w tygodniu musiałem szybko zmieniać miejsce w małej klatce, by nie dostać się między ogień czarnych pięści. Czasem sam głupio wdawałem się w ich dyskusję, by wytłumaczyć jakieś najprostsze sprawy historyczne czy geograficzne. Nie miało to

jednak żadnego sensu. Wyedukowani w szkółkach niedzielnych koleżkowie wpadali w obłąd, gdy ktoś próbował im wytłumaczyć, że „Ziemia raczej jest okrągła”. Poza tymi szczegółami nie mogłem narzekać na nowe lokum.

Leżący po prawej stronie Juma właśnie prowadził zawziętą dyskusję z siedzącym naprzeciwko Felą.

– Australia nie ma szans z Japonią – oznajmił rzeczowo Fela.

– Na krry talk^[10], Australia jest najlepsza z całego kontynentu – oponował Juma.

– Ale Australia jest kontynentem! – dodałem półgębkiem.

– Na krry talk! Jakim kontynentem?!

– No, kontynentem – dodałem, nie będąc pewien, czy sąsiad się „zbija”, czy też pyta poważnie.

– Jak Australia jest kontynentem, to moja bafana^[11] jest biała!

– Nie wiem jak twoja bafana, ale Australia to na 100 procent kontynent!

– To dlaczego grają w World Cup w grupie Oceania? Co ty tam wiesz... Słyszałeś, Fela? He, he, he... On twierdzi, że Australia to kontynent. Jest grupa europejska, azjatycka, amerykańska i grupa Oceanii. Nigdy nie słyszałem o grupie australijskiej, więc co mi tu wręczasz, że to kontynent.

Cała cela spojrzała na mnie z politowaniem. Niby białą, a nie ma pojęcia o tak podstawowych sprawach...

^[10] Na krry talk – Głupio mówisz. (To przykład angielskiego przełamanego językiem plemiennym Afryki).

^[11] Bafana – dupa. (W języku plemiennym południowej Nigerii).

XXIV

Złoty trójkąt

Lipiec znów przyniósł porę deszczową. Strugi wody zamieniły plac w napęczniony żółto-brązową cieczą basen. W niektórych miejscach woda sięgała do kostek, w innych wyżej, aż do kolan. Nie było skrawka ziemi, gdzie dałoby się uniknąć kontaktu z cuchnącym płynem. Wodę wypełniały różniste fekalia, przenikające do niej z płynącej wokół muru fosy. Osowiały tłum brodził w brunatnej zupie, bez specjalnej nadziei na szybką zmianę sytuacji.

Tuż przede mną ukazała się ciemna twarz Travrego. Z czarnym koleżką znałem się i przyjaźniłem już od miesięcy. W mojej klatce był jednym z tych wyjątków, które nie pochodziły z Nigerii. Urodził się w Mali, ale od wielu lat mieszkał w Hiszpanii. Poza tym był wyjątkowo zabawny i nawet w chwilach totalnej frustracji i złości, których tu nie brakowało, w Travrem zawsze widać było jakąś nutkę ironii.

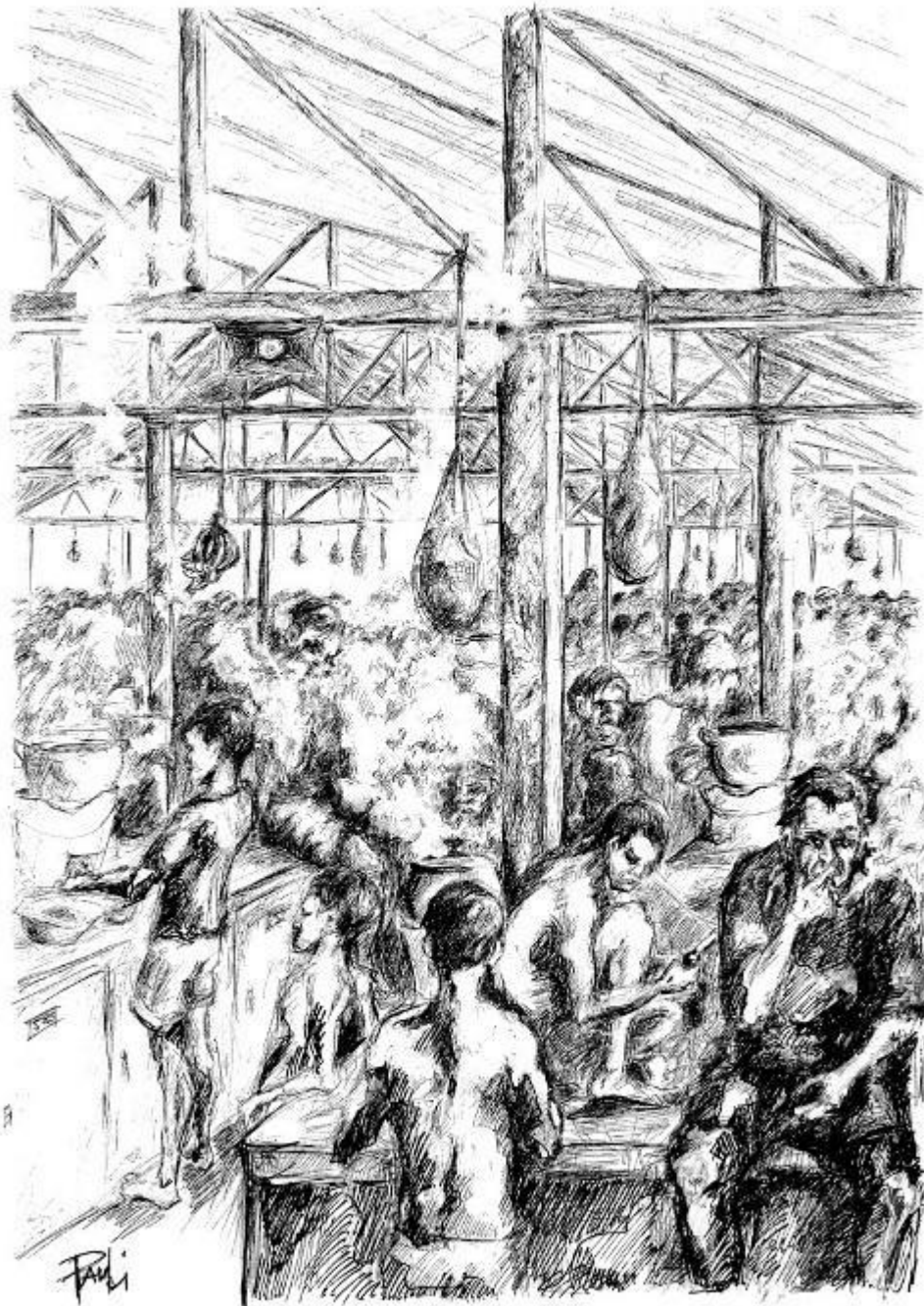
– Jak leci, amigo?

Grymas jego twarzy rozjaśnił wymuszony uśmiech:

– Hey, Michael. Jest OK. Szukam Hau. Widziałeś go gdzieś w tym gównie?

– Gra w xiang na murku u Tajwańczyków.

Singapurczyk o imieniu Hau też był moim kumplem. Siedział na podwyższeniu – tam nie dosięgała cuchnąca maź – grając w chińskie szachy. Travre miał dla niego działkę dobrej heroiny.



Kręcił ten biznes wraz z częścią czarnych braci. Z tą drobną różnicą, że sprzedawał ją kumplom nieprzeżenioną. Nigdy nie interesowały mnie szczegóły. Wiedziałem tylko o kontaktach Nigeryjczyków z Le Mungiem, zastępcą szefa budynku, który dostarczał im towar. Po długim okresie przebywania razem w jednej klatce nie byli w stanie ukryć przede mną pewnych spraw. Poza tym znali mnie już na tyle, by wiedzieć, że nie jestem żadnym konfidentem. Mieli własne interesy i to była ich sprawa. Śmieszył mnie jedynie fakt, jak wierzący katolicy, zbierający się co niedziela w grupie odprawiającej modły, opowiadając o Jezusie i udając świętych, resztę tygodnia spędzali na rozprowadzaniu prochów. Z drugiej strony przecież Biblia w ogóle nie odnosi się do tych spraw. W dziesięciu przykazaniach nie ma

słowa o handlu prochami.

Travre był jeszcze innym przypadkiem. Również chodził co niedziela na chrześcijańskie spotkanie, ale resztę tygodnia, prócz sprzedawania heroiny, spędzał, bijąc pokłony do Allacha. „Chrislam” – mówił sam o sobie, śmiejąc się rubasznie ze swojego innowierstwa.

– Widzisz, Michael – zwierzał mi się czasem – jestem muzułmaninem, ale misjonarze więcej nam tu pomagają. Chodząc do „kościół”, można liczyć na jakąś wizytę i pieniądze.

Na podobnej zasadzie chrześcijanami zostawała tu cała masa Afrykańczyków, Pakistańczyków, Hindusów, Chińczyków, Birmańczyków, Malezyjczyków i Tajów. Dla najbiedniejszych był to często jedyny sposób, by dostać podstawowe środki higieny. Znałem Travrego na tyle, by wiedzieć, że takie wytłumaczenie jest tylko pozą, jaką przybierał wobec swoich braci muzułmanów. Tak naprawdę głęboko wewnątrz siebie modlił się tak samo do Allacha, jak do Jezusa, by wreszcie skończył się jego koszmar.

Małe zawiniątko wypełnione białym proszkiem trafiło w ręce Hau wraz z powitalnym uściśnięciem dłoni. Dyskretny sposób przekazania towaru był prawie niezauważalny. W oczach Chińczyka przez chwilę można było dojrzeć błysk zadowolenia. Mała torebeczka wystarczała na popołudniowy odlot dla niego i grającego z nim w xiang towarzysza. Kolega Hau był dużo starszy. Jego pokryta bruzdami twarz mówiła sama za siebie. Starzec nie najlepiej znał angielski. O tym, co go w życiu spotkało, usłyszałem od Hau.

Czung był w więzieniu już ponad 30 lat. Aresztowano go wraz z innymi na północy kraju, przy granicy z Birmą. Cała ekipa, z którą przemycał heroinę, zginęła podczas aresztowania lub później, w celi śmierci. Czung mógł więc powiedzieć o sobie „szczęściarz”. Choć ciężko stwierdzić, czy spędzenie 30 lat w tym miejscu rzeczywiście było fartem. Gdy zastanawiałem się nad tym dłużej, nie byłem pewien, co jest bardziej humanitarne: posłać komuś kulkę, wyprawiając go od razu na tamten świat, czy zostawić na resztę życia, bygnił w tym swoistym piekle. Czung pochodził z prowincji Yunnan. Jako młody chłopak walczył po stronie Chang Kai-sheka w chińskiej wojnie domowej. Pokonana przez maoistów 26. armia pod wodzą generała Li Mi wycofywała się do Birmy. Czung jako jeden z ponad 5000 ludzi Li Mi również opuścił granice Chin. Jak okazało się później – by nigdy już nie wrócić w rodzinne strony.

Osaczeni przez wojska Ludowej Armii Chin od północy i birmańską armię od południa, toczyli ostatkiem sił partyzancką walkę. Dopiero w roku 1951 pomocną dłoń wyciągnęło do nich amerykańskie CIA. Zaczęły się zrzuty broni i prowiantu. Czung przeżył wiele lat w dżungli niedaleko miasta Tachilek. Miał tam trzy żony, co w krajach takich jak Laos, Birma czy Tajlandia jest rzeczą normalną. W tym czasie głównym źródłem dochodu dla rebeliantów stała się produkcja heroiny. Z pomocą samolotów CIA lub mułów przierzucano ją do Tajlandii. W ten warty miliardy interes zaangażowanych było bardzo wiele osób zarówno z tajskiego rządu, jak i z amerykańskiego CIA.

W 1961 roku wojska birmańskie z pomocą maoistów zdołały odepchnąć rebeliantów dalej, aż do rzeki Mekong. Czung kilka razy cudem uniknął śmierci z rąk wroga, by dalej ciągnąć swą tułaczkę. Porzuconym partyzantom pozostało już tylko jedno – handel białym proszkiem, na który wraz z wojną w Wietnamie zapotrzebowanie zwiększyło się jeszcze bardziej.

Czung wraz ze swoją grupą sprzedawał towar pewnemu szefowi policji w Chiang Mai. Któregoś dnia podczas transakcji handlowy partner zdradził ich perfidnie. Zostali otoczeni przez tajskie wojsko, które do tej pory robiło z nimi interesy. Rozpoczęła się strzelanina, w której zginęła większość jego towarzyszy. On sam został ranny i wylądował w więzieniu. Oskarżony o przemyt, został skazany, podobnie jak ja, na karę śmierci złagodzoną później na dożywocie.

Bruzdy na twarzy starca wyraźnie mówiły, jak drobną część jego historii tak naprawdę poznałem. Wytarte czarne oczy, zachodzące jaskrą, nie liczyły już na to, że zobaczą jeszcze coś poza tym miejscem. Na widok małej torebki rozblęsnęły na krótko. Biały proszek jak dawniej, za czasów jego młodości, pozwalał pogodzić się z fatalnym losem i zapomnieć.

Często nachodziły mnie myśli, by samemu wziąć działkę od Travrego. Odwodziły mnie od tego pomysłu jedynie słowa, które usłyszałem jeszcze w Polsce od kumpla-heroinisty: „Najpierw sprawia to przyjemność, później musisz już brać tylko po to, by nie czuć bólu”. I tak tkwiłem już po uszy w gównie. Po co był mi kolejny problem? Marzyło mi się jedynie jakieś THC^[12]. Chętnie zapaliłbym dobrego jointa, gdyby tylko się dało. Niestety, strażnicy nie handlowali takimi towarami. Dla nich liczył się dobry zysk i łatwość przemykania. Heroina nadawała się do tego idealnie. Na zewnątrz kosztowała grosze, tu mogli ją sprzedać nawet z dziesięciokrotną przebitką. Mało ich obchodziło, że jest to jedno z gorszych ścierv wśród substancji psychoaktywnych.

Moje marzenia, by wypalić jakiegoś spliffa, spełniły się trochę później, gdy poznałem Nadima. Barczysty Pakistańczyk, mocno po czterdziestce, przyszedł do naszego bloku z celi śmierci. Był bliskim znajomym Ahmeda – Afgańczyka, którego poznałem w bloku trzecim, zaraz po przybyciu do Bang Kwang. Szerokie blizny na kostkach Nadima świadczyły o permanentnym kontakcie z łańcuchami. Ludziom skazanym na śmierć nie zdejmowano ich nigdy. Nadim spędził tam osiem lat, nie będąc pewien, czy wykonają wyrok. Ostatecznie udało mu się dostać królewską łaskę i zamianę wyroku na dożywocie. Tak trafił do bloku szóstego. Po trzech miesiącach zdjęto mu łańcuchy, które nosił prawie dziewięć lat. Siedziałem z nim często, słuchając opowieści z celi śmierci.

– Co kilka dni przychodzili strażnicy, by kogoś zabrać. Nikt z nas do ostatniej chwili nie wiedział, czy jest na liście. Wyczytywali nazwisko i zabierali gościa prosto na egzekucję. Pozostawała ulga, że tym razem nie ciebie to dotyczyło. Po kilku dniach powracała niepewność.

– I ci wycytani tak bez problemu szli na własną śmierć?

– Dużo gości dostawało paraliżu. Wtedy trzeba było kilku strażników, by wyprowadzić człowieka z celi. Inni pozwalali się zabrać bez większych oporów. Nie wiem, co było gorsze, sama śmierć czy czekanie na nią.

Wzrok Nadima przybrał bardzo mętny odcień. Czaiło się w nim coś szalonego, nie do końca zrozumiałego.

– Człowieku... w tym bloku to jest luksus. Możecie wychodzić na zewnątrz, łańcuchy nosicie tylko przez parę miesięcy! Tam tak nie było. Przez osiem lat siedziałem w celi z 20

osobami. Podobnej do tej tu, z tą różnicą, że nie wypuszczano nas w ogóle na plac! Możesz to sobie wyobrazić?! Ile razy modliłem się do Allacha, by to się wreszcie skończyło! Ciągła niepewność, kiedy w końcu przyjdą po ciebie...

Po kilku miesiącach znajomości odkryłem, że Nadim ma haszysz. Niewielkie ilości brązowej plasteliny przysłał mu kumpel z Pakistanu w paczce z książkami. Dobrze sprasowany materiał włożony był między sklezione okładki. Wreszcie mogłem się zrelaksować czymś przyjemnym.

Nie było to jednak proste. Nawet zmieszany z tytoniem haszysz wydzieliał bardzo specyficzny zapach, co zwracało uwagę wszystkich dookoła, łącznie z wszędochyłskimi kapusiami. Na załadowanym ludźmi placu czy choćby na Chinatown, wśród lockerów, nigdzie nie dało się uniknąć tłoku. Trzeba więc było „improvizować”. Tu z pomocą przyszedł smród tajskiej kuchni. Duszące chili, curry oblepiające ciało swoim zapachem, ale przede wszystkim niesamowicie zajeżdżający rybi sos rewelacyjnie „odświeżały” powietrze. Stawaliśmy blisko wypuszczających ciemny dym kuchni węglowych. Można się było porzygać od smrodu, ale ryzyko wywęszenia naszego haszyszu spadało do minimum. Nadim dostawał wyjątkowo miłą substancję. Po dobrym spliffie wpatrzony gdzieś w dal opowiadał o swoich rodzinnych stronach – Lahore. Mówił o porośniętych zielenią górach, jakby zaledwie wczoraj stamtąd wrócił. Widać było, jak bardzo pragnie zobaczyć jeszcze raz swoje ojczyste strony. Jego rodzina zajmowała się handlem i podróżami od setek lat. Nadim młodość spędził między Afganistanem a Nepalem, gdzie jego rodzice robili interesy. Tak poznał prócz rodzimego języka urdu, również pendżabski i paszto. To właśnie znajomość paszto pozwoliła mu na wieloletnie kontaktowanie się za pomocą przemycanych liścików z Ahmedem, który powiedział mu o mnie. Nadim i Ahmed mieli bardzo prozachodni punkt widzenia, co trochę mnie dziwiło, biorąc pod uwagę, skąd pochodzili. Okazuje się jednak, że wszędzie można spotkać wyjątkowych ludzi, którzy są ciekawi świata i nie zamykają się na inne kultury. Nasza trójka miała ze sobą coś wspólnego – wszyscy zaufaliśmy za bardzo innym!

Nadim mieszkał już od kilku lat na północy Tajlandii, w Chiang Mai, wraz ze swoją tajską żoną, gdy zaczęły się problemy. Żył wtedy głównie z pewnego mało legalnego procederu, jakim był „import” złota do Indii i Pakistanu. Kruszec najczęściej leciał z Singapuru. Przebitka była spora. Ciągłe jednak brakowało ludzi do współpracy. Zwłaszcza, że najbardziej nadawali się do tego biali – najlepiej wypadali w oczach indyjskich i pakistańskich służb celnych. Nikt nie przeszukiwał turystów tak często jak miejscowych. W ten właśnie sposób na drodze Nadima stanął Hanz. Był to podstarzały Niemiec, kręcący się po ulicach Bangkoku i Chiang Mai już od ładnych kilkunastu lat. Żył głównie z przyznanej mu w Niemczech zapomogi. Kilka tysięcy marek wystarczało na przeżycie w Azji, ale oczywiście nie były to kokosy, zwłaszcza że Hanz lubił spędzać dni w tutejszych barach, najlepiej w towarzystwie młodych Tajek, a te rozrywki nie należały do najtańszych. Poznali się z Nadimem przez wspólnych znajomych i po kilku miesiącach dogadali szczegóły współpracy. Nadim potrzebował właśnie kogoś takiego. Starszego białego pana o dobrej aparycji.

Bombaj, Delhi, Karachi – w ciągu pierwszego półrocza wszystko się układało. Hanz latał razem z Nadimem, choć w czasie lotu oficjalnie się nie znali. Spotykali się dopiero w hotelu. Nadim załatwiał interesy z Hindusami i wracał z kasą – dolarami, w ilościach zajmujących raczej walizkę niż portfel. Rolą Hanza było przewieźć je z powrotem. Zaufanie Nadima było bardzo

ograniczone, nigdy nie tracił z oczu swego współnika. W samolocie siedział najdalej w odległości kilku miejsc od niego. Dopiero na lotnisku Don Muang, po przejściu wszystkich kontroli bagażowych, Hanz wchodził do toalety. Tam dyskretnie oddawał bagaż Nadimowi. Tak było i tym razem. Samolot wylądował bezproblemowo, odbyła się już ostatnia kontrola i Hanz wszedł do toalety. Nadim odczekał chwilę i podążył za nim. Wymiana nastąpiła niepostrzeżenie, Hanz wyszedł już z inną torbą. Nadim czekał jeszcze jakiś czas w środku, wpatrzony w lśniące białą łazienkowe płytki, a myślami był już w domu. Wtem donośne głosy wyrwały go z zawieszenia. To ubrani w czarne mundury policjanci wpadli do toalety i z wielkim hukiem powalili go na ziemię. Ból mieszał się ze zdziwieniem. Po chwili Nadim uprzytomnił sobie, że posiadanie pieniędzy nie jest nielegalne, nic mu nie mogą zrobić. Jeden z mundurowych zaczął szarpać jego bagaż. Widząc zablokowane zamki, nawet nie pytał o klucz. Wyciągnął solidny nóż i rozpruł wykonaną z czarnego tworzywa walizkę. Po chwili jej zawartość była już na wierzchu. Głowa Nadima ciągle leżała na zimnych łazienkowych płytkach. Przyciśnięty przez kilku muskularnych drabów nie miał zbyt wielu szans na protest. Mógł jedynie obserwować całe zajście kątem oka. To, co wytargano z wnętrza walizki, wcale nie przypominało 600 tysięcy amerykańskich dolarów. Gliniarze grzebali w masie pociętych kartonów. Nagle jeden z nich znalazł pośród tektury niewielką plastikową torbę. Tak, to była heroina...



– Do dziś zastanawiam się, jak on to zrobił – mówił Nadim. Jego twarz przybrała ostry wyraz, wyraźnie pokazując, co czuje do człowieka, dzięki któremu tu trafił. – Na pewno skurwiel był jakoś dogadany z policjantami, ale kiedy zdążył podmienić walizki?... – Potem następowała cisza. Znow rozmyślał o rodzinnym Lahore.

Nadim nie przyznał się do winy, próbując udowodnić swoją wersję, i z tego powodu trafił do celi śmierci za przemyt pół kilograma heroiny. Sędziego nawet nie zainteresował fakt, że przemyt heroiny z Indii do Tajlandii to raczej niespotykane zjawisko. Ciekawe było też to, dlaczego nie zatrzymano go podczas kontroli i skąd policja wiedziała o zawartości jego walizki.

Trzeci sąd, najwyższej instancji, po prawie dziewięciu latach zmienił w końcu wyrok Nadima na dożywocie. To było wszystko, czego mógł się spodziewać od tutejszego wymiaru sprawiedliwości.

„Plastelina”, którą dostawał Nadim, często leczyła nasze stany totalnego przygnębienia. Niestety, któregoś dnia, prawdopodobnie za sprawą jednego z kapusiów, strażnicy wyczaili, jak ją dostaje. W kolejnej paczce z książkami znaleźli nielegalny środek. Pakistańczyk dostał ponownie łańcuchy i trafił na rok do karceru. Po ośmiu latach spędzonych w celi śmierci nie była to dla niego jakaś wielka tragedia. Jednak nasz kontakt praktycznie się urwał, a w bloku znów królowała wszędobylska heroina.

[12] THC – marihuana.

XXV

Zrządzenie losu

Mniej więcej w połowie września przyszedł do mnie Wahid. Irańczyk z kanadyjskim paszportem trafił tu za narkotyki. Minęło właśnie osiem lat, od kiedy został aresztowany. Od tamtej pory wciąż próbował swych sił w tutejszym sądzie, z dość marnym skutkiem.

– Michael, mam do ciebie sprawę – zaczął, wyciągając z kieszeni list, zwykłą podłużną kopertę.

Moje oczy powiększyły się ze zdziwienia dopiero, gdy zobaczyłem adres. Pośród szeregu ładnie wykaligrafowanych liter widniała nazwa: „Łódź”.

– Słuchaj, jak napisać ten cały adres?

– Skąd masz ten list, Wahid?

– Dostałem go wczoraj. Jakaś dziewczyna znalazła moje dane na australijskiej stronie powiązanej z Warrenem Fellowsem^[13]. Co to za miasto: Logz?

– „Woog”, Wahid. A zresztą – czytaj, jak chcesz... Wiesz, to jest moje miasto, miejsce, gdzie mam wielu przyjaciół... A w ogóle, co ona ci tam pisze?

– Pisze o *Damage Done* i takich tam duperelach. Jest nauczycielką angielskiego, wpadła jej w ręce książka i postanowiła napisać.

Nie mogłem uwierzyć w ten zbieg okoliczności. Tutejsza poczta działała nieźle w porównaniu do Lard Yao. Dwa lub trzy razy w tygodniu przychodził do bloku plik listów. Podobnie było z wysyłką. Sam dostawałem korespondencję od paru dziewczyn z Australii i Anglii. Były to znajome znajomych Johna, które pewnie się nudziły i miały taką „jazdę”, by pisać do kogoś, kto wpadł w poważne tarapaty. Tymczasem moi starzy przyjaciele z Polski

nieczęsto się do mnie odzywali. Wahid, w odróżnieniu ode mnie, udostępnił swoje dane na australijskiej stronie internetowej, która zajmowała się tematem tutejszych więzień. Istniała tam osobna rubryka, w której podawano adresy i nazwiska skazanych – i tak właśnie znalazła go ta Polka. Teraz stał przede mną z listem od dziewczyny z Łodzi, pytając, jak ma zapisać adres. Zdziwienie ustąpiło miejsca zazdrości, a w mojej głowie natychmiast zrodziła się chęć, by w jakiś sposób wyciągnąć od niego ten adres. Pen pales byli w tym miejscu towarem deficytowym i nigdy nie spotkałem się z sytuacją, by ktoś komuś ot tak udostępniał dane swoich listownych znajomych. Słyszałem nawet o przypadkach kradzieży korespondencji. Jeden trochę popieprzony Hindus kiedyś omal nie został zlinczowany przez Nigeryjczyków, gdy wyszło na jaw, że podkładał im listy i pisał do nadawców z prośbą o pomoc materialną. Poza tym dziewczyna napisała do Wahida, więc kto wie, jak zareaguje, dostając list zwrotny od zupełnie innej osoby. Zacząłem więc spokojnie:

– Siadaj proszę, Wahid, zaraz opowiem ci trochę o moim mieście. – Obaj mieliśmy wystarczająco dużo czasu na takie historie. – Wiesz jak to jest, gdy możesz porozmawiać z kimś, kto bardzo dobrze zna twoje „stare śmieci”... Chciałem cię spytać, czy pozwoliłbyś mi napisać do tej Polki.

– Hmm...

– Nie będę przeszkadzał w waszej korespondencji. Możemy przecież pisać do niej obaj. A ja w zamian dam ci adresy dwóch dziewczyn z Australii, z którymi wymieniam listy, co ty na to?

Wahid milczał. Dookoła rozbrzmiewał codzienny gwar tutejszego Chinatown. Ludzie gotowali, szwendali się, uprawiali hazard lub po prostu siedzieli sfrustrowani, „czekając na Godota”. – W porządku. Rozumiem cię, Michael. Zgadzam się – powiedział wreszcie.

– Super, Wahid. Jesteś cool, dzięki... Masz u mnie jeszcze karton fajek – zakończyłem podniecony jak dzieciak, który dostał ulubionego lizaka.

Tego dnia wieczorem, nie do końca przekonany do tego, co robię, pisałem list do dziewczyny z Łodzi. Przez głowę przewijało mi się mnóstwo niesamowicie miłych wspomnień z tego szarego miasta. W życiu bym nie przypuszczał, że będę tak tęsknił za jego syfiastymi ulicami...

Kilka dni później, jedząc swoją porcję ryżu, trafiłem na większy kamyczek. Źle oczyszczona pasza miała ich sporo. Usłyszałem znajomy trzask, by po chwili wyjąć z ust kawałek plomb. W przeciągu tych dwóch lat była to już trzecia. Z opieką medyczną, w tym dentystryczną, nie było tu najlepiej. Mówiąc wprost – nie istniała prawie w ogóle. Co kilka tygodni można się było zapisać do starego dentysty, który przychodził z zestawem do wyrywania. To wszystko, na co można było liczyć. Jeśli chciałbym naprawić swoje plomb, musiałbym zwrócić się o pomoc do ambasady. Wymagało to wielu formalności i transportu do więziennego szpitala w Lard Yao. Tam urzędował dentysta, który prócz szczypiec miał kilka innych narzędzi. Poza tym w kolejce do niego czekało się prawie rok. Mimo to nosiłem się już z zamiarem napisania listu do polskiej ambasady – zwłaszcza że nie widziałem jej przedstawicieli już prawie pół roku – gdy wezwano mnie po odbiór korespondencji. Przyszedł list od mojej

siostry. Gdy go odbierałem, dopadło mnie stado Tajów. Wszyscy wyciągali ręce w moim kierunku, chcąc dostać znaczki, mimo że polska poczta wydawała chyba najbrzydsze serie, jakie widywałem pośród listów z całego świata. Ta sytuacja powtarzała się za każdym razem, gdy przychodziła jakaś korespondencja. Tajowie mieli manię zbierania znaczków, zwłaszcza tych z zagranicy. Oderwałem z białej koperty kilka małych obrazków z bardzo nieciekawym designem i dużym napisem „Polska”, i rzuciłem je w tłum. Zaczęła się kotłowanina, a ja mogłem pójść dalej.

Siadłem w jednym z mniej jazgotliwych miejsc i zacząłem czytać wyciągniętą z koperty kartkę. W połowie przerwałem, a z moich ust wyrwało się mimo woli głośno: „Fucking hell!”.

Siostra pisała o tragicznej śmierci konsula, która miała miejsce kilka miesięcy wcześniej. Była to bardzo przykra informacja, mimo że miałem sporo żalu do faceta. Sama przyczyna zgonu nie zdziwiła mnie tak bardzo. Spora nadwaga plus używki sprawiły, że jego serce nie wytrzymało w tutejszym klimacie. Facet nie żył... cóż, w tym miejscu nie robiło to na mnie większego wrażenia. Do widoku śmierci byłem przyzwyczajony. Bardziej obchodziło mnie to, że ja wciąż żyję. Martwił mnie z kolei fakt, że taka sytuacja będzie kolejną wymówką dla ambasady, by nie odwiedzić mnie przez następne pół roku.

^[13] Warren Fellows – Australijczyk, były przemytnik narkotyków, skazany w Tajlandii na dożywocie. Po 12 latach wypuszczony na wolność na mocy królewskiego aktu łaski. Wspomnienia z pobytu w Bang Kwang zawarł w swojej autobiografii *Damage Done*.

XXVI

25 października 2548

Coraz częściej włóczyłem się po placu wraz z Johnem. Wciąż wracał temat, który rozważaliśmy jeszcze w Bambat. Tu mający sporo wizyt i mogący liczyć na pomoc znajomych Anglik wreszcie mógł przedstawić jakieś konkrety.

– Michael, mógłbyś spróbować znaleźć to „oko do ważki”. Stać mnie tylko na kogoś ze Wschodu. W zamian spływasz ze mną.

W tłumie zawsze lepiej było używać kodów. „Okiem do ważki” nazywaliśmy pilota helikoptera. Ktoś, kto podjąłby się takiej akcji, oczekiwałby bardzo poważnych sum. Dokumenty i wynajęcie sprzętu załatwiali znajomi Johna. Jeśli by się udało, mieliśmy wynajęte na trzy miesiące mieszkanie w Bangkoku. Taki był plan. Zostać tam trochę czasu, nie ruszając się z ukrycia. Tajowie szukaliby nas głównie na granicach i lotniskach. Później każdy z nas udałby się w swoją stronę. Lepiej było nie wiedzieć, co planuje drugi. Ja zamierzałem pojechać jednym z turystycznych busów na Ko Chang. Tam mogłem łatwo wynająć rybacką łódkę lub choćby jet ski, by dotrzeć do sąsiedniej Kambodży. Byłem pewien, że swobodne poruszanie się z grupą turystów nie stanowi żadnego zagrożenia. Tak samo jak my, biali, nie do końca radzimy sobie z rozróżnianiem twarzy Azjatów w dużej grupie, tak oni mają problem z odróżnianiem nas. Po drobnych zmianach fryzury można tu było zostać zupełnie nową osobą, nawet jeśli poszukujący

mieli w rękach zdjęcia.

Jak długo nie mieliśmy pilota, wszystko to zostawało w sferze naszych marzeń. Ucieczka stąd wydawała się jeszcze łatwiejsza niż w Bambał, gdzie zaczęliśmy o tym myśleć. W odpowiednim momencie mogliśmy się wspiąć na eternitowy daszek, który przykrywał Chinatown. Rozległy obszar powodował, że do najbliższej wieżyczki było wystarczająco daleko, by nie przejmować się ewentualnymi strzałami.

Długo zastanawiałem się, kto mógłby pomóc w znalezieniu pilota. Miałem adresy kilku starych znajomych. Wreszcie zdecydowałem, by napisać parę listów, tłumacząc sprawę. Na wszelki wypadek – w mało oczywisty sposób.

Strażnik odpowiedzialny za kontrolę naszych listów miał na imię Jo. Był to średniego wzrostu, dość rezolutny grubasek. Wysoka ranga pozwalała mu na spokojne przemieszczanie się po całym więzieniu. Wpadał też czasem do szóstki. Lubił sobie pogadać z obcokrajowcami, nie ze względu na sympatię do nich, lecz przez chęć szlifowania angielskiego.

Już dawno nauczyłem się panujących tu zasad – jeśli ktoś się uśmiecha, wcale nie oznacza to, jak w naszej kulturze, że jest przyjaźnie nastawiony. Dodatkowym interesem Jo było przemykanie małej elektroniki, jak radia czy odtwarzacze mp3. Strażnicy sprzedawali je więźniom, by później co jakiś czas robić przeszukanie i rekwirować nielegalny sprzęt. W ten sposób mogli zarabiać na tym wielokrotnie. Jak większość Tajów, Jo nie należał do tytanów pracy. Wolał spędzać czas w bloku, popijając zimne mleko kokosowe i zbierając zamówienia, niż męcząc się czytaniem tego, co wykaligrowali obcojęzyczni więźniowie.

Siedział właśnie rozparty przy biurku w jednym z przeznaczonych dla strażników klimatyzowanych pomieszczeń. Znałem go już na tyle dobrze, by móc pozwolić sobie na wtargnięcie na jego teren. Listy były ważną i jedyną formą komunikacji z pozostawionym za murami światem. Nękanie Jo okazało się jedynym sposobem, by je otrzymywać. Niewielkie pomieszczenie przywitało mnie miłym chłodem.

– Hey, Jo. Powiedz mi, kiedy przyniesiesz listy?

– Nie wiem, może jutro.

– Byłoby miło! Proszę, postaraj się o to. W zeszłym tygodniu nic nie przyniosłeś. Wiesz, jak nam na tym zależy.

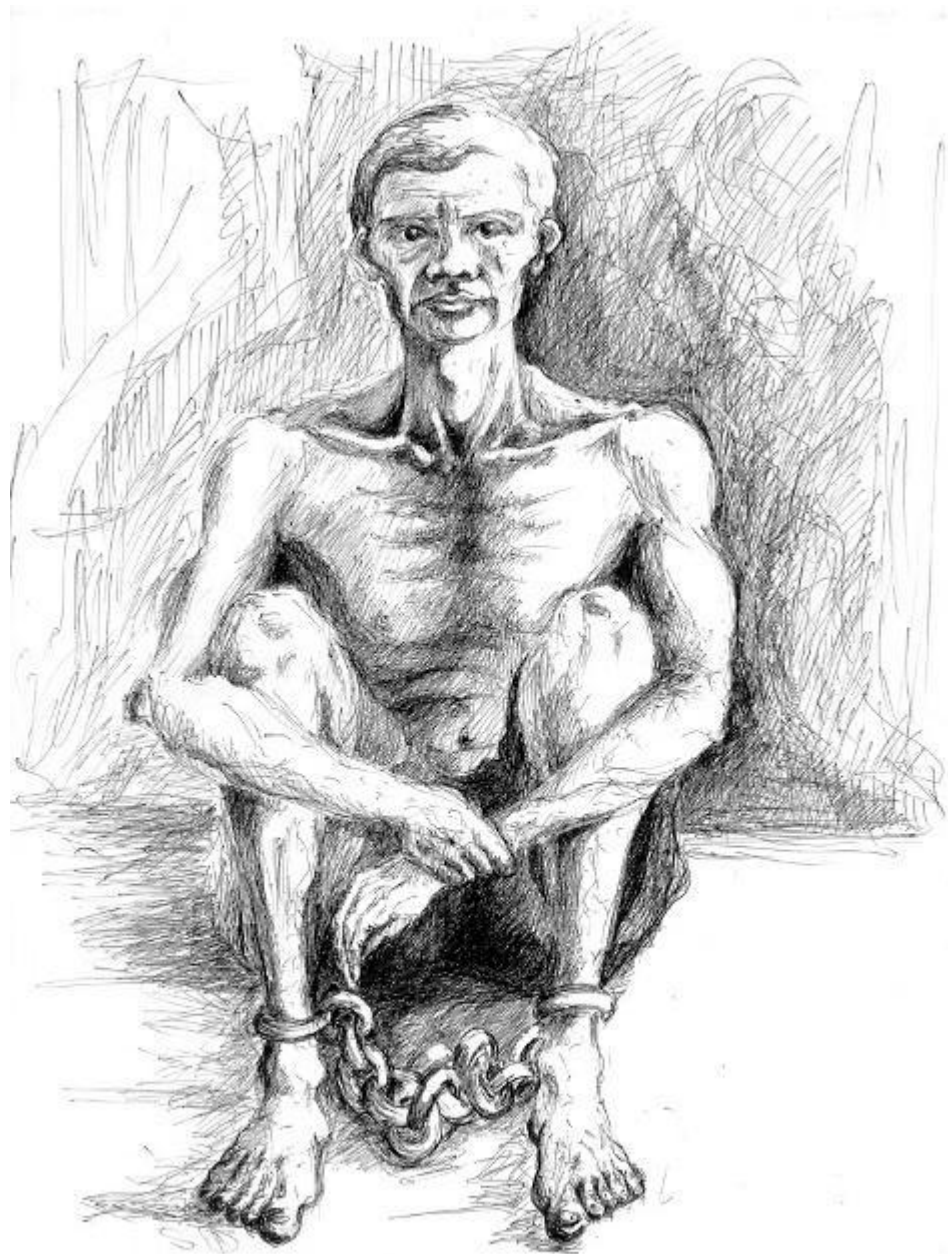
– OK, OK... przyniosę jutro coś z tej sterty – jego głos przybrał ton irytacji.

Było oczywiste, jak bardzo nie chce mu się tego robić. Wolał odłożyć listy na stosik, gdzie odbywały swoistą kwarantannę. Przekonywało mnie to całkowicie, że nikt nie sprawdza, o czym piszemy, zwłaszcza w języku polskim. Jo nawet tego nie zauważał. Przypuszczalnie mógł nawet myśleć, że w Polsce oficjalnym językiem jest angielski. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Wiele razy spotkałem wykształconych Tajów, którzy byli przekonani, że tak właśnie jest.

Z nadzieją oczekiwałem listów od znajomych. Wreszcie po kilku miesiącach dostałem

jedną odpowiedź. Wkurzony i przestraszony kumpel pisał do mnie z pretensjami: „jak śmiem pytać go o takie rzeczy”. Przełknąłem gorzką pigułkę, zastanawiając się, jak sam bym zareagował. Z czasem przestałem wierzyć, że uda nam się kogoś znaleźć. Stagnacja ciągnęła się przez kolejne miesiące. Nasza świetlana wizja wydostania się z tego syfu odchodziła powoli do lamusa.

Kiedy patrzyłem na ludzi takich jak Sean, ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Anglik trafił tu 18 lat temu. Była to więcej niż połowa mojego życia. Po takim czasie zacierają się nawet wspomnienia. W człowieku wypala się wszystko, zostaje jedynie monotonia tutejszej rzeczywistości. Życie na małym skrawku betonu, pośród tłumu, syfu i palącego słońca. Najgorsza była świadomość ciągłości tego stanu, przeżywanie dzisiejszego piekła, wiedząc, że jutro, pojutrze czy za rok nic się nie zmieni. Sean siedział, jak większość białych i Chińczyków, na Chinatown. Miał tam swój locker i kawałek murku. Duszny i kwaśny odór powietrza zatrzymującego się pod eternitowym dachem, zmieszanego z dymem węglowych kuchni, nie przeszkadzał mu już w ogóle. Spędzał tak dni wraz ze swoim tajskim kumplem i pomocnikiem.



Taj miał na imię Ming i gdy usłyszałem jego historię, stał się dla mnie bohaterem. Był tu prawie tak długo jak Sean. Aresztowano go za posiadanie heroiny, którą podobno podłożyli mu policjanci chcący wyciągnąć od niego jakieś pieniądze. Wiele razy słyszałem podobne historie. Policja podkłada narkotyki, strasząc i proponując odstąpienie od aresztowania w zamian za haracz. Jeśli człowiek nie zapłacił, trafiał za kratki, a policjanci i tak dostawali premię za schwytanego dealera. Ming nie miał pieniędzy, więc skończył w więzieniu. Później próbował dochodzić sprawiedliwości w sądzie. Wydano wyrok skazujący. Ming, nie mogąc znieść niesprawiedliwości, która go spotkała, zdecydował się na bardzo desperacki akt. Zdjął z nogi kłapka i rzucił nim prosto w sędziego. Tak wyrażona dezaprobata dla tutejszego systemu

sprawiedliwości nie została dobrze przyjęta. Strażnicy pobili go dotkliwie i zamknęli na rok w karczerze. Od tamtej pory jadącym do sądu więźniom zakazano nosić obuwie. Ming ze swoją dożywotnią karą został w bloku szóstym, lecz jako jedyny z Tajów mógł powiedzieć, że wyraził swój stosunek do sprawy. Jak na kogoś uczonego już od dziecka bezwarunkowej uległości wobec systemu, trzeba przyznać, że miał swoje pięć minut! Dla mnie był bohaterem.

XXVII

Kolejny wyrok

Minęło już tak wiele dni od momentu, gdy po raz ostatni widziałem rozświetlone gwiazdami nocne niebo. Nigdy wcześniej bym nie pomyślał, jak bardzo będzie mi brakowało tego widoku. Białe światło jarzeniówki wypełniało zatłoczoną klatkę. Permanentny szum ludzkiego bytowania został stłumiony przez ryk lotniczych silników. Ich niski ton wskazywał wyraźnie, że był to boeing 747, wolno unoszący swe ciężkie cielsko. Nocą odbywały się tylko kursy do Europy. Mózg rozpoczął kolejną animację wspomnień – pierwszy przylot do Bangkoku...

Jest pewien dowcip, który charakteryzuje ruch w stolicy Tajlandii: „jeśli patrzysz w dwie strony, przechodząc jednokierunkową ulicą, oznacza to, że za długo jesteś w Bangkoku”. Takie właśnie jest to miasto – ogromne mrowisko, rządzące się swoimi prawami. Myślałem o tym, co sprawiło, że tak mnie pociągało. Myślałem o nocach spędzonych pod gwiazdzistym niebem Kambodży, o rajskich wyspach w Zatoce Tajskiej. Wspomnienia były wszystkim, co mi zostało.

Kończył się właśnie listopad, gdy stało się coś niespodziewanego. Przyszedł list od dziewczyny z Łodzi. Tej, której adres dostałem od Wahida. Minęły prawie dwa miesiące od momentu, gdy wysłałem list do Ewy. Od pierwszych słów brzmiała, jakbym ją znał od dawna. Okazało się, że mamy nawet wspólnych znajomych. Od czasu, gdy dostała mój list, zdążyła się już z nimi skontaktować. A przez nich dalej z moją rodziną. W jednym kilkustronicowym liście wszystko działało się tak szybko. Zupełnie inaczej niż tu, gdzie czas przelewał się przez śmierdzące i lepkie powietrze. Ewa, podobnie jak ja, była zadziwiona tym zbiegiem okoliczności.

Michał,

dzięki, że do mnie napisałeś. Słyszałam o tobie już wcześniej od naszych wspólnych znajomych, jeszcze zanim znalazłam w Internecie dane Wahida. Myślałam jednak, że jesteś gdzie indziej, i zapomniałam o tobie. Napisałam do Kanadyjczyka, a odpisał mi Polak :) ! dodatkowo z tego samego miasta i to znajomy znajomych :) ! Faktycznie – niezły zbieg okoliczności. A może wcale nie?

*Czekając na odpowiedź, zastanawiałam się, jak zareaguję, co będę czuć itp. Czytałam sporo o sytuacji obcokrajowców skazanych w Azji. Niedawno wróciłam z Bangkoku, gdzie wpadła mi w ręce książka Worrena Fellowsa *Damage Done*.*

Nic jednak nie przygotowało mnie na to, co poczułam, gdy dziś rano otworzyłam skrzynkę i znalazłam list od ciebie! Teraz jest godzina 22, a ja nadal mam ochotę rozszarpać coś na

strzępy. Nie chcę rozpisywać się o frustracji, jaką to wszystko we mnie wywołuje, ale muszę być szczerą. Nigdy nie byłam dobra w pisaniu o „dupie Maryni”. To co innego czytać o czymś takim w książce lub w necie. Wszystko wydaje się wtedy bardziej odległe. Tymczasem ty jesteś z tego samego świata, co ja, chodziłeś po tych samych ulicach i załóż się, że nieraz bawiliśmy się na tej samej imprezie. Mam wielką nadzieję, że jeszcze nieraz będziemy mieli do tego okazję...

Skąd pomyśl napisania do Wahida? Spontaniczna akcja po przeczytaniu strony, na której jest dużo adresów do ludzi w Bang Kwang. Jest tam sporo nazwisk, ale Wahid miał specyficzny komentarz. Daj znać, jeśli chciałbyś się znaleźć na tej stronie. Jeśli mogę zrobić coś, by ułatwić ci życie tam, gdzie jesteś, pisz!

Ewa

Ewa emanowała totalnie pozytywną energią i wręcz żądała, by do niej pisać więcej. Nie omieszkalem powiedzieć o liście Wahidowi, zwłaszcza że Ewa prosiła, by go pozdrowić, i oczekiwała również wiadomości od niego.

– Ach, nie zdążyłem jeszcze do niej napisać, Michael – przyznał, patrząc na mnie trochę rozbieganym wzrokiem. – Pozdrów ją ode mnie, proszę... Przypadkiem dowiedziałem się, że Wahid ma teraz zupełnie inne problemy. Tak samo jak wielu Azjatów, ludzi z Bliskiego Wschodu, a nawet Europejczyków, Wahid był zajęty „love aferą” z jednym z cyncatych ladyboyów. Takich rzeczy nie dało się ukryć. Trzecia pięć z wiadomych względów miała tu wyjątkowe branie. A jak miałem okazję często widzieć, naszpikowani hormonami potrafili robić gorsze afery niż najbardziej rozhisteryzowane kobiety. Krzyki, piski, rzucanie czym popadnie, walki na duże kuchenne walki (patelnie). To było coś, czym Bang Kwang żyło na co dzień. Wahid brał udział w jednej z takich „mydlanych oper”. Oczywiście mnie to nie przeszkadzało. Z przyjemnością zająłem się odpisywaniem Ewie, również w jego imieniu.

Nadszedł następny, abstrakcyjny, 2549 rok. Zrobiło się chłodno. Andrzej wykombinował gdzieś plastikową butelkę po wodzie, pełną sfermentowanych owoców i ryżu. Ten specyficzny trunek był jedynym dostępnym tu alkoholem. Smak miał więcej niż odrażający. Należało to jednak uznać za dobrobyt. Przypomniałem sobie szpital w Bambat, gdzie Noj pił spirytus metylowy, służący do odkażania ran.

Andrzej nigdy nie mówił wiele. Tego dnia, po alkoholu, jego język zdecydowanie się rozwiązał. Jego polski miał silne śląskie korzenie i angielską gramatykę. Używał go tylko czasem, gdy byliśmy sami. Teraz, kiedy obok siedział John i czuwający nad wszystkim Wong, mówił raczej po angielsku.

– Byłem w Polsce z ojcem gdzieś około 1978 – opowiadał. Niewielka ilość alkoholu natychmiast rozgrzała wystawiony na długą abstynencję umysł. – Najlepsze były kolejki. Ludzie ustawiali się w nich, nie bardzo wiedząc, co tam sprzedają. Po prostu kupowało się to, co dawali...

– Naprawdę? – pytał z niedowierzaniem John.

– A jak tam „meliny”, Michał? Nadal funkcjonuje coś takiego?

Wong nie pojmował, o co chodzi. Jemu Europa, łącznie z Polską, kojarzyła się z mlekiem i miodem płynącą krainą szczęśliwości. Zanim zajął się heroinowym interesem, długo siedział w branży szmuglowania ludzi. Chińczycy płacili fortuny, by móc dostać się do Ameryki lub Europy. Relacja Andrzeja trochę namieszała w jego wizji o upragnionym świecie. Zwłaszcza że nie do końca załapał, o jakie czasy chodzi. Później, na osobności, wypytywał mnie jak dziecko:

– Ty, Michael, to tam u ciebie naprawdę tak jest?

– Nie, Wong, tak było kiedyś, za komuny.

– A teraz już jest OK?

– Tak, przynajmniej trochę lepiej.

– Ty, a może znajdziesz mi jakąś dziewczynę z Polski? Jak stąd wyjdę, nie chcę dłużej siedzieć w Azji.

– Dobrze, Wong, jak już wyjdiesz, to pogadamy.

Jak większość, również Wong wierzył w jakiś cud, który pozwoliłby mu się stąd wydostać. Na tej płaszczyźnie nic nas nie różniło. Ludzie non stop opowiadali bajki o planie zmiany tajskiego prawa lub o zbliżającej się amnestii dla skazanych za narkotyki. Zdarzały się też prawdziwe historie. Słyszałem opowieści o takich, którym udało się stąd wydostać za sprawą królewskiego przebaczenia. Były to nieliczne przypadki, ale jednak! Najlepszą wiedzę w tej kwestii miał właśnie Andrzej. Opowiadał mi nawet o dwóch Polakach z australijskimi paszportami, którzy ponad dziesięć lat temu wydostali się stąd właśnie dzięki aktowi królewskiej łaski. W mojej głowie zaświtała kolejny raz nadzieja, choć sam Andrzej swoim pesymizmem natychmiast sprowadzał mnie na ziemię.



Kilka miesięcy później, wczesnym rankiem, zaraz po wyjściu z klatek, usłyszałem z charczącego megafonu klasyczne: „Miczun Polly, Miczun Polly”. Wezwanie o tak wczesnej porze? To mogło oznaczać tylko jedno – ponowną wyprawę do sądu. Jak zwykle nikt się nie pofatygował, by powiedzieć mi o tym kilka dni wcześniej. Skąd się wziął ten irytujący zwyczaj? Me dai, me dai! – tłumaczył poirytowanym głosem Joe. Jedyne strażnik, z którym dało się pogadać. – Względy bezpieczeństwa. Inaczej mógłbyś zdążyć przygotować ucieczkę – dodawał.

Tajskie przepisy prześcigały się w genialności. Dzięki nim musiałem zasuwać natychmiast, bez jedzenia i porannej toalety, do sekcji, gdzie zakładano łańcuchy. Po kilku kwadransach miałem już na sobie stalową biżuterię i czekałem wraz z grupą innych więźniów na autobus jadący do sądu. Gdyby nie gołe stopy zakute w stal, smród, ścisk, ssanie w pustym żołądku i widok przez kratę – mógłbym się poczuć jak na wycieczce. Widok Bangkoku przyciągał jak zawsze, przypominając, jak bardzo lubiłem to miasto. „Wielki tygrys”, jak nazywali Bang Kwang Tajowie, zżerał nas żywcem, powoli wysysając wszystkie wspomnienia.

Dojechaliśmy na miejsce i natychmiast wpędzono nas do budynku. Pozostało czekanie pośród przyrdzewiających krat. Na salę sądową wezwano mnie około godziny 12. Okazało się, że chodzi o rozpatrzenie mojej apelacji.

Tak jak się spodziewałem, nie było szans, bym spotkał tu mojego szanownego obrońcę, pana Sumsaka. Nie pojawił się też nikt z ambasady. Posadzono mnie obok młodej tłumaczki. Procedura trwała zaledwie chwilę, w ciągu której dowiedziałem się o niezmiennych decyzjach sędziów. Na koniec dziewczyna wytłumaczyła mi uzasadnienie odmowy złagodzenia kary:

– Jesteś bardzo niebezpiecznym przestępcą – powtórzyła słowa sędziego, nie przestając serdecznie się uśmiechać.

Tego samego popołudnia wróciłem do swojej klatki, z utrzymanym wyrokiem. Widok celi zamiast ulic Bangkoku pogrążył mnie w czarnych myślach. Mogłem złożyć jeszcze jedną, ostatnią apelację – i koniec. Game over! Dziewczyna w sądzie wyraźnie przedstawiła mi argumenty sędziowskiego trybunału. Czy kolejny, najwyższy sąd mógł mieć inne zdanie?... Irytacja wzrosła na myśl o Sumsaku. Nawet nie wiedziałem, co napisał w tej apelacji. Może to przez niego nie zmniejszono mojego wyroku. Nie da się ukryć, że byłem już poważnie uprzedzony do tego człowieka.

Cienki tajski długopis przelewał moje lęki, żale i rozterki na biały listowy papier. Napisałem list do siostry, mamy, i w końcu, najdłuższy, do Ewy. Pisanie do niej stało się rytuałem, który coraz częściej pozwalał mi się oderwać od wszystkiego wokół. Traktowałem ją jak najlepszego kumpla, dostając w zamian jeszcze dłuższe i pełne zaangażowania odpowiedzi...

Po kilku dniach nieustannej walki z depresją mój nastrój trochę się polepszył. Zdecydowałem się złożyć kolejny, już ostatni z przysługujących więźniowi, wniosek o apelację. Oczywiście bez pomocy znieprawionego Sumsaka. Wong zaprowadził mnie do Taja, który znał się na tutejszym prawie i pisał takie same apelacje jak szanowni adwokaci za murem. Z tą różnicą, że nie brał za to 20 000 bathów, a jedynie 200. Dodatkowo byłem w stanie z pomocą tłumacza z nim porozmawiać i wybrać spośród kilku form tę, która wydawała mi się najlepsza.

– Kilka osób dostało poważne złagodzenie wyroku na podstawie wniosku Mr. Mau – mówił Wong, zachęcając mnie do skorzystania z pomocy Taja.

Przestawałem już wierzyć, że tutejsze sądy znają w ogóle takie słowo jak „łaska”. Tę ostatnią próbę podjąłem bardziej *pro forma*, by nie dręczyć się niewykorzystaną szansą. Prawdziwe nadzieje zacząłem pokładać w tym, co moim kolegom wydawało się niemożliwe – akcie królewskiej łaski. Nie mogłem inaczej! Pogodzenie się z myślą o pozostaniu w tym świecie było ponad moje możliwości!

Każdego ranka stałem przed szarym murem, pokrytym kolczastymi zaskakami, tylko z jedną myślą – będę wolny, wydostanę się stąd! To przekonanie stało się dla mnie jak mantra, powtarzana w myślach przy każdej możliwej okazji – jedyny sposób na walkę ze zżerającym mnie od środka potworem. Im bardziej byłem załamany, tym mocniej próbowałem wyobrazić sobie dzień, gdy znikną szare mury i zaskaki. Z czasem stało się to jak narkotyk. Starłem się jak najrzadziej „wracać na ziemię”, gdzie czekała na mnie jedynie beznadzieja codzienności. A jeśli już wróciłem, patrzyłem z niedowierzaniem na to, co mnie otacza. Mieszkańcy Krainy Uśmiechu, którzy na zewnątrz wydawali się sympatyczni, choć nieco ciekawscy, tu zamieniali się w stada hien. Życie wśród tej depreczającej po sobie masy nie służyło nikomu. Będąc zamkniętym w jednym terrarium z ponad tysiącem różnych dziwnych indywiduów, sam czułem się często bliski szaleństwa. A może nawet już byłem oszalały, a jedynie brak punktu odniesienia utrzymywał mnie w błędnych przekonaniach o swoim zdrowiu psychicznym.

Gdy szedłem wąskim, zatłoczonym korytarzem, co rusz, jak demony, nawiedzały mnie te same gęby, ludzie, z którymi miałem w ten czy inny sposób na pieńku. Mijałem na przykład Francuza, z którym pokłóciłem się parę miesięcy wcześniej. Już nawet nie pamiętałem o co. Po prostu coś zazgrzytało i poszło na ostro. Tu o awanturę nie było trudno. Francuz o imieniu Chris miał fatalny charakter, był przemądrzały i zawsze musiał stawiać na swoim. Czasem takie

spotkania z którymś z moich „ulubieńców” źle się kończyły. Niewiele dało się z tym jednak zrobić, byliśmy w tym samym bloku i nie zanosiło się, by któryś z nas miał opuścić „miasto”.

Chris mieszkał w Tajlandii z tajską żoną. Mówił niezłe w miejscowym języku i, jak twierdził, znał świetnie tutejszą kulturę. Nie uchroniło go to jednak od wdepnięcia w poważne gówno. Miał problemy z kasą, gdy jego tajscy znajomi zaproponowali mu szybki, dobrze płatny interes. Miał pojechać do pewnej małej miejscowości na północy Tajlandii, wziąć przesyłkę, która zawierała około tysiąca tabletek ya-ba, i wrócić do Bangkoku. Nie chciało mu się jechać samemu. Namówił więc żonę, Mię, na jednodniową wycieczkę, oczywiście nie wspominając jej słowem o swoim planie. Po ponad godzinie jazdy autobusem dotarli do Pak Chong. Z małego dworca pojechali do pobliskiego parku Khao Yai. Podziwiali wodospady z przejrzystą lazurową wodą, zafundowali sobie podróż na słoniach, a na koniec zwiedzili jaskinie nietoperzy. Zachód słońca, na którego tle oglądali tysiące wylatujących z jaskiń nietoperzy, tworzących powietrzne serpentyny, zakończył ich wycieczkę. Wieczorem w małym guesthousie, gdzie się zatrzymali, Chris odebrał w tajemnicy przed Mią małą przesyłkę. Rano złapali powrotny autobus do Bangkoku. Północny terminal autobusowy, gdzie dojechali, miejsce – trzeba przyznać – dość obskurne, mieścił się przy Kamphaeng Phet, niedaleko bazaru Chatuchak. To tam ja sam zostałem aresztowany. Gdy autobus się zatrzymał, do środka wpadli ubrani w czarne kamizelki policjanci z jednostki narkotykowej. Doskoczyli prosto do Chrisa i Mii, wyciągnęli ich oboje na zewnątrz i zaprowadzili prosto do furgonetki. Chris, sparaliżowany całym zdarzeniem, przeczuwał, o co chodzi. Nie był jednak w stanie nic zrobić. Towar znajdował się w podróźnej torbie, będącej już w rękach policji. Mia, totalnie zszokowana, protestowała, krzyczała, pytała, o co chodzi. Policjanci uśmiechali się tylko szyderczo. Na posterunku otworzono bagaż, wyciągając sporą paczkę tabletek ya-ba. Zalane łzami oczy Mii poznały okrutną prawdę. Skazano ich oboje na 50 lat. Z takim wyrokiem Chris miał szansę na przeniesienie do Francji. Mogło to zająć nawet do ośmiu lat, ale zawsze była to jakaś alternatywa. We Francji spędziłby w więzieniu maksymalnie kolejny rok i zostałby warunkowo zwolniony. Mię czekało spędzenie reszty życia w więzieniu.

Usłyszałem tę historię, gdy poznałem Chrisa. Z czasem zauważyłem też, że los Mii w ogóle go nie interesuje. Zupełnie nie czuł się winny, że tak ją urządził. Interesował go tylko jego własny tyłek i to, kiedy uda mu się wrócić do Francji.

– Hey, Michael, Polki są bardzo piękne, byłem kiedyś z jedną... Może byś mi znalazł jakąś, jak już wrócę? – zagadywał mnie czasem, gdy jeszcze porozumiewaliśmy się werbalnie.

– Twoje niedoczekanie, dupku – odpowiadałem mu w myślach.

Byliśmy ludzkim mrowiem, które warczało na siebie i odgryzało się przy każdej możliwej okazji. Wodząc wzrokiem po zadymionym, wypełnionym chmarą ludzi Chinatown, nietrudno było zauważyć Boba. Duży, z poważną nadwagą Australijczyk siedział zawsze wysoko na lockerach i wykrzykiwał coś donośnym głosem. Najczęściej pieprzył od rzeczy, ale staremu heroiniście, nie zależało chyba specjalnie na sensie tego, co mówi. Tylko kilka razy udało mi się z nim porozmawiać na poważnie. Tak dowiedziałem się, jak tu trafił.

Bob znał Bangkok jak własną kieszeń. A już szczególnie te części, gdzie można znaleźć kluby go-go, hazard i narkotyki. Lubił takie życie i tkwił w tym bagnie od początku lat 80.

Poruszał się po nim jak szczur po swoim śmietniku. Zgubiła go dopiero znajomość ze swoim rodakiem. Zaskoczyła mnie zbieżność imion – facet miał na imię Jeff. Identycznie nazywał się agent DEA, dla którego pracowała Pim. On też był Australijczykiem.

– Jeffów w Australii nie brakuje, Michael, ale może to faktycznie ten sam, bo w Tajlandii pracuje tylko kilkunastu australijskich agentów DEA – wyjaśniał Bob.

– To ten twój też pracował dla DEA? – zapytałem zdziwiony.

– Tak, tylko że ja dobrze o tym wiedziałem, Michael – zaśmiał się z sarkazmem i kontynuował opowieść.

Pijali w tych samych nocnych barach, zadawali się z tymi samymi dziewczynami, nawet mieszkali niedaleko siebie. Z tą różnicą, że Jeff miał duże kondominium z basenem, a Bob małą norę przy zatłoczonej Sukhumvit Rd. To jednak mogło się zmienić. Dobry kumpel Jeff miał pewien plan, na którym Bob mógł dobrze zarobić, wreszcie odbijając się od dna.

Sprawa dotyczyła heroiny. Bob lubił dragi i miał wiele kontaktów w tym świecie. Zarówno w Bangkoku, jak i w Sydney. Często myślał o przemyśle heroiny, a teraz od swojego kumpla usłyszał całkiem sensowną propozycję. Jeff był panem sytuacji. Wiedział o wszystkich przygotowywanych operacjach DEA. Wiedział też dokładnie, kiedy będą z pomocą służb celnych zgarniać kogoś z lotniska. Bob dostawał dokładny numer lotu, podczas którego policja miała znaleźć narkotyki. Pozostawało mu zarezerwować bilet i dobrze się przygotować. Wchodząc do samolotu na Don Muang Airport, obserwował, jak uzbrojeni po zęby tajscy policjanci narkotykowi wyciągali z maszyny przerażonych białasów obu płci, zabierając ich wraz z bagażem. Samolot odlatywał bez nieszczęśliwych, ale – z Bobem. Po dziewięciu godzinach lotu lądował, prawie dotykając wody, na Kingsford Smith, położonym nad Zatoką Botany lotnisku w Sydney. Australijskie służby narkotykowe nie interesowały się jego numerem lotu, dostawały bowiem wiadomość o tajskim sukcesie.

To był jego szósty raz, oczywiście na ciągle zmienianych paszportach i w kilkumiesięcznych odstępach. Wspólnicy nie mogli się już spotykać jak dawniej, włócząc się po klubach. Bob oddawał Jeffowi połowę zysku, a ten miał dbać o przygotowanie kolejnej akcji. Tym razem Bob stał na Don Muang, czekając na swój BA 378 odlatujący do Sydney. Za chwilę mieli otworzyć bramkę, gdy w terminalu pojawiła się czarna żandarmeria. Widok, do którego Bob był już przyzwyczajony. Pot oblał jego czoło dopiero, gdy podeszli prosto do niego! W pierwszej chwili chciał im powiedzieć, że to pomyłka, że szukają kogoś innego. Zdołał jedynie wyszeptać: „Shit!”. – Nie jestem pewien, z jakiego powodu ten skurwiol mnie sprzedał. Nie wiem też, czy to ten sam Jeff, z którym ty miałeś do czynienia – tymi słowami zakończył swoje opowiadanie.

Kilka miesięcy później poszło między nami „na noże” i już więcej ze sobą nie rozmawialiśmy. Poza tym do sprawy Jeffa, tak samo jak Pim, nie było sensu wracać. Oboje żyli sobie gdzieś tam, w świecie za murem, i robili w bambuko kolejnych naiwniaków, dobrze wiedząc, że nic im nie grozi od ludzi, których wsadzają za kraty.

Jeszcze w Bambat poznałem jednego Włocha o imieniu Massimo. Umarł na moich

oczach. Miał jakiś problem z sercem i nie zdążył zwrócić się o pomoc do swojej ambasady. Jedyną pomoc, jaką uzyskał w tamtejszym „szpitalu”, to przeniesienie to klatki zwanej umieralnią, gdzie sam rezydowałem. Opowiadał mi, jak został aresztowany na lotnisku, właśnie podczas próby wywiezienia do Australii heroiny. Miał ją w swoim układzie pokarmowym. Mówił o Australijczyku, który go zatrudnił do tej akcji, wymienił też jego imię, które brzmiało: Jeff. Wszystko to składało się do kupy, jak jedne wielkie puzzle. Wyobrażałem sobie nawet, że Bob mógł widzieć, jak aresztują Massimo. Wszystko to jednak pozostawało w sferze przypuszczeń i właściwie nie miało żadnego znaczenia.

Czasem „dochoziłem się” też z Roskim. Dotyczyło to jednak bardziej spraw światopoglądowych. Rosjanin miał na imię Renat i oprócz wypranego przez komunizm w mózgu był obdarzony poczciwą, słowiańską duszą. Wysoki, o kozackich rysach twarzy gość, nie siedział tu za narkotyki. Jako jeden z nielicznych trafił do Bang Kwang oskarżony o napad i morderstwo. Jego historia wydawała mi się jeszcze głupsza od mojej. Renat mieszkał w Pattayi, małej miejscowości turystycznej leżącej nad morzem, około 200 km od Bangkoku. Niewielka wioska rybacka zaczęła się rozwijać podczas wojny w Wietnamie, gdy Amerykanie wybudowali obok ogromną bazę i lotnisko wojskowe. Nietrudno się domyślić, co było głównym motorem rozwoju okolicy.

Całe centrum tej przybrzeżnej miejscowości wypełnione jest dyskotekami, klubami go-go i burdelami. Teraz miejsce Amerykanów zajęli głównie Niemcy, Anglicy i właśnie Rosjanie. Gdzieś między nimi kręcił się Renat, gdy wraz z dwoma koleżkami wpadł na pomysł obrobienia miejscowego banku.

Podobno zaplanowali wszystko z dużą dokładnością. Nie wiadomo skąd w dniu napadu w samym środku akcji pojawił się policjant, który dodatkowo okazał się na tyle głupi, by wyciągnąć broń. Funkcjonariusz strzelił pierwszy, raniąc w nogę jednego z Rosjan, Feliksa, którego też miałem okazję poznać. W odpowiedzi na strzały policjanta Renat uniósł swoją czterdziestkę czwórkę i wypalił. Jego strzał okazał się o wiele celniejszy. Facet padł na ziemię. Ekipa nie miała czasu sprawdzać, czy żyje. Zabrali pieniądze i odjechali. Tego samego wieczora pojawili się na przystani, gdzie stały duże komfortowe łodzie motorowe. Po krótkiej rozmowie z właścicielem kupili jedną z nich, płacąc częścią skradzionej gotówki. Panowie wypłynęli na pełne morze. Kierując się na wschód, powinni dość szybko dotrzeć do granicy z Kambodżą, za którą mogliby już czuć się bezpieczni.

– Feliks – spytałem kiedyś drugiego z Rosjan, który był bardziej skłonny do opowiadania tej historii – dlaczego popłynęliście na Ko Samui, zamiast uciekać do znajdującej się o wiele bliżej Kambodży?

– Sam nie wiem. Wiesz, jak jest, nerwy, alkohol... Nikt nie wpadł na taki pomysł...

Po tygodniu zostali złapani przez straż przybrzeżną. Taj sprzedający im łódź zapewne już następnego dnia dowiedział się o napadzie, skojarzył fakty i zgłosił to na policji. W ten sposób było wiadomo, gdzie ich szukać. Wszyscy dostali 33-letnie wyroki. Głównie ze względu na policjanta, który niestety zmarł. Byli to jedni z nielicznych ludzi skazanych za coś innego niż narkotyki, których miałem okazję poznać.

Kolejnym był pochodzący z Izraela Towia. Zabił on swoją żonę, która podobno próbowała go o coś szantażować. Nieumyślnie, w trakcie awantury, musiał trzasnąć ją zbyt mocno. Gdy zorientował się, że nie żyje, wpadł w panikę. Poćwiartował ciało, włożył do walizek i wyrzucił do jednego z mętnych kanałów Bangkoku. W mieście dziesięciu milionów par oczu trudno jest jednak coś ukryć. Po kilku dniach, gdy zgłosił jej zaginięcie, ktoś doniósł o zdarzeniu znad kanału. Znaleziono ciało. Towia trafił do więzienia z 25-letnim wyrokiem. Dla takich jak on co roku organizowano specjalne amnestie skracające karę. Nie obejmowały one jedynie narkotyków. My za nasze pomyłki musieliśmy płacić dożywociem.

Swój czas dzieliłem na listy pisane do Ewy i te czytane od niej. Opisywałem jej wszystko, co się tu działo. Ale przede wszystkim pisałem o moim wewnętrznym świecie, który coraz silniej związany był właśnie z nią. W zamian dostawałem tyle samo, a może nawet więcej:

Cześć, mój ulubiony marudo,

dzisiaj przyszedł twój kolejny list. Na szczęście, bo miałam już dość wyczekiwania na listonosza i ciągłego sprawdzania skrzynki. Te wcześniejsze, o których piszesz, niestety nie dotarły. Pytasz, czy się nie gniewam za nazywanie mnie siostrą. Spoko, rozumiem przyczynę, też tak czuję. Poza tym zawsze chciałam mieć starszego brata :) A jeśli chodzi o twoje angielskie „wrzuty”, to przynoszą mi one ulgę. Ja się tak wyrażam na co dzień. To przez lata studiów na anglistyce i moją pracę. Codziennie mówię i myślę po angielsku, więc język mi się naturalnie przerzuca. Jak widzisz, nie tylko mi to nie przeszkadza, ale przeciwnie – ułatwia sprawę, bo nie muszę się bezustannie kontrolować. Np. moi rodzice tego u mnie nie lubią. Myślą, że to taka poza, choć i tak bardzo się przy nich pilnuję. Tymczasem to opisane naukowo i bardzo częste zjawisko. Nazywa się „language transfer” i jest jedną z niewielu rzeczy, jakie zapamiętałam ze studiów. Fajnie, że mogę się z tobą komunikować w sposób najbardziej dla mnie naturalny.

Ewa

Moje opowieści o tutejszym świecie spowodowały, że w głowie Ewy zrodził się pewien pomysł. Napisała mi o nim w jednym z kolejnych listów:

Właśnie wystartowałam z Fabrycznego. Pisanie do ciebie w pociągu to bardzo dobry sposób na zabicie czasu. Czytanie się nie sprawdza, bo lubię tylko grube książki, a nie chce mi się wozić cegieł. Za gazetami nie przepadam, a w kolorowych pismach są same reklamy, ploty i artykuły o tym, gdzie nacisnąć, żeby zapiszczał(a). Przysłano mi wreszcie książkę Warrena, nowe wydanie (4000 Days). Jest beznadziejnie krótka. Okazało się, że wiele nie pamiętam z tego, co czytałam wtedy na lotnisku. Albo tyle już dowiedziałam się o tym świecie z twoich listów, że większość faktów wydaje mi się znajoma. Teraz muszę napisać do wydawnictwa i złożyć im ofertę. Jeśli miałabym to przetłumaczyć, będziesz mi potrzebny. Będę miała setki pytań :)

Dzisiaj w pociągu duży luz. Jest wręcz sennie. Krawaty już dawno w pracy, a mnie powoli przechodzi poranne rozdrażnienie. Nie obyło się oczywiście bez małej scysji. Jak zwykle bardzo się spieszyłam i nie zdążyłam nawet kupić biletu. Miałam dwie minuty na skorzystanie z bankomatu, gdy podszedł do mnie człowiek z prośbą o kasę. Akurat w samym środku wklepywania kodu. Bankomat na Fabrycznym ma bardzo źle ustawiony ekran. Odbija się w nim światło i nic nie widać, a musiałam zdążyć na ten pociąg. Koleś wybrał wyjątkowo zły moment,

więc usłyszał wiącę bluzg. Teraz trochę mi głupio, ale z drugiej strony powinien pomyśleć, prawda? Nigdy nie byłam damą, ale ten człowiek był w potrzebie, a ja na niego z ryjem... Pomyliłam się przez niego i musiałam zaczynać operację od początku, a czas uciekał, miałam więc prawo się zdenerwować... Poza tym może to zwykły naciągacz. Dobra, pocieszyłam się trochę. Właśnie zobaczyłam przez okno lisa! Jest dużo śniegu, pamiętasz jeszcze, co to takiego śnieg? :) Nie widziałam nigdy lisa w środowisku naturalnym. Chyba tylko rozpostartego na ścianie jednej restauracji w Szczyrku... Ostatnio prześladową mnie zwierzęta...

Wiesz, widziałam wczoraj twojego kolegę Marcela w TV. Brał udział w jakimś dziwnym programie pt. „Hyde Park”. Każdy z uczestników mówi bez przerwy przez dwie minuty na jakiś temat. Nie wiem, czy narzucony, czy dowolnie wybrany. Marcel mówił o ptasiej grypie. Nie powtórzę ci co, bo nie mogłam się na tym skoncentrować. Może dlatego, że zmasakrowała mnie idiotyczna wypowiedź jego poprzednika. Nie wiem również, co ten program ma na celu, ale widzowie piszą jakieś SMS-y. Nie jestem zagorzałym telewidzem. Lata temu przestałam płacić za kablówkę, a telewizora używam głównie do tłumaczenia filmów. Wiesz, do mojej pracy. Tłumacząc je, widzę, co jest na topie i jakie programy są najczęściej oglądane. Mówię ci, straszna szmira! Pewnie na starość będę zgryźliwa i będzie mnie trzeba uspić... :)

Do przedziału wszedł jakiś yuppies, a już było tak słodko. Cały czas klepie koparą przez komórkę. Niby nic, ale bardzo głośno mówi i do tego pieprzy strasznie! Mam chyba namiastkę tego, co ty przeżywasz na co dzień. Koło siedzący naprzeciwko zaczyna jarać. Starszy facet, resztki siwych włosów nad uszami i wylewający się z gaci brzuch, na którym opiera gazetę. Styl à la prezes klubu. W przedziale tak wali petami, że przy gwałtownym hamowaniu zrzygam mu się na kolana. Teraz pociąg zatrzymał się (szkoda, że nie gwałtownie) i gość rozgląda się ze zniecierpliwieniem, cmokając... Robię się coraz bardziej antyspołeczna. Zero tolerancji. Typically Polish. O, dzwoni jego komórka, czyli jest już dwóch nadających! Krzyczy na cały regulator: „Tak, panie Leszku! Będę za dwie godziny na Krakowskim Przedmieściu”. Cały wagon zna już jego plany na dziś. Wyciągnął kolejnego peta. Gadanie, jaramie i tak bez przerwy. Teraz dzwoni do laski. „Wyspałaś się? Miau”. Czyta kobiecie kawalek z gazety. Żenada! A teraz rozmawia z kolegą. (Minęły dwie minuty). Mówi: „Nie wiem, czy to będzie drużyna blondynów, czy brunetów na śniegu”. Absurd jakiś. On chyba faktycznie jest prezesem klubu! Pytanie – jakiego? Chyba takiego, do którego wejście jest tylko od tyłu. To okropne, że tak się czepiam wszystkiego. Nie lubię tego u siebie, ale zawsze rano jestem nieznośna. Zrędliva małpa:). Po prostu rano wstępuje we mnie potwór. Wieczorem jestem najsłodsza istotą pod Księżycem, ale teraz mam ochotę szarpać żywe mięso...

Ewa

Uwielbiałem te opisy jej świata i stanów. Ewa miała chłopaka, o czym powiedziała mi dopiero później. Oczywiście było to bez znaczenia, z wielu względów, ale przede wszystkim dlatego, że byliśmy przecież tylko listowymi przyjaciółmi. Z jej opowieści wynikało jednak, że nie dzieje się w ich związku najlepiej. A to pozwalało mi czasem popuścić wodze fantazji.

W Polsce powoli budziła się wiosna, o czym dowiadywałem się głównie z listów od Ewy. Pisała też o swoich planach, które wzbudzały we mnie dużo emocji:

Michał,

po twoim ostatnim liście czuję się, jakbym miała zderzenie z czołgiem. Archiwum X to prochy nasenne dla paralityków w stosunku do tego, co piszesz. Mówiłam ci, że może przylecę w lipcu do Tajlandii. Dopóki nie będę trzymać biletu w ręce, nie mogę być pewna. Jeśli jednak wolałbyś, żebym nie przychodziła do ciebie, to powiedz. :(Zrozumiem, jak zwykle. Czy ciebie to nie irytuje, że ja ciągle rozumiem? :) Przecież to niemożliwe. Zrzygać się od tego można...

Zresztą i tak cię pewnie nie posłucham. Gdybym już tam była, nie wyobrażam sobie nie zobaczyć się z tobą. Tak czy inaczej twoje zdanie w tej kwestii (tak samo jak w innych) jest bardzo ważne.

Ewa

Wreszcie któregoś lipcowego dnia wezwano mnie na wizytę. Pomieszczenie dla odwiedzających wydało mi się niezwykle długie i pełne ludzi. Poznałem ją natychmiast, była jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach, które od niej dostałem. Mieliśmy pół godziny na rozmowę, która mogłaby trwać wieki. Przez kraty oddzielające nas na około półmetry dystans powiedziałem jej w końcu o tym, co czuję. By określić ten stan, wystarczyły dwa bardzo banalne słowa.

Dzięki pomocy ambasady Ewie udało się załatwić cały tydzień wizyt. Co dzień rano wstawiała i, zostawiwszy swoich znajomych i chłopaka na Khao San, gdzie mieli miejscówkę, wsiadała w kursującą po rzece Chao Phraya barkę i płynęła do dzielnicy Nonthaburi, gdzie mieściło się więzienie. Tam musiała odstać swoje przed bramą, by później użerać się ze strażnikami i wreszcie na koniec móc porozmawiać ze mną niecałe pół godziny przez kraty. Nie była to najlepsza forma spędzania wakacji. Tym bardziej byłem jej wdzięczny. Jej chłopak, z którym przyjechała do Tajlandii, okazał się również świetnym kolesiem. Ewa nie ukrywała przed nim niczego, a przynajmniej naszej przyjaźni. Raz przyszedł nawet wraz z nią i mogliśmy przez chwilę porozmawiać. Było mi cholernie głupio. Starłem się nawet przeprosić go za to, że tak bezczelnie podbieram mu dziewczynę, ale uciął temat gestem zrozumienia. Na koniec udało się załatwić contact visit. Takie krótkie spotkanie należało się nielicznym i nie częściej niż raz na rok. Między nami nie było krat. To było ostatnie widzenie przed jej wyjazdem na wyspy i później z powrotem do Polski. Nie mówiliśmy wiele. Byliśmy zbyt zajęci dotykaniami się i pocałunkami. Po kilkunastu minutach rozdzielono nas. Ewę wyprowadzili strażnicy, a ja trafiłem do swojego bloku. Kilka tygodni chodziłem, jakbym dostał porządny młotem po łbie. Później zaczęły przychodzić kolejne listy:

Kochany,

zastanawiałam się kiedyś, ile czasu upłynie, zanim w ten sposób zacznę listy do ciebie. Do tej pory pisałam „Michał”, ale to przecież synonim :) Dla mnie znaczy wszystko... Jestem na Ko Pha Ngan. Wylądowaliśmy na jakimś fajnym zadupiu i wegetujemy. Ja prócz tego jeszcze tęsknię za tobą cholernie i myślę o tobie cały czas. Mówię do ciebie, niekiedy na głos, siedząc gdzieś pod palmą, jak obłąkana :) ...

Ewa

XXVIII

Zamach stanu

19 września 2549 roku zaczął się jak co dzień. Brzęczący dźwięk zakomunikował pobudkę. Ludzie jak zwykle zaczęli zwiajać swoje manele w oczekiwaniu na otwarcie stalowych drzwi. Mijały kolejne minuty, a w holu nadal nic nie było słyhać. Na początku nikogo to nie dziwiło. Czasem strażnicy miewali nawet ponadgodzinny poślizg. Tego dnia ów „poślizg” okazał się jednak niezwykle długi. Kłatkę wypełniało coraz więcej nigeryjskich przekleństw.

– Do kurwy nędzy, otwierać drzwi!

Na taki stan rzeczy nikt nie był przygotowany. Nawet umieszczony w rogu mały, zasłonięty plastikową ceratą kibel nie wystarczał na tak dużą liczbę ludzi. Minęło już kilka godzin, gdy rozległy się strzały. Musiały paść gdzieś blisko, choćby w bloku obok. Na chwilę zapadła cisza, a po niej zawrzało jeszcze bardziej.

– Co się tam dzieje?! Strażnik!... Otwierać! – przekrzykiwali się nawzajem moi współlokatorzy.

Po 12 w południe nadal nie było widać śladu strażników. Ktoś zaczął mówić o zamachu stanu. Tony wyciągnął małe radio. Manewrował długo pokręteł, by wreszcie zastygnać w bezruchu. W skupieniu nasłuchiwał dźwięków wydobywających się z małych słuchawek. Wreszcie odchylił się trochę do tyłu, a z jego ust wydobył się tubalny okrzyk:

– Słuchajcie, kopnęli w dupę Thaskina. Armia jest na ulicach.

Kakofonia różnych dźwięków na nowo wypełniła kłatkę.

– Alagi (nigeryjska ksywka Tony’ego), weź no im lepiej powiedz, żeby nas stąd wreszcie wypuścili – skomentował wkurzony Juma.

– Podobno w piątce był mały bunt. Strażnicy strzelali w powietrze. Boją się nas wypuścić – krzyczał Josh, nasłuchujący ludzi z innych klatek.

– A niech mnie w bafana ugryzą, pierdolone żółtki – rzucił wkurzony Owo.

Wreszcie późnym popołudniem pojawili się strażnicy. Wypuszczono jednak tylko funkcyjnych. Historia z zamachem stanu była już pewna. Teraz, gdy za murami dokonywały się jakieś zmiany polityczne, nieobliczalna masa w jednej chwili mogła przejąć kontrolę nad więzieniem. Moi czarni kumple ciskali przekleństwa na każdą stronę. Po południu funkcyjni przynieśli więzienne jedzenie i wydawali je przez kraty.

Wkurzony Tony złapał jednego z nich. Czarna dłoń zawinęła się na gardle Azjaty. Kilku innych funkcyjnych podbiegło natychmiast. Podniósł się wyjątkowy jazgot. Sfora wręcz szczeakała, waląc w potężną dłoń Tony’ego.

– Powiedzcie Le Mungowi, żeby tu przyszedł – wycodził przez zęby po tajsku.

Rozwścieczeni funkcyjni odszczekiwali coś jeszcze, wymachując wszystkimi członkami. Wreszcie znikli z pola naszego widzenia.

Po jakimś czasie pojawił się Le Mung. Stał po drugiej stronie, przyglądając się nam w milczeniu. Chodząca za nim zła sława skurczysyna zdecydowanie powstrzymywała Nigeryjczyków przed kolejnymi głośnymi aktami niezadowolenia. Nikt nie kwapił się, by zadrzeć z zastępcą komendanta. Stojący tuż obok kraty Tony rozpoczął swoją kwestię. Wykładał wszystko powoli, bez emocji, jak wymagała tajska etykieta. Suchy, stonowany głos strażnika odpowiadał obco brzmiącymi wersami. Moje uszy wyłapały tylko jedno, dobrze znane zdanie: „cza jen jen!”. Ironia losu – zwrot oznaczający spokój w dosłownym tłumaczeniu znaczył: „być chłodno chłodno”. W klatce, gdzie panował nieznośny ukrop, rada strażnika mogła doprowadzić do szewskiej pasji.

– Wsadź sobie w dupę swoje „cza jen jen” – skomentował cicho siedzący obok Samuel. – Żółtek pójdzie do swojej klimatyzowanej norki, a my mamy sterczeć w tym ukropie. Świetnie!

Te ciche słowa były jak iskierka podpalająca lont dużej bomby. Ktoś rzucił wypełnioną ryżem miską. Aluminiowe naczynie odbiło się od stalowych prętów, rozbryzgując wszędzie białe ziarna. Za nim poleciało kolejne i jeszcze jedno. A potem seria wyzwisk pod adresem strażnika. Le Mung cofnął się natychmiast, by po chwili zniknąć w długim korytarzu. Małą salkę wypełniły tryumfalne okrzyki. Nigeryjczycy zapomnieli nawet o prowadzonym wspólnie ze strażnikiem heroinowym interesie. W powietrzu czuć było napięcie. Chwilę później również zapach dymu. W holu zaczęły lądować kawałki płonącego materiału.

– Trafiłem kiedyś do więzienia w Cape Town – głos siedzącego obok i krzyczącego mi do ucha Samuela ledwo dał się słyszeć. – To takie miejsce, gdzie, będąc białym, właściwie nie masz szans na przeżycie. Widziałem, jak wykończyli tam kilku takich jak ty. Sam ledwo się wykaraskałem, trzymając z kim trzeba. Pewnego dnia więźniowie rozpoczęli bunt. Wiesz, co zrobili z kilkoma mało popularnymi strażnikami?

– Co?

– Kazali im jeść gówno, a później kilku pobili na śmierć.

– He, he, chciałbym zobaczyć Le Munga wpięprzającego odchody z jednej z tych aluminiowych misek...

Wypuszczono nas dopiero dwa dni później. Le Mung nie wyciągnął żadnych konsekwencji z zaistniałego incydentu. Widocznie za bardzo ceniał sobie prowadzony z Nigeryjczykami interes.

Zamach stanu okazał się bezkrwawy, choć chodziły plotki o kilku trupach w bloku piątym. Były premier, oskarżony o poważne machlojki finansowe, uciekł za granicę, władzę przejęła armia. Wśród białych najwięcej do powiedzenia na ten temat miał jak zwykle Adrian.

Wysoki blondyn był już po pięćdziesiątce. Urodził się w Holandii, a dorastał w Kanadzie. Podwójne obywatelstwo owocowało wizytami obydwoh ambasad. Aresztowano go, podobnie jak mnie, za ecstasy. Z jedną małą różnicą, Adrian naprawdę zarabiał na tym kupę forsy. Od wielu lat siedział w tym biznesie. Zajmował się produkcją i przemysłem, jak twierdził, na sporą skalę. Jego kontakty sięgały do takich ludzi jak Howard Marks^[14]. W latach osiemdziesiątych pracował dla Mr. Nice'a, przemycając do Stanów spore ilości haszyszu.

– Teraz będzie lepiej, zobaczycie. Rozmawiałem z ambasadą. Rządy armii to szansa na jakąś amnestię dla narkotyków – mówił swym donośnym głosem.

Po kilku miesiącach jego słowa okazały się wręcz prorocze. 5 grudnia 2549 roku, w dniu królewskich urodzin, ogłoszono jak co roku amnestię. Normalnie mogli na nią liczyć wszyscy prócz ludzi skazanych za narkotyki. Tym razem stał się oczekiwany cud. Amnestia dotyczyła również nas. Choć nadal można było zauważyć silną dyskryminację – mordercy dostali zmniejszenie wyroku o 1/5, skazani za narkotyki o 1/8. Takie obniżenie kary dla, przykładowo, 50-letniego wyroku nie było żadną rewelacją. Przyniosło to jednak dużo nadziei na przyszłość. Sam nie mogłem liczyć na łaskę tutejszego rządu, dopóki moja sprawa nie była zakończona.

Przyszedł kolejny list od Ewy:

Kochany,

zaczęłam pisać ten list jeszcze na Khao San przy obiedzie, ale teraz przepisuję bo zeszyt, który ciągle noszę ze sobą, jest w oplakanyh stanie. Nie chcę, żebyś przestał lubić moje listy. Zwłaszcza że, jak sam przyznajesz, jesteś wzrokowcem i kobieta musi się dla ciebie dobrze prezentować. A list zastępuje nam niemal wszystko! Dobrze, że mnie teraz nie widzisz. Mam twarz i dekolt wysmarowany zieloną breją z glonów i rybiego kolagenu, czymkolwiek on jest :) Wyglądam potwornie. Jak już będziemy razem, będę robić takie rzeczy, jak wyjdiesz „po gazetę”. Zresztą nieważne, nie o tym chciałam... Po naszej ostatniej wizycie poznałam dziewczynę o imieniu Nina. Ona odwiedza tam swojego chłopaka. Niemca o imieniu Gordon. Może go poznales? Wspominała też, że odwiedza parę innych osób. Mogłaby cię czasem wezwać na wizytę. Zna dobrze strażników i jest Tajką, więc powinno jej się udać. Napisz, jak cię odwiedzi.

Ewa

Znałem Gordona i jego dość dziwną historię. Wysoki blondyn o klasycznej nordyckiej urodzie został skazany za morderstwo, którego – jak twierdził – nigdy nie popełnił.

– To stało się w moim kondominium w Chiang Mai. Przyjechał do mnie kumpel Szwajcar. Spędziliśmy wieczór razem, trochę pijąc. Później ugościłem go na kanapie w salonie, a sam poszedłem spać na górę. Rano zszedłem na dół i zbladłem z przerażenia. Pokój był cały zdemolowany, a mój kumpel leżał zakrwawiony. Sprawdziłem tętno. Brak. Zadzwoziłem natychmiast na policję. Tego samego dnia zostałem aresztowany i oskarżony o morderstwo – opowiedział mi kiedyś, gdy mieliśmy okazję się spotkać w holu, czekając na wizytę.

Gordon został skazany na 15 lat. Ja swój ostatni wyrok usłyszałem w pierwszych dniach

maja. Śmieszny człowieczek, którego zadaniem było tłumaczenie tępych, obcojęzycznym przestępcom, co postanowiła tutejsza sprawiedliwość, wolno sylabizował identyczną formułę, jaką słyszałem od jego ślicznej poprzedniczki:

– Jesteś bardzo niebezpiecznym przestępcą i dużym zagrożeniem dla społeczeństwa Tajlandii i całego globu. Twoja prośba o złagodzenie wyroku zostaje odrzucona! – takim uzasadnieniem zakończono mój kilkuletni proces. Mocą tutejszego sądu zostałem nieodwołalnie skazany na karę dożywotniego więzienia, które według tutejszego prawa oznaczało 100 lat.

^[14] Howard Marks – pisarz, były nauczyciel i przemytnik narkotyków. Wsławił się przemytem haszyszu na międzynarodową skalę. U szczytu swojej kariery kontrolował podobno 10% jego światowego handlu. Po wyjściu z więzienia w 1996 roku opublikował bestsellerową autobiografię *Mr Nice*.

XXIX

Darma

– Naprawdę bardzo nam przykro – mówił stojący po drugiej stronie kraty człowiek.

Był to nowo przybyły na placówkę attaché. Wydeptałem już sporo betonu, czekając na tę wizytę, i pewnie bym się nie doczekał, gdyby nie odwiedziła koleżanki Ewy, wspomnianej w liście Niny. Poprosiłem ją o kontakt z Ewą, która wykonała telefon do mojej siostry, a ta z kolei do mamy. Tak oto, obiegając połowę świata, wiadomość ode mnie wreszcie dotarła do ambasady. Mama musiała mieć dużo szczęścia i czatować całą noc, by z USA dodzwonić się na prawie nigdy nieodbierany telefon polskiej ambasady w Bangkoku. Tym razem się udało. Attaché obiecał zająć się moją sprawą.

Po ostatnim wyroku „depresja” była zbyt słabym słowem na określenie stanu mojego umysłu. To, co stało się w sądzie, przekreśliło moje ostatnie nadzieje. Gdyby wyrok został złagodzony choćby do pięćdziesiątki, za kilka lat mógłbym zacząć starania o transfer. Jeśli tajskie władze by się zgodziły, resztę kary odbyłbym w Polsce. To właśnie udało się Pawłowi i Tomkowi. Niestety nie miałem tyle szczęścia co dwaj rodacy. Przez pryzmat mojego wyroku ciężko było dojrzeć koniec życia wśród szarych murów! Czy polska ambasada mogła to zmienić? Było to pytanie, które nie przestawało mnie nurtować.

Dla tutejszego systemu byłem jedynie drobiną piasku pod ogromnym walcem budującym drogę do świetlanej przyszłości tajskiego narodu. Takie były realia! Przypominano mi to co dzień rano, zaraz po hymnie. Mimo iż większość przebywających tu ludzi nigdy już nie miała mieć szansy na powrót do świata za murami, nie przestawano ich indoktrynować. Staliśmy w długich szeregach, słuchając idioty ubranego w mundur khaki. W jednej ręce trzymał mikrofon, a w drugiej kartkę, z której odczytywał kolejne beznadziejne przemówienie. Tematem przewodnim tego tekstu były oczywiście narkotyki. Nazywał nas mordercami milionów, pomijając zupełnie fakt, że sam z pomocą swych „kapo” siedział po uszy w tym interesie. Hipokryzja strażników była wręcz bezczelna. Nie było jednak nikogo, kto odważyłby się im to

jawnie zarzucić.

– A co im można zrobić? Oni są tu panami sytuacji. Jesteśmy w więzieniu! – taka opinia panowała wśród skazanych.

Sam też nie byłem zainteresowany wychylaniem się. Wołałem myśleć, jak się stąd wydostać. Lepiej być żywym szaraczkiem niż martwym bohaterem!

Załatwiona dzięki pomocy połowy mojej rodziny wizyta ambasady była dla mnie jak wymarzony gwiazdkowy prezent. Bardzo liczyłem na ich konkretną pomoc. Siedziałem na ławce wewnątrz długiego korytarza. Przez brudną pleksi, poszatkowaną stałą, widziałem wysoką sylwetkę mojego rozmówcy. Jak zwykle przy takich okazjach z trudem znajdowałem w głowie wszystkie przygotowane pytania. Tygodniami układałem je w zgrabne, logiczne szeregi, by teraz zupełnie o nich zapomnieć.

– Dziękuję za pana życzliwość – odpowiedziałem na jego powitalne słowa. – Chciałbym się starać o królewską łaskę, to jedyne, co mi w tej sytuacji zostało. Czy mogę liczyć w tym na państwa pomoc?

– Królewską łaskę? Za narkotyki to chyba niemożliwe?

– Słyszałem o kilku osobach, którym się to udało. Jeśli miałbym państwa wsparcie, moje szanse na pewno by wzrosły.

– Wie pan, ja tu nie jestem osobą decyzyjną.

– A może pan przekazać moją prośbę pani konsul?

– Tak, ale nasza placówka nie może podejmować takich decyzji bez zgody MSZ...

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Dyplomaci! – pomyślałem. – Jedyne, czego ich uczą, to jak wymijająco odpowiadać na wszelkie trudne pytania. Najlepiej zrzucając obowiązki na kogoś innego. Nie było sensu na nich liczyć. Miałem pewność, że młody attaché zaraz po opuszczeniu murów tego resortu zapomni o wszystkim, o co go prosiłem. Nie było też sensu wszczynać kolejnego poruszenia wśród znajomych.

Zaraz po aresztowaniu mogłem liczyć na wiele przyjaznych gestów ze strony ludzi, którzy mnie znali. Moi kumple organizowali nawet koncerty, by nagłośnić temat. Później powstała strona internetowa, gdzie kilka tysięcy osób podpisało się pod petycją w mojej sprawie. Czytając o tym wszystkim w listach, często dodawałem sobie otuchy. Niestety, ich działania w Polsce nie przekładały się w żaden sposób na sytuację tutaj. Po kilku latach wszystko ucichło i większość zapomniała o moim istnieniu.

Teraz mogłem liczyć już tylko na najbliższych, a zwłaszcza na nią... Przekonywała mnie o tym każdym kolejnym listem.

Kochany,

dowiedziałam się od Niny, co się stało. Nie myśl proszę o tym. Wiesz, że zrobię wszystko, by ci pomóc. Byś mógł być wreszcie z powrotem. Ze mną! Właśnie kończy się długi samotny weekend... Tęsknię za tobą cholernie każdego dnia, ale tym razem ta tęsknota osiągnęła apogeum. W piątek popłakałam się na ulicy. Nie wiem, jak to się dzieje... Po prostu lzy zaczęły lecieć mi z oczu i nie umiałam ich powstrzymać. Do tego cały tydzień bez listu... Wiem, że piszesz, Kochanie... Muszę już być z tobą! Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej. Nigdy dotąd tego nie czułam. Nigdy nie czułam drugiej osoby tak mocno. Chociaż nie postrzegam cię jako drugą osobę, raczej jako część mnie, która z jakiegoś powodu się oderwała. Mam wrażenie, że zawsze funkcjonowałam z poczuciem tego niedostatku, nie rozumiejąc do końca, czego mi brakuje i gdzie to jest. Teraz już wiem. Czuję ulgę i ból jednocześnie. Ulgę, że jesteś i czujesz podobnie. Ból – bo jesteś tak daleko, nie mogę cię zobaczyć, usłyszeć, dotykać... A przecież muszę! Tak bardzo chciałabym teraz zasnąć przy tobie...

Ewa

Nie do końca rozumiałem, jak to się działo, ale czułem dokładnie to samo co ona. Każdy list był jak narkotyk, którego pragnąłem niemal tak jak jej samej. Każdy pozostawiał też jeszcze większy ból i nie pozwalał mi pogodzić się z obecnym stanem.

Siedziałem właśnie, pisząc do mojego Anioła o kolejnym szalonym pomysle, który zrodził się w mojej głowie. Tym razem nie był to już plan ucieczki. Przez ponad rok cała rodzina, łącznie z Ewą, systematycznie wybijała mi go z głowy. Chodziło o coś zupełnie innego. Wszystkie nadzieje położyłem teraz na jedną szalę: uzyskanie aktu królewskiej łaski! Ambasada nie pałała entuzjazmem do tego pomysłu, o czym jednoznacznie przekonałem się podczas wizyty jej przedstawiciela. Pozostało więc słać listy na własną rękę... ale dokąd? Tam, gdzie tylko się dało! Na przykład do wpływowych polityków.

Mój dobry kumpel Marcel w jednym ze swoich listów wspomniał, że mama jego dziewczyny zna się osobiście z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych. Był to młody polityk o – wydawałoby się – dość liberalnych poglądach. Napisałem do Marcela, prosząc go o adres, ale prosiłem też, by przez swoją dziewczynę spytał go o możliwość pomocy w mojej sprawie. Niestety, na słowo „narkotyki” minister zareagował jak na wirus, przed którym trzeba uciec jak najdalej. Mogłem się tego spodziewać. Oprócz przyjaznych gestów ze strony ludzi, którzy mnie znali, docierały do mnie echa tego, co myślała większość Polaków:

– Bardzo dobrze się stało. U nas też powinni skazywać na śmierć takich jak on!

Mimo takiej reakcji nie mogłem się poddać. Zacząłem wręcz nękać moich bliskich, by zdobywali dla mnie adresy wpływowych polityków i by sami również do nich pisali.

Mijały miesiące, a moje starania toczyły się według scenariusza, jaki wykrakali pesymistycznie nastawieni kumple...

Darma nie wyróżniał się niczym specjalnym spośród setek krzątających się wszędzie Azjatów. Najczęściej trzymał się blisko Nepalczyków. W bloku było ich około pięciu. On sam również pochodził z Nepalu – tam się urodził. Jego rodzice uciekli z Tybetu, gdy w 1950 roku

chińska armia wkroczyła do górzystej krainy, nazywając swą inwazję „wyzwoleniem tybetańskiego ludu”. Postawionym przed takim faktem ludziom pozostało przedarcie się przez wysokie góry, by znaleźć schronienie u zachodnich sąsiadów. Darma urodził się w nepalskiej prowincji Mustang. Ta jedna z największych dolin Himalajów nie oferowała wiele nowo przybyłym uchodźcom.

– Z młodości pamiętam głównie głód – wspominał swoje dzieciństwo. – Później rodzice wysłali mnie do jednego ze znajdujących się w okolicy buddyjskich klasztorów. Prowadzili je zbiegli z Tybetu mnisi. Tam spędziłem większość swojego życia.

Miałem pewne pojęcie o buddyzmie tybetańskim i o tym, jak wygląda życie w tamtejszych klasztorach. Jego opowieści o malowaniu tanek^[15] lub o piaskowych mandalach^[16] ogarniałem bez problemu. Aż któregoś dnia usłyszałem historię, która wyrwała do góry nogami moją zakutą pragmatyzmem, europejską głowę.

Darma opowiedział mi o praktykach tulpy. Ten specyficzny rodzaj medytacji wymagał wielu miesięcy odosobnienia i bardzo głębokiej wiedzy. W jego klasztorze takie praktyki mogli odbywać tylko nieliczni i nawet oni często mieli sporo problemów z tym, co było efektem końcowym tej medytacji. Tulpa polegała na wytworzeniu siłą umysłu dowolnego obiektu lub postaci i zmaterializowaniu go. W normalnych okolicznościach taką historię włożyłbym między bajki o Harrym Potterze. Darma mówił jednak dość rzeczowo o konkretnej praktyce! Praktyce, którą sam miał okazję poznać.

– Opuściłem naszą gompę^[17], udając się do jednej z górskich jaskiń, gdy lama Soam, mój nauczyciel, pozwolił mi na odbycie praktyki tulpa. Miałem sobie wyobrazić małego jaskiniowego ducha. Bardzo istotna była świadomość, by mój myślokształt pozostał silnie związany z jaskinią. Lama udzielił mi wielu instrukcji, których musiałem się bezwzględnie trzymać. Po zakończeniu praktyki miałem opuścić jaskinię sam, pozostawiając ducha wewnątrz. Inaczej stałby się on prześladowcą mnie później marą. Po kilku tygodniach siedzenia wśród skał zaczął mi towarzyszyć emanujący jasnożółtym światłem kształt. Czasem mówiłem do niego, innym razem siedzieliśmy obaj w ciszy. Wreszcie, po ponad miesiącu, duch przemówił do mnie. Od tamtej pory mogłem z nim rozmawiać, tak jak teraz z tobą. Po sześciu miesiącach opuściłem jaskinię, zostawiając w niej mojego towarzysza. Nie było to proste. Silne przywiązanie sprawiło, że nie chciałem, żebym go opuszczał.



– Wymyślał różne powody, bym został w jaskini. Stawał się coraz bardziej niezdolny. Jedynie pamięć o instrukcji danej mi przez mojego nauczyciela dała mi siłę woli, by porzucić grotę... O wiele trudniejszym zadaniem dla umysłu jest oderwanie się od materii niż stworzenie jej – dodał, kończąc swoją opowieść.

Dzięki jego namowom znów zacząłem trochę medytować. Siadywałem obok niego na betonowym placu, pośród kręcących się wszędzie ludzi. Nie zauważyłem, by szum tego mrowiska przeszkadzał mu w praktyce. Sam miałem z tym jednak cholerne problemy. Po kilku dniach moich prób siedzenia na środku placu w pozycji „lotosu”, większość białych znajomych uznała, że to początki szaleństwa.

– Po co ty to robisz? – pytał zdziwiony Wong. – Może załatwi ci jakiegoś ladyboya?

Dla Wonga i wielu innych jedyną formą zapomnienia o gównianej sytuacji, w jakiej wylądowali, był hazard lub cyncacy transwestyci, których tu nie brakowało. Ja byłem jakiś dziwny. Nie interesował mnie football i sztuczne cycki. Przeżywałem mnie „dream walker”. Byłem po uszy zakochany w Ewie. Jeśli nie czekałem na jej listy, siedziałem na środku placu i wyobrażałem sobie, jak to będzie, gdy już się stąd wydostanę.

– Człowieku, zejdz na ziemię. Spędzisz tu co najmniej 15 lat. Myślisz, że ona będzie na ciebie tyle czekać? – słyszałem od kumpli.

Nie chciałem tego wiedzieć. Wolałem sobie wyobrażać moją wolność.

Darma nigdy nie mówił, jak się tu dostał. Dowiedziałem się o tym trochę później od jednego z jego „wspólników”. Złapano ich wszystkich razem w małym hotelu na przedmieściach Bangkoku. Mieszkało tam sporo Nepalczyków. Któregoś dnia miejsce zostało okrażone przez policję. Po przeszukaniu w jednym z pokoiów znaleziono heroinę. Taki dowód pozwolił na aresztowanie wszystkich mieszkańców hotelu z nepalskimi paszportami. Policja domniemywała, że jest to nepalska szajka zajmująca się sprzedażą i przemytem narkotyków. Wśród nich był też Darma.

W styczniu 2550 roku wydarzyła się rzecz, która przyniosła specyficzną zmianę w naszej „lockerowej ferajnie”. Wong, ten, który wydawał się najbardziej pragmatyczny i najbardziej zaradny spośród nas wszystkich, wywinął mistrzowski numer.

Około południa, tuż przed godziną powrotu do klatek, poszedł do tutejszej kantyny. W środku urzędował inny Chińczyk o imieniu Szu. Był on głównym najemcą tego interesu. Pracował dla strażników, ale musiał inwestować swój kapitał w nabywany towar. Wong wszedł do środka, stanął przed Szu i poważnym tonem zażądał:

– Daj mi wszystkie pieniądze!

– Co? – spytał kompletnie zagubiony Szu.

– Dawaj mi kurwa pieniądze! – wykrzyczał Wong.

– O co ci chodzi, człowieku? – Sklepiarz patrzył z niedowierzaniem na swojego rodaka i kumpla.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, Wong chwycił jedną ze stojących na półce butelek z sosem sojowym. Zamaszystym ruchem rozbił ją o kant stojącego na wprost stołu. Małe pomieszczenie zalala brązowa ciecz. W rękach rozszalałego intruza pozostał klasyczny tulipan, który natychmiast znalazł się przy krtani Szu.

– Zabiję cię! Dawaj pieniądze!

Nie trzeba było długo czekać, by dookoła „sklepu” zebrał się tłum gapiów, obserwujących to niecodzienne przedstawienie. Zdarzały się tu różne burdy, ale napadu na „sklep” jeszcze nie było! Przedstawienie zostało przerwane przez kilku uzbrojonych w pałki patczula. Wong, zajęty krzykiem na przerażonego Szu, nawet ich nie zauważył. Pierwszy cios bambusowej pałki trafił go prosto w ramię. Spore ciało Chińczyka odchyliło się do tyłu. Na obracającej się w bok twarzy malowało się zdziwienie. Nim kątem oka zdążył dostrzec, co się dzieje, kolejne uderzenie odbiło jego głowę w drugą stronę jak baseballową piłkę. Poleciała w głąb „sklepu”, ciągnąc za sobą przytwierdzoną do szyi resztę ciała. Wong padł na ziemię, gdzie posypała się na niego seria kolejnych ciosów. Widziałem, jak go wynosili. Trafił do bloku 12 – sekcji szpitalnej. Zmarł kilka dni później. Podobno na skutek urazu głowy.

Sekcja szpitalna nr 12 w Bang Kwang nie różniła się specjalnie od tego, co nazywano szpitalem w Bambat. Rzeczywisty powód śmierci Wonga należało więc pozostawić w sferze domysłów. Przez następne kilka tygodni wszyscy próbowaliśmy dojść przyczyny szalonego

pomysłu naszego kumpla. Okazało się, że był winien sporo kasy innym Chińczykom. Chinatown miało swoje tajemnice, do których my, białasy, nie mieliśmy dostępu. Długi Wonga należały do jednej z nich.

Wong nie „wrzucał” heroiny. Jego słabością był hazard i „dziwki”. Hazard polegał na stawianiu różnych sum na wyniki meczów piłkarskich. Prawie całe Chinatown żyło radiowymi transmisjami footballu. „Dziwki” to oczywiście ladyboye, Chińczycy mieli swoisty burdel. W labiryntach lockerów było miejsce, gdzie cyncaci „transformersi” robili wszystko to, za co im zapłacono. Prócz brudu i smrodu można tam było znaleźć sporo innych bonusów, jak na przykład HIV. Wong zabrnął w to wszystko do tego stopnia, że któregoś dnia obudził się z poważnym długiem u jednego z chińskich bossów. Pomysł napadu na kantinę był jednak czymś naprawdę kretyńskim. Pomijając komiczny aspekt sprawy, wszyscy żalowaliśmy jego tragicznego końca. Tak czy inaczej, los Wonga był przesądzony. Jeśli sprawa by się przeciągała, skończyłby z nożem pod żebrami.

^[15] Tanka – obraz o tematyce religijnej, malowany na tkaninie, przedstawiający postacie czczone w buddyzmie tybetańskim, wieszany nad ołtarzami bóstw w Tybecie, Nepalu, Bhutanie i Sikkimie.

^[16] Mandala – motyw artystyczny wykorzystywany w buddyzmie tantrycznym, gdzie za rodzaj medytacji uważa się jego układanie, a następnie niszczenie.

^[17] Gompa – tybetańska nazwa klasztoru buddyjskiego.

XXX

Rok 2550

Prawie niezauważalnie minęły święta, a po nich sylwester. Oblepioną lepkiem powietrzem monotonię przełamało kilka zorganizowanych imprez. Z okazji świąt Bożego Narodzenia chrześcijanie śpiewali głośniejsz niż zwykle, oblegając niewielką salkę udekorowaną balonikami, wstążeczkami i wszelkiej maści popeliną. Kilka dni później odbyły się sylwestrowe występy. Na środek placu wyskoczyli poprzebierani ladyboye i głośno zawodząc, spełniali swe marzenia o gwiazdorstwie. I tak na tajskim kalendarzu pojawił się nowy, 2550 rok. Nauczony doświadczeniem z poprzednich lat nie liczyłem na nadgorliwość polskiej ambasady i ewentualną wizytę. Patrząc, jak kolejno wzywają Anglików, Australijczyków, Holendrów na świąteczne spotkania z ich rodakami, wciskałem w mały locker segregowane listy od bliskich. W wypełnionej po brzegi szafce było wszystko: szorty, koszulki, plastikowe miski, przybory do mycia... cały mój dobytek. A nawet jeszcze więcej – locker zamieszkiwała spora liczba nieproszonych lokatorów. Szaro-brunatny gość wielkości mojego kciuka poruszał rytmicznie długimi czułkami, wyraźnie zaskoczony otwarciem drzwiczek i moją obecnością. Karaluchy mają tak dobry odbiornik wszelkich wibracji, że potrafią wyczuć każde, nawet bardzo oddalone drganie. To, że gościły w moim lockerze, żywiąc się prowiantem, a nawet korespondencją, było oczywiste. Podobno na każdego karalucha, którego się widzi, przypada kilkadziesiąt innych, którym udało się już schować. Najlepiej można się było o tym przekonać po ilości odchodów,

które zalegały prawie wszędzie.

Robale gromadziły się tam, gdzie było jakiegokolwiek żarcie, choć nie gardziły również celulozą w każdej postaci. Co kilka miesięcy do bloku przynoszono specjalną maszynę – rodzaj małego silnika z rurą wydechową i zakładanym na plecy kanistrem. Urządzenie wydobywało z siebie kłęby spalin zmieszanych z trucizną. Tak wyglądała dezynsekcja. Wszędzie tam, gdzie pojawił się dym, po kilku minutach widać było chodzące jak po pijanemu robaki. Ów środek powodował też totalny ból głowy u ludzi, choć to akurat mało kogo obchodziło. Nie mogli nas przecież wyprowadzić z bloku na czas wykonywania tych spalinowych oprysków. Na szczęście byliśmy odporniejsi od karaluchów. Robaki umierały powoli i jakoś tym razem nie widać było chętnych, którzy chcieliby je pozierać, dodając do swojego menu, jak to się zdarzało w Bambat zaraz po deszczu. Takie akcje dezynsekcyjne przypadały raz na pół roku, powstrzymując inwazję robactwa na zaledwie kilka tygodni. Później wszystko wracało do normy i insekty można było znów spotkać wszędzie.

Najmniej przyjemne były ich nocne eskapady. Często budziły mnie ich chropowate odwłoki, sunące gdzieś po mojej nodze czy twarzy. Któregoś dnia, obudzony przez robaka, stałem się mimowolnym świadkiem samobójstwa. Zobaczyłem ruch w klatce naprzeciwko. Przez rzędy drutów nie było widać zbyt wiele. Na początku myślałem, że jakiś człowiek próbuje wspiąć się do zakratowanej, umieszczonej w górnej części ściany szczeliny. Nagle przechylił się do tyłu i runął w dół. Ciało nie spadło jednak na ziemię. Zawisło w połowie, uświadamiając mi, co się stało. Podniosły się krzyki. Ktoś w klatce się przebudził i już za moment panowało zamieszanie. Facet nie żył. Zostawiono go tak wiszącego do następnego dnia. Dopiero po oględzinach policyjnych i po wizycie koronera zdjęto ciało i wywieziono je z bloku. Zauważyłem wówczas ciekawostkę, na którą nie zwróciłem uwagi, gdy umierali ludzie w Bambat. W miejscu, gdzie ciągle brakowało wszystkiego, a rzeczy spuszczone z oka ginęły z prędkością światła, przedmioty należące do denata nadal zalegały w klatce. Nikt jakoś nie chciał jego koca czy poduszki i nie przypuszczałem, by powodem był strach przed zarażeniem chorobą lub coś podobnego.

W wąskim przejściu obok sali, gdzie gromadzili się chrześcijanie, natknąłem się na Achanga. Urzędował tam w dni powszednie jako nauczyciel, między innymi angielskiego. W ten sposób więzienie realizowało wyjątkowo marny program edukacyjny.

Znałem Achanga już dłuższy czas i teraz, gdy moją głowę frapowało przedziwne porzucenie przedmiotów nieboszczyka, postanowiłem pomęczyć go pytaniami.

Średniej budowy Taj o posiwiałej głowie wiał się najpierw jak piskorz, tłumacząc swą łamaną angielszczyzną z akcentem zjadającym połowę twardych sylab, że bardzo się spieszy. Widząc jednak, że nie odpuszczę, wreszcie dał się namówić na odpowiedź.

– Phi – powiedział. Jednocześnie jego powiększone źrenice rozejrzały się wokół, jakby wypatrując niebezpieczeństwa.

Słowo „phi” było mi już znane. Oznaczało ducha lub duchy.

– Ale co koca i cała reszta majdanu mają wspólnego z phi, Achang? – ciągnąłem dalej.

– Nie wiesz? Duch przywiązuje się do swoich rzeczy! Nikt nie chce posiadać przedmiotu, który może przyciągać ducha – wyjaśnił.

Brzmiało to dość logicznie. Przypomniałem sobie, jak na początku mojego pobytu w Tajlandii zastanawiały mnie domki dla duchów, zwane po tajsku san phra phum. Służyły jako wabiki. Miały przyciągać duchy, by siedziały tam, a nie w domach. Takie budowle królowały na płaskich dachach Bangkoku. Można je było spotkać w każdym miejscu, gdzie mieszkali ludzie. Stały też na ulicach, często obok dużych, przepasanych kolorowymi wstążkami drzew. Wiedziałem, jak bardzo Tajowie są przesądni i jak dużą rolę w ich życiu odgrywa magia. Teraz przekonałem się, jak wiele odmian duchów można znaleźć w tym kraju.

Phi Am wkradał się do ludzkich płuc i wątroby, Phi Lok zamrażał krew w żyłach swym upiornym wyglądem, Phi Peta – głodny duch, o olbrzymim brzuchu i ustach wielkości główki od szpilki, ciągle łaknący jedzenia, pieniędzy, seksu i władzy, Phi Thai Tong Glom – prawdziwie wściekły duch kobiety, która umarła podczas porodu... Była to zaledwie mała część tajskiego panteonu duchów. Ten, którego obawiano się w celi, nazywał się Phi Pawb – duch ludzi, którzy umarli śmiercią samobójczą.

Tego popołudnia Achang opowiedział mi jedną z najbardziej znanych tajskich opowieści z duchem w roli głównej. Jej bohaterem była Nang Nak. Historia ta wydarzyła się w czasach panowania króla Mongkut (Rama IV), niedaleko Bangkoku, przy kanale Phra Khanong.

Żyła tam młoda dziewczyna o imieniu Nang Nak wraz ze swoim ukochanym – Mak.

Byli szczęśliwi. Nang Nak właśnie zaszła w ciążę i wszystko układało się dobrze, aż do dnia, gdy Mak został wezwany, by walczyć w wojnie przeciwko plemieniu Shan. Minęły długie miesiące, nim ciężko ranny Mak, który cudem uniknął śmierci, dostał pozwolenie na powrót do domu. W wiosce przywitały go dziwne spojrzenia sąsiadów, lecz zapomniał o tym szybko, gdy zobaczył swą piękną żonę wraz z dzieckiem.

Znów byli razem! Mak nie wiedział jednak o tym, co wydarzyło się podczas jego nieobecności. Nang Nak i niemowlę zmarli podczas porodu. Jej młody duch nie mógł się jednak pogodzić z utratą ukochanego męża, został więc na ziemi. Mak, nie wiedząc o tym, żył z duchem! Kilkoro jego przyjaciół próbowało mu o tym powiedzieć, lecz zaborcza Nang Nak zabijała wszystkich, którzy stawali się zagrożeniem dla jej związku.

Któregoś dnia Nak przygotowywała dla męża nam phrik (tradycyjne tajskie danie), gdy ze stołu spadła limonka i bez żadnego oporu przeleciała przez jej ciało. Zauważywszy to, Mak z przerażeniem zrozumiał, że jego żona jest duchem. Tej samej nocy uciekł do pobliskiej świątyni. Nak wpadła w szal, niszcząc wszystko, co stało na jej drodze. Mieszkańcy postanowili spalić dom, gdzie mieszkała, lecz to wprawilo ducha w jeszcze większą wściekłość. Wezwano więc jednego z najmądrzejszych i posiadających nadprzyrodzoną siłę mnichów, który mieszkał w Bangkoku. Mnich długo próbował przekonać ducha Nang Nak, by pozwoliła swojemu mężowi zacząć nowe życie. Ostatecznie zarządzono ekshumację jej zwłok. Mnich wyciął fragment przedniej części jej czaszki, co miało zapewnić nie tylko zniszczenie mary, ale również duszy Nang Nak.

– To prawdziwa historia! W Bangkoku możesz znaleźć kapliczki, przy których ludzie składają dary dla Nang Nak – dodał Achang, kończąc swą opowieść. – Jedna z nich jest w Wat Mahabut, niedaleko miejsca, gdzie wszystko się wydarzyło. Inna – na Sukhumvit Rd., pod numerem 77. Jeśli nie wierzysz, to idź i sprawdź. – Po tych słowach roześmiał się głośno. Na jego oliwkowego koloru twarzy pojawiły się podłużne zmarszczki. Starzec był lekko szalony, ale to nie wyróżniało go specjalnie spośród reszty mieszkańców mojego bloku. Dzięki niemu zdałem sobie sprawę, jak bardzo skomplikowane może być życie moich tajskich współtowarzyszy niedoli, gdy w każdym bananowcu widzą Phi Nang Tani. Skrzeczący megafon oznajmił nadejście listów. Było też coś do mnie. Podreptałem do biura, by odebrać list od Ewy.



Cześć, Kochany,

na początek sprzedam ci newsa: twoja córka będzie miała kolejne rodzeństwo :)

Kochanie, dzisiaj przyszedł twój list. Znow na klatce cieszyłam się jak dziecko. Gdybyś mógł widzieć mnie, gdy czytam te słodkie rzeczy, które do mnie piszesz. Ale ty mnie potrafisz zakręcić... Chciałabym przyjechać do ciebie i zostać na dłużej. Rozglądałam się już wstępnie w cenach mieszkań. Znalazłam nawet takie za 4000 bathów. To śmieszna suma w porównaniu z cenami w Polsce. Tylko że to jest akurat położone daleko od Nonthaburi, a wiesz, że ja muszę być blisko ciebie. Szukam też powoli pracy, ale też musi być blisko. Wiesz, muszę znaleźć taką robotę, która zapewni mi stałą pensję, a zarazem nie będzie kolidować z odwiedzinami u ciebie. Naprawdę zajebiście tego chcę! Na razie jest tylko jeden problem. Kasa! Nie idzie mi ostatnio tak, jak chciałam. Nie oddałam jeszcze długu, który zaciągnęłam jakiś czas temu. W tym cholernym kraju państwo myśli tylko, jak cię okraść. Ale będę kombinować. Najwyżej przyjadę dopiero jesienią. Ponoć najlepszy czas na znalezienie dobrej teaching job w Tajowie to październik... Twoja mama przyjeżdża jutro do Polski. Ma do mnie dzwonić. Będę jej przypominać o adresach. Sama wybiera się do MSZ-u. Dzwoni tam ciągle, ale sam wiesz, jak się z nimi rozmawia. Uważaj na siebie, Kochanie...

Ewa

Ewa wspominała już we wcześniejszym liście, że planuje przyjechać i zostać tutaj na dłużej. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Świadomość, że znow ją zobaczę, była cudowna, ale z drugiej strony bałem się trochę o jej bezpieczeństwo w Mieście Aniołów.

W dużej zadaszanej hali, pośród wrzącej ludzkiej masy, siedział Travre, mój afrykański kumpel. Podszedłem do niego.

– Hey, amigo – wykrzyknął na mój widok. Jednocześnie jego duże, lekko przekrwione oczy zwężyły się, by szybkim ruchem zlustrować okolicę.

Siedział, zjadając zdobyczny jackfruit. Te małe, żółte, lekko gumowe, przypominające kształtem słodką paprykę owoce miały jedną wadę: nawet w tym smrodzie wydawały dość charakterystyczny zapach. Travre wyciągnął do mnie torbę z owocami, proponując wspólne jedzenie. Wziąłem kilka. Ich twardy miąższ miał lekko słodki posmak.

– Ona chce tu przyjechać i zostać. – Usiadłem obok niego, a moja twarz zdradzała rozterkę. Travre spojrzał na mnie. Jego oczy pełne były czerwonych żyłek.

– Tęsknię za afrykańskim jedzeniem – powiedział po chwili, całkowicie odchodząc od tematu. Mijały kolejne chwile. Czasu nam nie brakowało. Dookoła, na równej częstotliwości, huczało głośne tajskie życie. – Czym ty się przejmujesz? Biała dziewczyna leci na ciebie, ciągle dostajesz listy, teraz chce przyjechać, a ty marudzisz! Będziesz miał ciągle wizyty. Wiesz, co bym oddał, by mieć taka cizię, która by mnie odwiedzała?!

No tak, nie było sensu dyskutować o tym z kumplami. Wszyscy myśleliśmy zachowawczo, zastanawiając się głównie, jak spowodować, by życie w tym piekle stało się lżejsze.

Następnego dnia, siedząc na kawałku obłupanego betonu, patrzyłem na wypełnione żółtą cieczą koryto – naszą umywalnię. Zaczynał się marzec, czas największych upałów. Lejący się z nieba skwar i plusk wody wywoływały marzenia o zanurzeniu się nawet w tej brudnej sadzawce. Ta opcja nie wchodziła jednak w grę. W budynku panował bezwzględny rygor. Chwila szaleństwa mogła kosztować długie miesiące karceru. Dostęp do wody był ściśle wydzielony na godziny i porcje.

– Gorąco? – usłyszałem czyjś głos.

Był to Don, znajomy Chińczyk bez chińskiego obywatelstwa. Dokładnie rzecz ujmując, nie posiadał on żadnego obywatelstwa! Urodził się gdzieś w Niemczech. W wieku kilku lat został porzucony przez własną matkę, zapewne chińską emigrantkę, w Holandii. Jakimś cudem przygarnęli go inni chińscy emigranci. Nikt jednak nie zadbał o sprawy formalne, do tego stopnia, że Don poza brakiem obywatelstwa nie potrafił nawet podać daty swojego urodzenia. Tak dorósł na przedmieściach Amsterdamu. Do Tajlandii przyciągnęły go pieniądze, które miał dostać za przemycenie pewnej ilości heroiny.

Brak paszportu nie stanowił problemu. Pożyczył go od kumpla, Chińczyka. Niestety, wycieczka skończyła się aresztowaniem i wyrokiem dożywocia. Już na policji okazało się, że mimo pewnych znalezionych przez ambasadę śladów jego pobytu w Holandii, prawnie nie jest on obywatelem tego kraju i nie może liczyć na jakąkolwiek pomoc z ich strony. Został więc więźniem bez narodowości. Nawet jeśli kiedyś by go zwolniono, skończyłby w IDC (Immigration Detention Center), areszcie dla ludzi oczekujących na wydalenie z kraju. W jego wypadku nie było jednak państwa, do którego mógł zostać wydalony, i tu koło się zamykało.

Don nie myślał o tym wiele, zwłaszcza że miał dożywocie i, choć był dość młody, możliwości wydostania się z tego gówna sięgały daleko w przyszłość. Jego życie skoncentrowane było na radzeniu sobie w obecnej sytuacji. Pracował dla chińskich bossów, którzy trzymali w rękach hazard. Znałem go dość dobrze. Często wspominaliśmy razem Amsterdam, moje ulubione miasto. Tym razem Don nie przyszedł jednak na luźną pogawędkę.

– Michael, znasz się dobrze z Pakistańczykami, prawda?

– Znam Saleema, jest moim kumplem – odpowiedziałem po chwili wahania. – Dlaczego pytasz?

– Mamy problem z Pakistańczykami. Zbyt mocno włączają w nasze interesy. Mój szef chciał, żebym przekazał im na razie drobny sygnał, że nam się to nie podoba. Skoro Saleem jest twoim kumplem, przekażesz mu to, co powiedziałem?

Nigdy nie lubiłem wtrącać się w sprawy innych. Tym bardziej w takie sytuacje. Znałem Saleema, który był kimś w rodzaju szefa wśród Pakistańczyków. Starłem się unikać kontaktów z ludźmi skazanymi za morderstwa, ale traf chciał, że niskiego wzrostu, łysiejący Pakistańczyk był jednym z nielicznych wyjątków od tej reguły. Sprawił to jego specyficzny charakter.

Saleem trafił tutaj po spapranej robocie. Nietrudno było się domyślić, na czym mogła

polegać – w końcu był zawodowym mordercą! Jako młody chłopak wylądował w pakistańskiej armii, gdzie dzięki wrodzonym predyspozycjom został saperem. Później służby specjalne odpowiednio go zindoktrynowały.

Po roku 1947, podczas podziału Indii po krwawych masakrach na obydwóch nacjach, o nienawiść nie było trudno. Od tamtej pory oba kraje toczyły wojnę w sposób mniej lub bardziej jawny. Saleem zabijał już w armii walczącej o Kaszmir, zabijał swych niewiernych braci hindusów. Teraz przyszedł czas, by służyć krajowi w mniej oficjalny sposób. Stał się zawodowym mordercą. Miał za sobą wiele akcji przeprowadzonych głównie na terytorium Indii i Nepalu. Pod skrzydłami organizacji współpracującej z pakistańskimi tajnymi służbami (ISI) likwidował ważnych przedstawicieli indyjskiego rządu. Jego ostatnia robota miała miejsce w Bangkoku. Zadanie polegało na wyeliminowaniu pewnego świadka. Saleem nigdy nie wnikał w dokładne przyczyny zlecenia. Od podejmowania decyzji był kto inny. On wykonywał tylko to, co najlepiej umiał. Tym razem nie wszystko powiodło się w stu procentach.

– Wszedłem do hotelowego pokoju, gdzie znajdował się cel – opowiadał mi kiedyś. – Klucz i informacje o człowieku były wcześniej załatwione. Cel miał się pojawić za kilka minut. Stałem w pokoju tuż za ścianą dzielącą go od krótkiego holu. Po chwili otworzyły się drzwi. Facet wszedł do pokoju. Podniosłem mojego 9 mm Maca, czekając aż cel przekroczy próg. Od strzału dzieliły mnie sekundy, gdy usłyszałem kolejny głos dobiegający z korytarza. Była to sprzątaczką lub obsługa hotelowa. Facet wszedł już do środka i, odwracając się, zauważył mnie kątem oka. Odruchowo oddałem strzał, nisko w korpus. Normalnie celuję w głowę, ale w tym wypadku nie miałem pewności. Rozległ się cichy huk, który rzucił ciało na przeciwległą ścianę. Plama czerwonej cieczy zaczęła zalewać białą koszulę ofiary. Spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłem tak dobrze mi znany wyraz zdziwienia. Z korytarza dobiegł mnie krzyk przerażonej sprzątaczką. Był to sygnał do ewakuacji. Wybiegłem z pokoju, wpadając prosto na nią. Nie zostawiać świadków – to podstawowa zasada. Kobieta upadła na podłogę. Przez moment wahałem się, czy użyć mojego Maca. Zbyt miękkie serce zrobiło swoje. Zbiegłem w dół po schodach, by po chwili wylądować na zatłoczonej i gorącej ulicy.

– I jak cię złapali? – spytałem, nie mogąc się powstrzymać, by usłyszeć resztę tej historii.

– Po godzinie byłem w swoim hotelu. Broń trafiła do jednego z brudnych kanałów Bangkoku, a ja obmywałem swoje ciało spirytusem, by pozbyć się ewentualnych śladów krwi. Następnego dnia byłem już w Mae Sot, gdzie miałem przekroczyć granicę Birmy. Wtedy dowiedziałem się, że gość przeżył i jest w szpitalu. Trzeba było dokończyć misję. Niechętnie wróciłem do Bangkoku, gdzieś pod skórą przeczuwając problemy. Po kilku dniach znałem już dokładnie wszystkie zakamarki szpitala, gdzie musiałem skończyć robotę. Bez trudu mogłem się dostać do sali, w której leżał. Akcję zaplanowałem na następny dzień, nie było powodu, by się spieszyć. Tego samego dnia wieczorem do mojego pokoju wtargnęła policja. Nie mieli żadnych dowodów, mimo to aresztowali mnie, zarzucając mi próbę morderstwa. Dopiero w areszcie dowiedziałem się, że za wszystkim stał indyjski wywiad. Pieprzone psy jakimś cudem mnie wywęszyły.

Saleem siedział w więzieniu już prawie osiem lat. Nie przyznał się do winy, a jego proces ciągle się toczył. Dodatkowo władze Indii zażądały jego ekstradycji. Oczywiście ambasada Pakistanu absolutnie się na to nie zgadzała. Pewni bardzo wysoko postawieni ludzie żądali jego

natychmiastowego uwolnienia. I tak wszystko trwało w zawieszeniu. Saleem miał to, czego zażądał, organizacja dbała o niego i o rodzinę, którą pozostawił w domu. Reszta uwięzionych Pakistańczyków traktowała go jak szefa. Dlatego Don, widząc, jak wiele czasu spędzam na rozmowach z pakistańskim bossem, poprosił mnie o tę przysługę.

Poszedłem do niego jak zwykle. Poprawiał mi humor, sypiąc z rękawa różnymi dowcipami. Jego twarz przybierała surowy wyraz jedynie, gdy schodziliśmy na temat Indii lub Afganistanu. Afgańczyków traktował w typowy dla Pakistańczyków sposób – z góry. Dla niego byli to biedni ziomkowie z Północy. Znał jednak dobrze ich mentalność.

– Jak ci trzęsący się ze strachu Amerykanie chcą wygrać wojnę z ludźmi, którzy urodzili się z kałasznikowem pod poduszką? Nie mają nic do stracenia, a wszystko, w co wierzą, to Koran, który za walkę z niewiernymi obiecuje im wieczny raj! Amerykańskie samoloty mogą bombardować górskie wsie, wzbudzając jeszcze więcej nienawiści i nieporozumień, ale nie są w stanie zniszczyć rosnących w siłę partyzantów. A komu mają ufać ludzie w miastach? Przyjeżdżającym w wozach pancernych najeżdżcom, którzy mówią wulgarnym językiem, w którym każde słowo jest jak splunięcie na Koran? Czy tym, którzy znają ich kulturę i język? Amerykanie, wchodząc do Afganistanu, nie wzięli pod uwagę ogromnej przepaści kulturowej, jaka dzieli ich od Afgańczyków...

Saleem potrafił spierać się o takie sprawy godzinami. Tym razem zaskoczyłem go, przekazując wiadomość od Dona.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jestem muzułmaninem tak samo jak moi bracia. My nie zajmujemy się hazardem.

– Ja też nie wiem, Saleem. To nie moja sprawa. Przekazuję tylko to, co powiedzieli mi Chińczycy. Jestem twoim kumplem i nie mam nic do waszych interesów.

– Nie prowadzę żadnych interesów powiązanych z hazardem i narkotykami. Osobiście brzydzę się tymi sprawami. Ale dziękuję ci za tę informację, przyjacielu. Przekaż Chińczykom, że zajmę się sprawą.

Muzułmanie zbierali się codziennie o godzinie 12 w jednej z części bloku, by modlić się i bić pokłony. Tego dnia mimowolnie, domyślając się, o co chodzi, byłem świadkiem, jak Saleem po modlitwie strofował dość ostro kilku innych Pakistańczyków. Zapewne chodziło o sprawę domniemanego hazardu.

Michał, Kochanie,

nic dzisiaj od ciebie nie przyszło. To już drugi tydzień, zaczynam się niepokoić. Może jutro...

Czytam więc tradycyjnie twoje stare listy. Dziś zaplątałam się w tych sprzed dwóch lat. Wiesz, że ja cię już wtedy kochałam... Czasem chciałam ci to dać delikatnie do zrozumienia :) Tak trochę. Żebyś wiedział, że jesteś mi cholernie bliski. Wróciłam dzisiaj z pierwszej pracy, rzuciłam się do wyra i majaczyłam o tobie z twarzą w poduszcze, wyobrażając sobie, że to twoje

ciało. I tak usnęłam. Śniłeś mi się cały czas, a później musiałam iść do kolejnej pracy. Dziś dostałam jeszcze dodatkowe lekcje w innej robocie. Miało być 120 godzin a jest 200. Super! Nie są zajebiste, ale to nieważne. Teraz liczy się kasa. Dzisiaj rano jedna pani, tak po pięćdziesiątce, spytała mnie – „Pani Ewo? A co to znaczy ‘oh’?”. Mówię jej, że to mniej więcej to samo co „ah”, a ona: „Czyli co?”. Miałam ochotę uciec do szafy... Zdanie, które przerabialiśmy, brzmiało: „Oh, sorry, we don't have cokes”.

Szukam właśnie biletów w Internecie. Na razie znalazłam dość tani lot przez Moskwę. Dlaczego nie chcesz, bym leciała tamtędy? Najbardziej chciałabym tak jak dotąd – przez Ukrainę. To wychodzi najfajniej czasowo. Z Warszawy wylot jest rano o 9.30, a w Bangkoku jest się o 4 rano. Nie ma więc zwłoki. Chang Beer na Khao San, prysznic i łódka do Nonthaburi, by cię zobaczyć :) O, teraz znalazłam jeszcze tańsze połączenie przez Istambuł. Wiem, że to jeszcze sporo miesięcy, ale już tak się cieszę na samą myśl, że cię zobaczę... Oczywiście boję się trochę, jak ja sobie tam sama poradzę. Czy będzie mi się chciało pracować w ten ukrop? I co ja będę robiła w weekendy? Spoks, akurat weekendy mam gdzieś. Obawiam się jedynie o pracę. Żeby się nie okazało, że tyra się tam za miskę ryżu :)

Wiesz, widziałam wczoraj w szkole plakat. Schodziłam z trzeciego piętra i nagle zobaczyłam prawie identyczne usta jak twoje. Ugięły mi się kolana. Wczoraj znów cały dzień myślałam o tym, że już niebawem cię zobaczę. Właściwie ciągle o tym myślę i jest to dla mnie jedyna motywacja, by dalej działać.

Twoja mama niewiele załatwiła w MSZ-cie. Nie martw się jednak. Ten pomysł z listami do Wałęsy i Tuska jest super. Będę cię w tym wspierać. Rozmawiałam już z twoją siostrą. Wysłała ci adresy kilku kolejnych kancelarii. Napisz do nich. Ja nie jestem twoją rodziną, rozumiesz. Nikt mnie nie wysłucha. Ale jeśli twoi bliscy będą pisać razem z tobą, to na pewno ktoś się wreszcie odezwie.

U was niedługo Songkran^[18], a tutaj zajaczek:) To chyba oznacza przerwę w komunikacji... Cienko... :(

Kocham cię.

Ewa

Wdzięczność mieszała się z pragnieniem, by być już przy niej. Niestety, powstrzymywały mnie żelazne pręty i druty kolczaste. Tego nie przeszkodzą żadne marzenia. Pozostało mi tylko pisanie. Po fiasku listów do MSZ-u, do ministra spraw zagranicznych i kilku senatorów, zacząłem pukać do kolejnych drzwi. Andrew patrzył na moje poczynania, kiwając głową z wyraźnym pobłażaniem. A potem, gładząc się po długiej siwej brodzie, wracał do kolejnej szachowej rozgrywki. Wiedziałem, że w głębi duszy nie wierzy w jakiegokolwiek szanse moich działań. Nie obchodziło mnie to jednak. Nic mnie nie obchodziło! Wiedziałem tylko, że chcę być już z powrotem, że chcę być z NIĄ.

Kolejny list był adresowany do Jolanty Kwaśniewskiej, byłej Pierwszej Damy Rzeczypospolitej Polskiej. Następnego dnia siedziałem już nad listem do Lecha Wałęsy. Znając jego historię i poglądy, wierzyłem, że zrozumie moją sytuację.

Moja babcia była już dość leciwą kobietą, lecz ciągle bardzo charyzmatyczną. Mimo śmierci dziadka, o której dowiedziałem się w Bambat, ciągle tliła się w niej nadzieja i starała się o niej mi przypominać. Jej listy od ponad roku przychodziły z comiesięczną dokładnością. Miała sporo problemów ze zdrowiem, przez co jej pismo nie należało do najłatwiejszych w odczytywaniu, ale nie o to przecież chodziło. Poprosiłem ją również, by wstawiała się za mną, pisząc listy. Zaproponowałem jej, by pisała do Marii Kaczyńskiej. Jako kombatancka w stopniu pułkownika, która brała udział w powstaniu warszawskim, mogła liczyć choćby na wysłuchanie. Poza tym ciągle pytała, jak może mi pomóc finansowo. Dostawała tylko marną emeryturę, ale zawsze starała się przeznaczyć drobną sumę dla mnie. Problem polegał na tym, że pieniądze przesyłane przez MSZ ciągle gdzieś się gubiły, a moja rodzina nie mogła przekazać mi ich w inny sposób niż przez konto MSZ-u, które dalej przekazywało je do placówki w Bangkoku. W gąszczu ważnych spraw i setek przelewów 50 lub 100 zł, które wysyłała moja droga babcia były najzwyczajniej w świecie niezauważane. Przypominając sobie o tym, jak Nadim przemycił haszysz, postanowiłem zaproponować babci pewien sposób na dostarczenie mi tych sum. – Moja Kochana – pisałem do niej w liście – kup proszę „National Geographic”. Wymień sumę, jaką chcesz mi wysłać, na dolarowy banknot. Następnie włóż go pomiędzy kartki, gdzieś w środku pisma. Sklej delikatnie dwie strony, pomiędzy którymi znajduje się banknot. Włóż pismo do koperty i wyślij jako polecony. O ile możesz i się nie boisz...

Po kilku tygodniach dostałem odpowiedź:

– Kochany Michałku, w czasie wojny przemycalam broń w okupowanej Warszawie, a miałabym się bać wysłać parę dolarów mojemu wnuczkowi? Za parę dni wyślę ci pismo.

Dyrekcja więzienia ciągle próbowała całkowicie ograniczyć możliwość otrzymywania paczek z zewnątrz. Lista przedmiotów, które można było dostać, była bardzo ograniczona. Książki i pisma należały jednak do rzeczy, których dzięki ciągłym protestom obcokrajowców i ich ambasad nie udało się zakazać. Nie minęło więc wiele czasu, gdy dostałem pierwszy magazyn wraz z niezauważalną dla strażników przesyłką. Dolary mogłem tu bez problemu zamienić na bathy. Zaufany strażnik zrobił to dla mnie po kryjomu, oczywiście biorąc dość sporą prowizję. Zawsze było to jednak lepsze rozwiązanie, niż czekać w nieskończoność na przelew z ambasady.

Kochany,

zmarł Kurt Vonnegut. Shit happens – jak to zwykły mawiać. Naukowcy odkryli planetę, która może być zamieszkała. Jej słońce jest dużo mniejsze i słabsze niż nasze. Mam rezerwację na 18 lipca przez Moskwę, ale pani agent będzie jeszcze szukać innych połączeń. Lot przez Turcję nie wypalił. Rezerwując go, nie zauważyłam, że to one way. Teraz wiem, dlaczego był taki tani. Na stronach innych linii lotniczych w default jest zaznaczone round trip, ale Turcja postawiła na oryginalność. Muszę mieć bilet powrotny, na wypadek gdybym nie znalazła pracy. Takie małe koło ratunkowe. Mam nadzieję, że ten październikowy przewrót nie zmienił nic w kwestii zapotrzebowania na farangów w szkołach. Od Niny niczego nie mogę się dowiedzieć. Wiem tylko, że nie może cię już odwiedzać. Jakieś nowe przepisy i utrudnienia ze strony więzienia. Mam nadzieję, że mi nie będą robili przeszkód...

Ewa

Przyjazd Ewy był już prawie faktem. Wraz z jej listem przyszedł drugi, od mojej córeczki:

Kochany Tato,

przepraszam cię, że tak rzadko piszę. Mam ciągle dużo nauki. Jeżdżę też konno. Mój koń ma na imię Max i ostatnio jeżdżę na nim nawet galopem. Mama jest w ciąży. Poza tym nic się nie dzieje. Klócimy się ciągle. Mam jej dość, wcale się nie dziwię, że z nią nie jesteś. Ona ciągle mówi, że jestem taka sama jak ty. A ja jej na to, że bardzo się cieszę, że jestem taka sama jak ty, bo wolę być taka jak ty niż jak ona. No i tak w kółko. Za parę miesięcy przenosimy się do Anglii. Wcale mnie to nie cieszy, wolałabym być z tobą.

Kocham cię.

Wika

Listy Wiki zaczynały być coraz bardziej dojrzałe. Tylko dzięki nim mogłem obserwować, jak dorasta i jak zmieniają się jej problemy.

Ewa przyleciała w połowie lipca. Zatrzymała się na początek na znajdującej się w dzielnicy Banglangpu ulicy Khao San. Wreszcie mogłem ją znów zobaczyć. Teraz musiała znaleźć sobie mieszkanie i pracę. Po tygodniu dostała propozycję zatrudnienia niedaleko Lard Yao. By nie płacić za drogie guesthousy na Khao San, przeniosła się tymczasowo w tamte okolice.

Michał, Kochanie,

spalam do 14.40. Teraz jest około 18 i siedzę na straganie z żarciem. Na razie czuję się jak Marsjanin. Tajskie ludki łypią na mnie, ale większość ma przy tym bardzo miły wyraz twarzy. Jestem chora, leje się ze mnie przy każdym gwałtownym ruchu. Zasnęłam w nowym miejscu gdzieś około 2 w nocy, bo mniej więcej wtedy skończyła się tajska imprezka w mieszkaniu nade mną. Strasznie zawadzili chórem. Tak, wiem, mówiliś, że uwielbiają karaoke.

Cholera. Nie wiem za bardzo, gdzie jestem i jak się tu poruszać. Ale na szczęście wiem, jak dotrzeć do Nonthaburi :) Do ciebie zawsze trafię :) Czuję się dość dziwnie. Wiem, że wszystko wymaga czasu i powoli się przyzwyczaję do życia tutaj. Tyle że w tym miejscu każda ulica jest taka sama i muszę szybko nauczyć się topografii. Poza tym w ogóle nie wiem, co mogłabym tu robić. Nie znam prawie nikogo w tym mieście. Nie chcę zawracać głowy Ninie. W sumie to mam z nią o czym gadać. Wiadomo – 90% to ty i Gordon, ale zahaczamy też o inne historie, nie myśl sobie :) Ona się chyba trochę przejęła tym, że tu jestem. Kilka dni temu, gdy byłam u ciebie, czekała na mnie na przystanku, mimo że się z nią nie umawiałam. Pojechała ze mną na Banglambu i razem przewiozliśmy ten mój duży plecak tutaj. A później pojechałyśmy na Rachada, na zakupy, bym miała czym i na czym do ciebie pisać...

Zjadłam właśnie yum woon sen, bo oprócz hkao man gai to jedyne, co mogę zrozumieć

z tego menu. Reszta jest totalnie po tajsku. Cholera, gdzie ja, Misiu, wylądowałam? Po drodze widziałam tylko jednego faranga. To miejsce jest totalnie inne od wszystkich, które do tej pory widziałam. No tak, ale tamto to było takie show dla farangów. Teraz mam real Thai life :) Bardzo chcę z tobą być. Ciągle wyobrażam sobie, jak to będzie. Jak będzie wyglądał nasz wspólny dom. Jak będziemy spędzać czas.

Ewa

Kilka tygodni później dostaliśmy kolejną szansę na spotkanie w pomieszczeniu, gdzie nie odgradzały nas kraty. W Bang Kwang tylko nieliczni mogli otrzymać takie pozwolenie, ale nie częściej jak raz na rok, poza tym wymagało to dodatkowych dokumentów ze strony ambasady. Ewa biegła między więzieniem a ambasadą, a ja musiałem dodatkowo przekupić odpowiednich strażników, by zechcieli wydać pozwolenie.

Mój Najdroższy,

piszę do ciebie z nowego mieszkania – za 8000 miesięcznie plus 5000 kaucji, ale do zwrotu po czterech tygodniach, a nie jak wszędzie po pół roku. Tylko trzecie piętro, widok żaden. :(Pokój ma wliczony serwis, czyli sprzątanie, zmianę pościeli itp. Wiesz, jeśli się okaże, że w odległej dzielnicy jest fajna praca, to się wyprowadzę. Ale w sumie to podoba mi się ta okolica, no i fajnie się nazywa – Huai Khwang. W tym apartamentowcu jest sporo wolnych mieszkań. Później mogę się przenieść na dziewiąte piętro, z zajebistym widokiem. Ale tam musiałabym wpłacić kaucję za pół roku, więc na razie czekam.

Cudownie było cię wczoraj całować. Chciałabym już spędzać czas tylko z tobą. Niesamowicie jest cię słyszeć z tak bliska i czuć smak twojej skóry. Czy tobie też jest tak dobrze, jak cię dotykam?...

Ewa

Było mi przy niej tak dobrze, że nie byłem w stanie tego opisać w słowach. Świadomość, że jest tak blisko, nie pozwalała mi przestać o tym myśleć. Dalej kryło się tylko przerażenie. Wpatrzony w szare mury zakończone zasiekami, przeganiałem myśli o pozostaniu w tym miejscu. Kilkanaście metrów dalej znajdował się świat, w którym teraz mieszkała. Świat, który był dla mnie nieosiągalny.

Tak minęły kolejne miesiące i przyszedł wrzesień. Z nieba spadało coraz więcej wody. Ewa dostała pracę, ale tylko na kilka godzin dziennie, więc nadal biegła w poszukiwaniu czegoś lepszego. W przerwach zaglądała do ambasady, by poruszać moją sprawę.

Kochany,

cudownie było cię dzisiaj widzieć. Co za niesamowity dzień. Same dobre wiadomości. Kilka godzin po naszym spotkaniu zadzwoniła twoja mama, by mi powiedzieć, że prezydent Lech Wałęsa zgodził się podpisać list do króla. Jest też jakaś informacja z kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale nie wiem, o co chodzi. A teraz dowiedziałam się, że dostałam dodatkową pracę. Dzwoniłam do ambasady. Rozmawiałam z panią konsul. Potwierdziła, że MSZ przychyliła

się do starań o twój pardon. Czekają jednak na pismo prezydenta. Ktoś w MSZ podobno się o to stara. Pani konsul widziała się też podczas pobytu w Polsce z twoim adwokatem – Karolem. Podobno jest już umówiony z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Ma się odezwać, jak uda mu się z nim o tobie porozmawiać.

Ewa

Wpatrywałem się w zapisaną starannym pismem kartkę. To był jeden z najlepszych listów, jakie czytałem od wielu, wielu miesięcy. Już prawie sam przestawałem wierzyć w powodzenie mojego planu, a tu nagle takie bum! Wcześniej żaden minister czy premier nie chciał nawet słyszeć o kimś takim jak ja, a teraz dostaję pomoc od trzech najważniejszych osób w kraju. Oczywiście, na razie były to tylko prognozy. Nie mogłem się jednak oprzeć, by nie powiedzieć o tym moim angielskim kumpłom. Zacząłem ostrożnie, przekazując im tylko to, czego byłem pewien. Opowiedziałem o szansie na podpisanie listu do króla przez prezydenta Lecha Wałęsę. Zresztą oprócz Andrew żaden z nich nie miał pojęcia, kto to jest Wałęsa. Wystarczyło więc powiedzieć, że to były prezydent. Potraktowali moje przechwałki z przymrużeniem oka, traktując moje gadanie jako marzenia nie do spełnienia.

Nie obchodziło mnie to. Nie miałem zamiaru psuć sobie dobrego humoru ich niedowierzającymi spojrzeniami. Zresztą teraz czekała mnie grubsza akcja. Skoro pojawiły się pierwsze jaskółki, musiałem zacząć myśleć nad napisaniem prośby do króla. To specyficzne pismo wymagało specjalnego protokołu, który musiał między innymi zawierać historię mojej winy i powód, dla którego ośmielałem się prosić o łaskę, a w tej materii musiałem się jeszcze wiele nauczyć. Poszedłem porozmawiać o tym z jedną z bardzo doświadczonych osób. Gon Dzaj spędził tu już ponad połowę swojego życia. Kiedyś był bardzo zamożnym przedsiębiorcą, który wplątał się w aferę z szefem tajskiej policji. Chodziło o romans z jego żoną. Mściwy policjant spreparował dowody, które świadczyły o narkotykowych interesach Gon Dzaja. Tak wylądował on w więzieniu. Niestety, jego ogromna fortuna nie pomogła w odzyskaniu wolności.

Starzec na mój widok uśmiechnął się szeroko, ukazując czarne jak smoła zęby. W kącikach jego ust zauważyłem czerwoną ślinę, która, wydostając się dalej, spływała głębokimi bruzdami do brody. Był to efekt zażywania pewnego tradycyjnego zioła o nazwie betel. Jego sproszkowany korzeń lub liście Tajowie żuli lub mieszały z przyprawami, dodając do pokarmu. Substancja ma silne działanie pobudzające, barwi zarazem zęby na kolor czarny, a ślinę na czerwony.

Gon Dzaj mówił trochę po angielsku, podobnie jak ja po tajsku. Nie obyło się więc bez pomocy jednego z moich tajskich kolegów, znającego dość dobrze angielski.

– Jeśli chcesz pisać do króla – tłumaczył słowa starca tajski kumpel o imieniu Czang – musisz ważyć każde słowo. Przede wszystkim nie próbuj opowiadać o swojej niewinności i niesprawiedliwości sądu. Lepiej przyznaj się do winy i powiedz, jak bardzo żałujesz swego czynu. Obiecuj poprawę i błagaj o przebaczenie.

Ta informacja miała mi posłużyć jako wskazówka do przygotowania pisma, które powinno trafić na biurko osoby, która jako jedyna posiadała moc, by uwolnić mnie od wyroków tutejszych sądów. Napisanie całości zajęło mi kilka dni. Czasem musiałem prosić Andrew, by

pomógł mi w użyciu bardziej eleganckich i stosownych do sytuacji słów. Angielski, jakim się posługiwałem, pozostawał raczej na poziomie mowy potocznej. Mój przyjaciel był w tym niezastąpiony. Mimo polskich korzeni był najlepiej wykształconym Anglikiem w całym Bang Kwang. A chodziło przecież o prośbę skierowaną do Ramy IX, inkarnacji boga Wisznu. Oglądając ceremonie z jego udziałem, które non stop leciały w tutejszej telewizji, nietrudno było zauważyć, że właśnie tak go traktują. Podchodzący przed oblicze króla ministrowie, sekretarze, generałowie czołgali się prawie na kolanach, trzymając głowę nisko przy ziemi. W Tajlandii za samo znieważenie króla w jakikolwiek sposób, pismem czy mową, grozi powyżej 15 lat więzienia.

Oczywiście moje pismo nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się to, czy poprą mnie osoby, w które teraz tak bardzo wierzyłem. Informacje z Polski docierały do mnie jak przez gęstą mgłę. Wiedziałem nie od dzisiaj, że w kraju szaleje Giertychowa inkwizycja. Urzędnicy bali się podejmować jakiekolwiek decyzje, a na słowo „narkotyki” wszyscy reagowali jak na dżumę, o czym już nieraz miałem okazję się przekonać. Wstawiennictwo tak znaczących osobistości wydawało się wręcz niemożliwe. Ale okazało się, że jedna z tych osób stanęła ponad tym wszystkim i potrafiła podać swą pomocną dłoń. Pozostawało mi liczyć na więcej takich gestów, by móc choćby marzyć, że moje dokumenty dotrą w ogóle do królewskiego pałacu.

Trzymałem w ręku napisany po angielsku list do króla Tajlandii Bhumibola Adulyadeja, Ramy IX, inkarnacji boga Wisznu. Moje nadzieje znów się rozpaliły i zaczęły płonąć bardzo żywym ogniem. To była moja ostatnia szansa. Teraz pismo trzeba było przetłumaczyć na tajski. Nie chodziło jednak o normalny tajski. Rodzina królewska posługuje się językiem mającym swe korzenie w leżących na północnym wschodzie ruinach starożytnego Angkor Wat, stolicy Imperium Khmerów, które do połowy XIII w. rozciągało się szeroko na półwyspie Azji Południowo-Wschodniej, zajmując również cały obszar obecnej Tajlandii. Później powstało Sukhothai, a następnie Królestwo Syjamu, które w XV w. przyczyniło się do upadku Khmerów. Tajowie przejęli wiele zdobyczy cywilizacji Khmerów, ale ich język nie był powszechnie znany. Tylko parę osób w całym więzieniu potrafiło mówić i pisać w królewskim tajskim. Na szczęście tu z pomocą przyszła koleżanka Ewy. Nina miała za sobą studia dziennikarskie, gdzie nauczone ją posługiwać się również językiem rodziny królewskiej. Dowiadując się od Ewy o moich zmaganiach, zaproponowała pomoc.

Michał, Kochanie,

znowu jestem chora, w nocy miałam chyba zajełście wysoką gorączkę. Było mi strasznie zimno, a później obudziłam się w kałuży potu. Trochę mnie tyra ta praca. Wieczorem padam na pysk i nawet nie mam siły do Ciebie pisać. Rano siedzę z maluchami w czymś w rodzaju przedszkola. Służę tu bardziej jako przytulanka niż nauczycielka. Dopiero te zajęcia po południu są z dorosłymi. To trochę bardziej rozwijająca praca. Choć oni irytują mnie bardziej niż te dzieci...

Kochany, wiem, że to idiotyczne, ale nie wiem, co byś chciał dostać na urodziny. Nie wiem też, kiedy uda mi się przyjść, mam nadzieję, że szybko. Tak bardzo za Tobą tęsknię. To takie dziwne, że jesteś tak blisko i tak daleko jednocześnie. Kiepskie pocieszenie, że lepsze to niż widzenie raz na rok.

Jutro zawożę Ninie list, który mi przysłałeś. Obiecała, że w ciągu tygodnia przetłumaczy twoje pismo. Pani konsul twierdzi, że wystarczy wysłać je po angielsku, ale oczywiście rozumiem, że jesteś lepiej zorientowany. Czekam jeszcze na listy od twojej mamy i Wiki. Twoja mama ma dzisiaj dzwonić do kancelarii Lecha Wałęsy. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Tak się boję, by czegoś nie spieprzyć. Pisz, proszę, o wszystkim dokładnie, nie szkodzi, że się powtarzasz. W ten sposób utrwalają mi się te informacje. Czy normalne są tutaj takie napady grypy?...

Ewa

Ewa przechodziła przez to, co działo się ze mną na początku przyjazdów do Azji Południowo-Wschodniej, a co później powtórzyło się na początku pobytu w więzieniu. Organizm przystosowywał się do nowych warunków, bakterii i wirusów. Sam miałem to już za sobą od wielu lat. Choć ciągle fale różnego rodzaju grypy, od kurzej po świńską, przetaczały się przez więzienie. W tych warunkach nietrudno było o następną epidemię.

John z Feliksem siedzieli na niewysokim murku, przeklinając „na czym świat stoi”. Jeden po angielsku, drugi po rusku. Pełnia sezonu monsunowego sprawiała, że plac znów zamieniał się w spory krong (bajoro). Z nieba co jakiś czas spadały tony wody. Zupełnie jak wylane wiadrem, a nie sączące się z chmur. Przebrnąłem błotnisty odmet, by do nich dołączyć. Feliks przesunął się, bym mógł usiąść z nimi. O tej porze roku o miejscówkę nie było łatwo. Chodzenie po zalanym szambem placu było zajęciem dla prawdziwych survivalowców. Wśród Tajów było ich trochę, ale najbardziej cool byli ludzie Shan. Większość z nich pochodziła z pogranicza Birmy i Laosu.

– Jakaś poczta dzisiaj? – spytał na wstępie John.

– Nie, nie widziałem, by funkcyjny przynosił cokolwiek zza bramy – odpowiedziałem z miną straceńca. Głównym zajęciem Johna było pisanie do znajomych. Dostawał sporo listów od przyjaciół z Anglii czy Australii i starał się utrzymywać jak najwięcej kontaktów.

– Michael, pamiętasz o tych szkicach? Mam nadzieję, że zrobisz coś jeszcze?

– Wiesz, John, że nie jest to łatwa sprawa. Mogę to robić tylko w klatce. I to tylko dlatego, że jestem pewien Nigeryjczyków.

– Moi przyjaciele dostali te dwa ostatnie. Namawiam właśnie Feliksa, by spróbował.

– Pewnie. – Zwracając się do Feliksa dodałem po rusku: – Chudożnik, dawaj. – Nie mogłem się powstrzymać od ruskich wstawek przy kolegach z Kraju Rad.

– Wiesz, że masz talent i świetnie ci idzie, a w twojej klatce też nie ma się co obawiać o kapusiów – dodałem już po angielsku.

Olbrzymi Rosjanin spojrział na mnie spode łba. Nie chodziło o zwadę, on po prostu nie potrafił patrzeć inaczej. W tym momencie megafon zapiszczał nieprzyjemnie, aż przeszły nas ciarki, zazgrzytał i wydobył z siebie głos:

– Miczun Polly, Yem ya...

Założyłem specjalny drelich, koszulę z krótkim rękawem uszytą z twardego płótna z numerem bloku – bez tego nie wpuszczono by mnie do miejsca przyjęć – i pogałem w kierunku bramy. Czekał tam funkcyjny, mający mnie eskortować do długiego korytarza, gdzie odbywały się wizyty.

Ewa stała przy jednym ze stanowisk. Jej gęste czarne włosy obcięte na „Kleopatrze” przyklejały się do spoconych policzków. Oddychała głęboko całym ciałem.

– Baby! Kaczyński podpisał list, właśnie rozmawiałam z ambasadą – wykrzyczała, przyklejając się do krat.

– Wow... Super.

– Obawiałam się, że może tego nie zrobić. Nie interesuje mnie polityka, ale ci ludzie z jego partii chcieli wręcz przywrócić karę śmierci. Ostatnio było jakieś głosowanie w Trybunale Praw Człowieka. Chodziło o abolicję kary śmierci i tylko Polska opowiedziała się przeciwko. Rozumiesz... co to za ludzie?

Ta niesamowita wiadomość oraz widok jej falujących piersi nie pozwalały mi zastanowić się nad tym głębiej. Liczyły się fakty. Z głębi duszy dziękowałem mu za zrozumienie, wyrozumiałość, wielkoduszność... Nawet jeśli zrobił to tylko dzięki namowie Pierwszej Damy.

Ewa spojrzała na mnie zalotnie. W jej zielonych oczach odbił się blask wolności. Pragnąłem już z nią być, dużo bardziej niż ona sama. Tego byłem pewien!

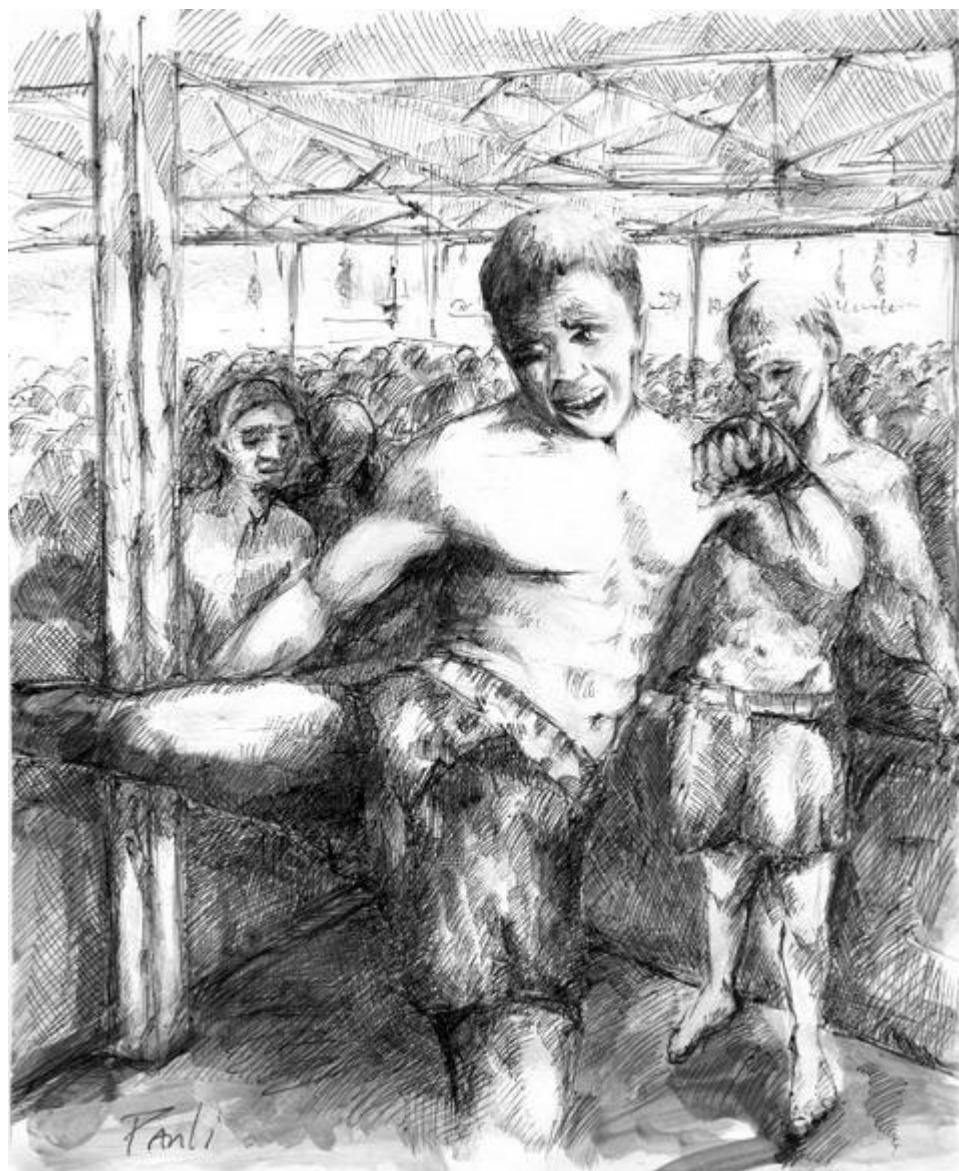
^[18] Songkran – tajlandzki Nowy Rok, święto obchodzone w połowie kwietnia.

XXXI

Loi Krathong

Pod dużym eternitowym dachem, gdzie nie docierał ani słoneczny skwar, ani płynące teraz z nieba potoki wody, pośród labiryntów lockerów i dymu węglowych kuchni toczyło się codzienne życie Chinatown. Feliks stał w niemającej więcej niż trzy na trzy metry wnęce, parząc na dużo niższą od siebie sniadą postać. Ubrany w czerwone szorty Taj wykonywał swoisty taniec. Unosząc wysoko kolana i zabandażowane ręce, poruszał się na przemian to w prawo, to w lewo, do przodu lub w tył. Wokół roztaczały się zapachy ostrych przypraw i zgnięłej ryby będącej jednym z tajskich przysmaków. Na przeciwległym murku jakiś starzec kręcił długie, podobne do cygara papierosy. Nikt prócz Feliksa nie zwracał specjalnej uwagi na ten pokaz. Chuda twarz Taja pokryta była masą niewielkich bruzd, a barczysta sylwetka wydawała się składać jedynie ze skóry i mięśni, bez choćby śladów tłuszczu. Ong Koi nie miał więcej niż 35 lat. Kiedyś był świetnie zapowiadającym się zawodnikiem muay thai. Dostał kilka złotych pasów, walcząc na stadionie Lumpini. Później aresztowano go za posiadanie tabletek ya-ba.

Z tym popularnym środkiem miało do czynienia sporo bokserów. Pozwalał zapomnieć o bólu i oszukać zmęczenie organizmu. Nie bez powodu podawano go żołnierzom podczas obu wojen światowych. Ong twierdził jednak, że powodem jego aresztowania był raczej fakt, że wiedział co nieco o korupcji i przepłacaniu walk na Lumpini. Kilka wysoko postawionych osób wkurzyło się, że sam nie chce brać w tym udziału i zarazem przestraszyło Onga jako świadka. Aresztowanie za narkotyki okazało się świetnym rozwiązaniem. Jako oskarżony, a potem więzień nie był już wiarygodny dla sądu w żadnej sprawie.



Ong wyssał muay thai z mlekiem matki. Więzienie nie zdołało zmienić jego przyzwyczajień. Trenował kiedy tylko się dało. Tajowie bardzo szanują swoje gwiazdy boks, zawsze mógł więc liczyć na jakiś skrawek przestrzeni do ćwiczeń. Nawet niewielki plac wystarczał na zorganizowanie sparingu, bardziej lub mniej legalnego. Feliks przychodził tu, by uczyć się od Onga. Po skończonym tańcu mistrz założył na rękę stary, pokryty popękaną czerwoną skórą ochraniacz. Feliks uniósł gardę i zaczął kopać, napierając na przeciwnika. Niski,

z pozoru filigranowy w porównaniu z Rosjaninem Taj strofował go głośno po każdym uderzeniu.

Patrzyłem na to wszystko lekko znudzony, siedząc obok jarającego jednego po drugim szluga Johna.

– To jak będzie z tymi rysunkami, Michael? Dasz radę zrobić jeszcze jakiś?

– Cholera, wiesz, że bym chciał. Problem w tym, że w obecnej sytuacji ryzykuję jeszcze bardziej.

– Wiem, wiem... Ale my wszyscy tu ryzykujemy, więc daj już spokój. Narysowałbyś jeszcze, jak wyglądają klatki w środku i może też zakładanie łańcuchów!

– No... dobra. Ale jak się Ewa dowie, to mnie ukatrupi.

– Ha ha, jesteś dobrze strzeżony – John, widząc, że mnie przekonał, natychmiast nabrał ochoty na żarty.

– Niestety – dodałem z sarkazmem – nieźle mnie tu pilnuje. – A jak wcześniejsze rysunki? Doszły?

– Tak, patent z zawijaniem ich między rulon sprawdził się znakomicie.

– OK, John. Zrobię jeszcze kilka, ale zacznij lepiej namawiać Feliksa, żeby to on zdecydował się teraz wykorzystać swój talent.

John spojrział w kierunku spoconego Rosjanina, który trenował kolejne kopnięcia, przypominając Goliata walczącego z Dawidem.

– Już z nim gadałem. Obiecał, że spróbuje.

– Nigeryjczycy są OK i na pewno nikt mnie nie sypnie. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, to stracę wszystko, co do tej pory osiągnąłem. Rozumiesz?!

– Wiem, Mike, ale pamiętaj, że rysujesz dla nas wszystkich, by świat dowiedział się, jak wygląda życie tutaj. Moi znajomi w Anglii już przygotowali stronę internetową...

Feliks, który wyraźnie miał już dość treningu, podziękował Ongowi i podszedł do nas. Jak tam, rebiata? Kitajec dał ci popalić? – przywitałem go żartobliwie. Łamany rusko-angielski był moją ulubioną formą rozmowy w dwoma Rosjanami z naszego bloku. Nie znałem za dobrze rosyjskiego, ale silnie kojarzył mi się z dzieciństwem. Jak tylko przypomniałem sobie jakieś słowo, natychmiast wypróbowałem je na przyjaciółach z Kraju Rad.

– Misza, ty nie pytaj, tylko sam spróbuj. Nie wiem, jak to możliwe, że „to” jest takie małe, a tyle ma siły!

Głośny sygnał dzwonka przerwał naszą rozmowę. Zbliżał się czas zamknięcia w klatkach.

Panujący wokół zgiełk nabierał na sile. Całe mrowie ludzi jak na komendę zaczęło pchać się w kierunku wejścia do stojącego na środku placu dużego dwupiętrowego budynku. Z jakiegoś powodu Tajowie prześcigali się, by być pierwszymi w środku. Może z przyzwyczajenia lub z chęci zajęcia lepszego miejsca.

Ong też był już gotowy. Jego ciemną skórę pokrywał niemal od stóp do głowy chłodzący talk. Pierwszy raz zetknąłem się z tym już w pierwszych miesiącach pobytu w Tajlandii, kiedy moja tajska dziewczyna wpakowała mi się do łóżka wysmarowana na biało proszkiem o intensywnie miętowym zapachu, wyglądając jak zjawia lub – mniej znany w Tajlandii – bałwanek. Wtedy nie byłem zachwycony. Teraz prickly heat powder stał się środkiem, którego sam używałem na co dzień. Ochładzał skórę, przynosząc trochę ulgi w dusznym klimacie, wysuszał pot oraz dawał jako taką ochronę przed insektami. Przy tutejszej wodzie pochodzącej prosto z pobliskiej rzeki sypanie na siebie kilogramów zmieszanego z miętą proszku było jedynym sposobem dezynfekcji. Pokryty białym pudrem Taj zabrał małą reklamówkę i na odchodne rzucił w naszym kierunku:

– Hey, farang! Łani mi Loi Krathong.

Spojrzeliliśmy po sobie, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Dopiero wieczorem, gapiąc się w tajska telewizję, zrozumiałem, co Ong miał na myśli.

Tego dnia odbywał się Loi Krathong. Święto, podczas którego w niebo wypuszcza się tysiące latających latarni, mających symbolizować kwiaty lotosu. Zasada ich działania jest podobna do balonu. Świecek podgrzewają powietrze, unosząc do góry umocowane powyżej papierowe kapelusze, które kiedyś wykonywano z liści bananowca. Latarnie szybują po ciemnym niebie, przedstawiając niesamowity widok. Uroczystość ta odbywa się raz w roku, w pierwszą listopadową pełnię księżyca. Dawniej oddawano w ten sposób cześć wodnym bóstwom. W dzisiejszych czasach latarnie mają symbolizować oświecenie Buddy, ale dla Tajów jest to przede wszystkim ceremonia, która ma przynieść szczęście. Każdy chce puścić swój świecący „balonik”, by po prostu mieć fart. Tu, w „mieście za murami”, nie mieliśmy szans na wypuszczenie w niebo swojego lampionu. Miało się spore szczęście, jeśli w celi był telewizor i można było to sobie obejrzeć w „szklanym oku”. W klatce, gdzie leżałem, był spory odbiornik. Moi nigeryjscy kumple kupili go od strażników za jakąś niebotyczną sumę głównie po to, by oglądać boks. Częściowo nielegalny przedmiot został tu przeschmuglowany. Nieraz zastanawiałem się, jak można przemycić coś tak dużego. Odpowiedź była tylko jedna – „This is Thailand”...

Ewa nie pokazywała się jakiś czas, aż wreszcie przyszedł kolejny list:

Baby,

trochę zmokłam, chlusnęło strasznie z nieba. Siedzę więc obok „7-Eleven”^[19] i myślę, czy wypić kawę, a wtem... :) przypomniałam sobie, że przecież już ją piłam! Musiałam być wówczas nieprzytomna. Teraz siedzę i zastanawiam się, czy jechać na Khao San, czy nie. Argumenty „za”:

– przerzucę foty z aparatu na CD i wyczyszczę w ten sposób pamięć, która jest całkiem zapchana (nie wiem w sumie czym, bo wydaje mi się, że nie robię fot),

– kupię latające latarnie i może spotkam tam kogoś znajomego, poznałam ostatnio parę osób.

Argumenty „przeciwko”:

– dzisiaj piątek., więc korek będzie totalny,

– upiję się i jutro obudzę się z kacem.

I co ja mam począć? :)

Jutro wypłata! :) Dostanę 40 kafli. W kopercie, bo nie mam jeszcze konta. Założę je, gdy przyjdzie mój work permit, czyli – nie wiadomo kiedy. Belgijka, która ze mną pracuje, czeka na nie już pół roku. Mam jakąś lekką „zawałę” w związku z tym deszczem. Chciałabym być teraz z tobą w jakiejś dzikiej okolicy. Siedzieć w drewnianej knajpie, pić browca... I niech by sobie nawet tak padało...

Odkryłam, że przez to rzadkie widywanie cię jestem nerwowa podczas wizyt, bo zamiast skupić się na rozmowie, na tobie, martwię się, że zaraz będzie koniec, a ja znowu nie powiem ci wszystkiego, co chcę. Teraz znów nie mogłam przyjść. Byłam kilka dni out of Bangkok. Odpocząć od tutejszego smogu.

Wreszcie coś się dzieje w twojej sprawie. Kompletuję dokumenty, a Nina je tłumaczy. Przyszedł już list od Wiki oraz twojej babci. Obydwa, tak jak powinno być, przepisane na kompie i niepogięte. Gorzej z tym od twojej mamy. Chyba nie zrozumiała do końca, jakie to ważne, bo wysłała mi list napisany ręcznie na kartce w kratkę, dodatkowo – faksem, który urwał tekst w połowie strony. Jak pokazałam go Ninie (w końcu ma to tłumaczyć) omal nie posikała się ze śmiechu. Po kilku SMS-ach jednak mama załapała, o co chodzi, i teraz już mam lepszą wersję. Czyli wszystko gotowe. Rozmawiałam też z ambasadą. Mają się wszystkim zająć, jak tylko przyniosę im komplet dokumentów. Ambasador obiecał osobiście wręczyć papiery królewskiemu sekretarzowi przy okazji spotkania z nim. Podobno są umówieni na jakąś uroczystą kolację w najbliższych dniach.

Ewa

Z listem od Ewy dostałem też drugą kopertę. Korespondencja od mojej córki od pewnego czasu przychodziła już z angielskim stemplem.

Kochany Tato,

znasz zespół Blade Loki? Właśnie się uzależniłam od ich muzyki... jeśli to możliwe :) Słuchałam też PJ Harvey, o której mi mówiłeś. Fajna. Lubię też Led Zeppelin. Na razie mam przerwę w szkole. Przenoszą mnie do innej. Ale jak zwykle nikt nie ma na nic czasu, więc pozostaje mi czekać. List do króla wysłałam, jak prosiłeś, do Ewy. A gdzie będziemy mieszkać, jak wrócisz? W Anglii czy w Polsce? Ja w przeciwieństwie do mamy jestem chyba patriotką. Poza tym w Polsce jest taki chłopak... Ledwo go poznałam i okazało się, że wyjeżdżamy...

Tato, chcę kupić gitarę. Właśnie słucham „Nothings else matters” Metalliki i tak mi się właśnie skojarzyły słowa: „so close no matter how far”...

Wika

Znów zacząłem żyć myślą o wolności, powrocie do mojej córki i o przyszłości z Ewą. Nic więcej mnie nie obchodziło.

Mimo pozytywnych wiadomości z Polski i ambasady nie miałem pewności, że nasze przedsięwzięcie się powiedzie. W ciągu ostatnich lat prawie nikt nie dostał tego, o co się starałem. Uzyskanie królewskiej łaski granaczyło z jeszcze większym cudem niż zdobycie poparcia, które otrzymałem od wszystkich trzech prezydentów III RP. Sami pracownicy ambasady, mimo okazywanej mi obecnie przychylności i entuzjazmu, tak naprawdę nie wierzyli w pomyślne rozwiązanie. Byłem skazany za narkotyki. W świetle tajskiego prawa to niewybaczalny czyn! Słyszałem co prawda o przypadkach wydania aktu łaski dla Europejczyków, Amerykanów i Australijczyków. Były to jednak sprawy sprzed kilku, a nawet kilkunastu lat.

Nikt nie mógł odpowiedzieć, czy mam jakąkolwiek szansę mimo tak wielkiego wsparcia. Mając za sobą wiele nieprzychylnych decyzji, moje zajęte serce przepełniało się obawami. Starałem się jednak utrzymywać myśli na pozytywnych wibracjach. Ile razy ogarniała mnie niepewność, zaczynałem wizualizować. Zamykałem oczy, zapominając o tutejszym świecie, a wyobrażając sobie to, czego najbardziej pragnąłem. Siedziałem w samolocie, witałem się z moją córką, byłem z Ewą, jechałem autobusem, piłem browar z moimi starymi znajomymi. Wszystkie te myśli stały się moim drugim światem. Światem, który był przy mnie każdego dnia.

Coraz więcej czasu spędzałem, chodząc po placu z Fabiem. Niskiego wzrostu Irańczyk był moim kumplem jeszcze z bloku trzeciego – niegłupi koleś posiadał sporą wiedzę na temat sytuacji politycznej w Tajlandii. Sam starał się w podobny do mojego sposób zdobyć poparcie swojej ambasady. Mieliśmy dużo wspólnych tematów. Głównym była jednak krytyka tutejszego systemu, wszelkich systemów...

Fabio opowiadał o swojej młodości w Iranie. O rewolucji islamskiej, o ucieczce do Nowej Zelandii, gdzie zamieszkał i dostał obywatelstwo. Nie był to pierwszy Irańczyk, z jakim zawarłem znajomość. Był za to kolejnym, który przekonał mnie, że obywatele tego kraju to spoko goście. Każdemu z nich mogłem ufać. Przypominał mi też często, jak bardzo cierpią, kiedy myli się ich z innymi mieszkańcami Półwyspu Arabskiego.

– Arabowie? Ci dzicy pasterze, wandale, którzy zniszczyli naszą cywilizację? Z kim ty mnie porównujesz? – wykrzykiwał mocno poirytowany.

– Ale, Fabio, w końcu jesteś muzułmaninem, prawda?

– Ja jestem zoroastrianinem.

– Kim?

– Zoroastryzm to najstarsza dualistyczna religia świata. Nie słyszałeś? Czego was w tej Europie uczą w szkołach?

– W moim kraju, w Polsce, w modzie jest Stary i Nowy Testament – zażartowałem. – Wiesz, rzymski katolicyzm, chrześcijaństwo. W moich okolicach panuje na to moda już kilkanaście wieków, słyszałeś może?

– No tak... To wiedz, że wszystko zaczęło się od Ahura Mazdy – Boga Mądrości. – Ale z jego myśli powstał też zły bóg – Angra Mainju – zły demon. Ahura Mazda, mądry bóg, stworzył też pierwszych ludzi Mashi i Mashiane. Zresztą ten fragment powinienes znać z Biblii. Żydzi przepisali tę historię bez zbędnych kombinacji.

Jego słowa zagłuszył metaliczny rumor. Na plac wjeżdżały wózki z kotłami wypełnionymi jedzeniem. Megafon zaczął charczeć donośnie, oznajmiając porę obiadu. Zakotłowało się dookoła. Plac natychmiast wypełnili przepychający się ludzie. Różnokolorowe miski walczyły o pierwszeństwo w drodze do kotła, każdy chciał dostać przyzwoitą porcję. W menu było to, co zwykle: khao den – brązowy ryż; dalej, w ostatnich kotłach, raczej dla wybrańców lub wytrwałych – zupa, ostra curry z zielonymi kawałkami tong qwa (rodzaj olbrzymiego ogórka, melon) i połupanymi kawałkami kości z kurczaka (choć można było w niej znaleźć również sporo kawałków skóry z piórami). Odetchnąłem z ulgą, że nie muszę tego jeść. Fabio też nie był zainteresowany. Kupował żarcie w kantynie, tak samo jak ja. Na szczęście paru znajomych i ambasada Nowej Zelandii trochę go wspierali.

Tymczasem z roju ludzkiego co chwila wynurzały się kolejne postacie z miskami pełnymi tych swoistych dobrodziejstw. Tak niewiele potrzeba do szczęścia – rzucił Fabio, patrząc na starszego Taja maszerującego z pełną brunatnej brei miską. Na jego twarzy malował się promienny uśmiech, a czarne oczy, okolone setkami zmarszczek, wyrażały totalne szaleństwo. Ludzi, którzy mieli już po 60-70 lat, nie brakowało wśród więźniów. Zapomniani już dawno przez bliskich potrafili tu przetrwać ponad 30 lat.

– Chodź, pomęczymy trochę Kieta, by wydał listy z bramki – zmieniłem temat.

– Czekasz na coś od swojej ferešite? – Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Słowo „ferešite” w języku farsi oznaczało anioła.

Kiet jak zwykle siedział w swoim klimatyzowanym biurze, za grubym, wzmocnionym stalą szkłem. Jego zadaniem było załatwianie za strażników wszelkich spraw biurowych i koordynowanie wszystkiego, łącznie z kontrolą korespondencji. By dostać tę robotę, trzeba było nieźle umieć wchodzić „w dupę” strażnikom, choć w przypadku Kieta na pewno nie bez znaczenia była też jego wiedza. Pisał za strażników wszystkie raporty i listy ewidencyjne. Oczywiście nie był jedynym więźniem pracującym w tym biurze. Obok krzątała się cała masa patchula, jak nazywano po tajsku funkcyjnych. Ale to od Kieta zależała większość spraw.

– Hey, Kiet! – Siedzący nad stertą papierów Taj skrzywił się na nasz widok, jakby zjadł tonę limonek.

– I gdzie się podział ten cudowny tajski uśmiech, Fabio? – dodałem zaczepnie, nie słysząc żadnego powitania ze strony naszego tajskiego kolegi.

Kiet nie od dzisiaj miał nas serdecznie dość. Sam był sobie częściowo winien. Często chował listy i potrafił przetrzymać je nawet do kolejnego dnia. Po prostu nie chciało mu się ich wydawać, bo miał ważniejsze sprawy, jak pisanie raportów za jego mundurowych zwierzchników. Wiedząc o jego zagrywkach, nie dawaliśmy mu spokoju.

– Zajrzyłbyś pod biurko i wyciągnął parę kopert, Kiet.

– Nie ma żadnych listów. Wynoście się stąd! Myślicie, że ja tak jak wy mam czas szwendać się i przeszkadzać ludziom?

Za moimi plecami pojawił się John.

– Kiet, widziałem, jak wnosili tu dzisiaj spory plik korespondencji. Pewnie tego nie zauważyłeś, taki jesteś zapracowany. – Bardzo dyplomatyczne podejście Johna spowodowało, że Taj mógł zmienić zdanie, jednocześnie nie tracąc twarzy.

– A rzeczywiście, coś tu jest. Jak skończę swoją robotę, to wam je wydam.

– To ile ci zejdzie?

– Nie wiem, z godzinę, może dwie. No, idźcie już. – W jego głosie słychać było irytację. Miał nad sobą trzy sępy w postaci farangów, których nie mógł się pozbyć tak łatwo jak każdego Taja.

– Czekamy, Kiet.

– OK, OK, paj, paj...

Staliśmy już sami przy moim lockerze, kiedy John zaczął inny temat.

– Załatwiłem szary papier z tej fabryki przy bramie. Dawaj rysunek!

Wyciągnąłem z szafki kilka białych kartek. Jedną z nich pokrywały szkice kreślone czarnym długopisem. To był rysunek, o który prosił mnie John. Przedstawiał scenki rodzajowe z życia w Bang Kwang. Warunki, którymi „Kraina Uśmiechu” nie za bardzo chciała się chwalić. John rozejrzał się dookoła, by upewnić się, że w gąszczu ludzi, który nas otaczał, nie ma strażników czy patchula. Masz klej? – spytałem.

John wyciągnął mały słoik po dżemie.

– Tak, klej też mi dali.

W jednej z tutejszych fabryk więźniowie produkowali ekologiczne torby. Takie, które dodaje się do zakupionych towarów w dobrych butikach. Z materiałem nie było więc problemu.

Dwa grube kartony z dużym nadrukiem Diesla wylądowały na wąskim blacie nad moją szafką. W środek włożyliśmy rysunek, a następnie szybko skleiliśmy je po brzegach, tak by klej nie dostał się przypadkiem do znajdującej się w środku sekretnej przesyłki.

Później zwinęliśmy całość w rulon. Powstała solidna tuba. Wyjąłem z szafki drugą kartkę, na której znajdował się kolorowy portret uśmiechniętej dziewczyny. Zwinąłem ją i włożyłem do środka. John zrobił już wieczko, które wystarczyło nałożyć i zapieczętować. Tej ostatniej czynności nie mogliśmy wykonać sami. Przesyłka musiała przejść kilka punktów kontrolnych, by dopiero – dzięki łaskawości strażników – mogła zostać wysłana.

Głos Kietu zatrzeszczał, zagłuszając rumor otaczającej nas ludzkiej masy. Patchula zdecydował się wreszcie wydać listy. John zabrał ze sobą tubę. Przed biurem roilo się od ludzi. Chińczycy, Hindusi, Pakistańczycy, Nigeryjczycy i kilku białasów. Wszyscy spodziewali się jakiejś wiadomości ze świata za murami. Zaczekaliśmy aż tłum przy zbrojonym szklanym okienku zmaleje, a obcokrajowcy pozabierają swoją korespondencję. Na mnie czekała prostokątna koperta. Z daleka byłem w stanie rozpoznać od kogo. Staranne pismo i kilka serduszek nad adresem nie pozostawiały wątpliwości – był to list od Ewy. John też odebrał parę kopert i wręczył Kietowi rulon.

– Co to jest? – Taj skrzywił się na widok dziwnego kształtu paczki.

– Obrazek dla mojej siostry. Ma urodziny, Michael narysował mi dla niej portret.

– Me daj, me daj... – mruczał pod nosem patchula.

– Daj, daj! – odparował John.

– Nie, listy można wysyłać, ale to? Co to niby ma być?

– Kiet, to jest zabezpieczenie, by obrazek się nie zniszczył. Rozmawiałem już z oficerem Joe. Jeśli będziesz robił problemy, to pójde nie tylko do niego, ale nie omieszkam wspomnieć mojej ambasadzie, że robicie nam problemy z korespondencją – zagroził nie na żarty John.

Kiet dobrze wiedział, że angielska ambasada traktuje serio skargi swoich rodaków. Powiadomienie przełożonych o jakichkolwiek problemach było czymś nie do pomyślenia dla Taja. W jego oczach pojawiła się niepewność. Widać było, jak włącza mu się wyobraźnia i powiększa złęcznione, okolone brązem źrenice. Zamrugał nerwowo i poprawił oprawione w gruby plastik okulary.

– OK, OK... Skoro oficer pozwolił, to niech będzie – oświadczył na koniec. – Paj, paj.

Ewa pisała:

Cześć, Kochanie,

przepraszam, że tak mało teraz piszę. Zajrzeć też nie mam czasu. Co robiliście w Loy

Krathong? Ja musiałam pojechać na Khao San kupić tradycyjny sarong^[20]. Zdołałam zajebisty! Ma taki kolor, że aż mi ślina pociekła :) Zielony, ale w zależności od padania światła zmienia się w turkus i niebieski. Brałam w nim udział w szkolnych uroczystościach. Ale była pompa, mówię Ci, Kochanie :) Tęsknię za Tobą. Potrzebuję Twoich listów, ręk, ust... To byłaby taka ulga móc przytulić się już do Ciebie i usnąć... Fajnie było, gdy jeszcze nie pracowałam i mogłam zajrzeć do Ciebie co tydzień. Nie wiem, co mam teraz pisać, bo nie chcę Ci truć, Kochany. Zwłaszcza że oboje wiemy, co nam teraz jest najbardziej potrzebne, i nic z tym na razie nie możemy zrobić. W głowie tłucze mi się tylko jedno pragnienie: być już obok Ciebie. W przyszłym tygodniu przyjeżdża moja funfela z Polski. Pojedziemy na Ko Chang albo jeszcze gdzieś. Muszę trochę odpocząć. Znów Cię nie odwiedzę... Ale odbijemy to sobie, zobaczysz...

Ewa

Zbliżały się jej urodziny, które (kolejny zbieg okoliczności!) wypadały tego samego dnia co urodziny Jego Wysokości Króla Tajlandii Bhumibola Adulyadeja. Dla więźniów był to dzień szczególny. Zawsze istniała szansa jakiejś amnestii. To, o co sam się starałem – akt królewskiej łaski – też nadawano głównie z tej okazji.

Mijały kolejne tygodnie. Wysłałem Ewie kilka listów i prezent w postaci obrazka. Jediną niespodziankę, jaką mogłem jej sprawić w tej sytuacji. Dzień urodzin króla nie przyniósł specjalnych rewelacji. Amnestia przyszła głównie dla ludzi skazanych za morderstwa. Narkotykowym zmniejszono karę tylko o 1/10 i dotyczyło to jedynie osób, które spędziły w więzieniu więcej niż 10 lat i miały zakończone sprawy sądowe. Nie łąpałem się do tych kryteriów. A jednak wiedziałem, że w najbliższej przyszłości wyjdę na wolność. Wyobrażałem sobie tę chwilę jak tylko mogłem najczęściej. Gdy zamykałem powieki, w głowie pojawiał się obraz moich bliskich, którzy witają mnie na lotnisku... Wracając do rzeczywistości, ciągle jednak martwiłem się i denerwowałem, jak rozwija się sytuacja. Czy ambasador rzeczywiście przekazał moje dokumenty królewskiemu sekretarzowi? Czy to wystarczyło, by pchnąć moje starania na oficjalną drogę? Pytań było sporo. By móc sobie na nie odpowiedzieć, musiałem czekać tygodniami na listy, z których dało się wysnuć pewne przypuszczenia. Głównie z tych od Ewy.

Tymczasem przyszedł Nowy Rok – nieróżniący się niczym od innych. Chrześcijanie wystawili świąteczną szopkę, a ladyboye noworoczną.

Któregoś dnia wezwano mnie do biura. Kiet przedstawił mnie ubranemu w mundur koloru khaki strażnikowi. Wy tłumaczył, że facet jest odpowiedzialny za sprawy amnestii i pardonów.

- Miczun Polly? – zaczął strażnik, łamiąc sobie język na moim nazwisku.
- Tak – skinąłem głową, siadając naprzeciw ubranej w jasny uniform postaci.
- Gdzie są twoje dokumenty do króla? – spytał łamanym tajsko-angielskim.

Spojrzałem na stojącego obok Kieta, nie rozumiejąc za bardzo, o co im chodzi. Patchula złożył dłonie jak do modlitwy i pochylił głowę. Przepraszał w ten sposób grzecznie oficera, prosząc jednocześnie, by mógł włączyć się do rozmowy.

– Miałeś składać dokumenty o królewskie przebaczenie? – zapytał już bardziej zrozumiałym angielskim.

Kiet był tu również za narkotyki. Zamknięto go jeszcze jako studenta. Dobrze wykształcony koleżka spędził w więzieniu już ponad 15 lat i czekało go na pewno drugie tyle. Nie przepadał za farangami, bo dawaliśmy mu nieźle popalić ciągłym stawianiem się i roszczeniową postawą wobec pewnych podstawowych kwestii. Z drugiej strony byliśmy kumplami. Często pomagał mi za profit rozwiązać problemy, których nie brakowało w tym miejscu. Wiedział o tym, że pisałem ten dokument, bo przychodziłem do niego po kilka rad.

– Kiet, ja napisałem to wszystko i wysłałem do ambasad. Pamiętasz? Mówiłem ci.

– Aha... Oficer mówi, że przyszło do nich pytanie z góry o twój king's pardon. A oni nie mają żadnych dokumentów, więc jeśli masz je przy sobie, to je przyjmę.

– Ale ja wysłałem wszystko ambasadzie i oni powiedzieli, że to złożą osobiście.

Między Kietem a strażnikiem wywiązała się rozmowa, z której niewiele zrozumiałem. Na koniec Kiet skinął głową i znów zaczął tłumaczyć:

– Nie, tak nie można. Dokumenty muszą przejść oficjalną drogę. Powinieneś je złożyć osobiście, a więzienie musi wypełnić twoją kartę, referencje. Później naczelnik musi złożyć podpis i dopiero wyślą je dalej do Department of Corrections – wyrecytował na koniec nazwę instytucji odpowiedzialnej za więziennictwo, dla której „Department of Corruption” byłoby zdecydowanie trafniejszym określeniem.

Wyszedłem z biura z lekko podniesionym ciśnieniem, które po kilku godzinach zmieniło się w nerwicę natręctw. Powinienem już dawno mieć te dokumenty przy sobie, tymczasem ambasada z jakichś powodów uparła się, bym ich nie zobaczył. Sprawy dyplomatyczne – poinformowano mnie jakiś czas temu. Siedziałem potem, pisząc list do pani konsul, w którym próbowałem jej przekazać, że ich „sprawy dyplomatyczne” muszą jednak przejść przez moje ręce i byłoby świetnie, gdyby stało się to jak najszybciej, bo tak się składa, że od tego zależy moje życie.

W mojej głowie rosło napięcie. Chciałem mieć to już za sobą. Chciałem uzyskać pewność, że wszystko zostało rozpoczęte zgodnie z tajskimi przepisami. Samo zastanawianie się nad sposobem ich działania przyprawiało o wysypkę. Nie do końca wiedziałem, czy bardziej pasuje tu porównanie do *Paragrafu 22*, czy do słynnej powieści Franza Kafki. Pragnąłem tylko, by ten koszmar wreszcie się skończył.

Napisałem też do Ewy z prośbą, by przekonała ambasadę o konieczności jak najszybszego dostarczenia mi tych dokumentów. I znów mijały kolejne tygodnie...

Po miesiącu przyszły wiadomości. Ambasada obiecała przesłać dokumenty jak najszybciej. Ale właściwie nikt nie wiedział, co i jak należy zrobić. Napisała do mnie także Ewa:

Michał,

nie udało mi się niczego dowiedzieć od ambasady. Twoja mama została zbita w podobny sposób. Dzisiaj mam znów do nich dzwonić. Jeśli nie uda mi się uzyskać informacji od konsulki, to będę próbowała rozmawiać z ambasadorem. Tylko to chyba nie jest proste. Powiedziałam im też, że powinni cię odwiedzić i wyjaśnić to z tobą, przynosząc dokumenty... Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, i na samą myśl o całej tej sytuacji boli mnie głowa. Mam też wyrzuty sumienia, że nic nie robię. Tylko z drugiej strony – co mogę zrobić? Nie pokłóć się w końcu z ambasadą, bo to tylko pogorszy sytuację. Mam nadzieję, że dotarła do ciebie kasa, którą dałam Ninie. Teraz czekam na przekaz od twojego wujka, więc niebawem ci go podrzucę...

Właśnie rozmawiałam z attaché. Nic nie wiadomo, oprócz tego, że kierowca zostawił dokumenty w biurze przy wejściu do więzienia. Konsul wyszła na lunch albo już w ogóle poszła do domu.

Ewa

Znów pozostało mi czekanie. Jeśli kierowca przekazał papiery komuś w biurze na zewnątrz, to mogło być różnie. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak to biuro wygląda. Przechodziła przez nie cała korespondencja. Pełniło też funkcję organu cenzury, więc nie brakowało tam stert listów i papierów – rzeczy, wśród których mogło się zawierzyć nawet coś dużo większego niż moje dokumenty. Najlepsze rokowania mówiły o miesiącu oczekiwania na ich otrzymanie. Gdyby ktoś z ambasady pofatygował się i wszedł tu jako dyplomata, miał prawo podać mi te dokumenty osobiście. Tak się jednak nie stało.

Czas płynął nieubłaganie, a ja ciągle stałem w miejscu. Nie zdążyłem jeszcze złożyć tych papierów, a już czułem się pokonany przez tutejszą biurokrację. Jedynym rozwiązaniem było zwrócenie się do Joego. Oficer Joe pracował w sekcji cenzury. Był tam co dzień. Zaglądał też do bloku. Czatowałem kilka dni, aż go zobaczyłem siedzącego w klimatyzowanej budce.

– Hey, Joe! Moja ambasada zostawiła dla mnie dokumenty, które muszę pilnie złożyć. Chodzi o king's pardon. Nie trafiły czasem na twoje biurko?

Rozwalony w fotelu oficer pokiwał przecząco głową, cały czas się uśmiechając.

– A mógłbyś to dla mnie sprawdzić?

Teraz jego głowa zaczęła potakiwać. Uśmiech zaś nie zniknął, jakby przyklejony do jego okrągłej twarzy. Wypoczywał – jak zwykle. Jego wzrok był wbity w ekran telewizora, gdzie leciał mecz. Nie było sensu się narzucać. Skutek mógłby być jedynie odwrotny. Zawsze pozostawało ostateczne rozwiązanie. To, na które czekała większość strażników – łapówka.

Zacząłem od kantyny, do której dotarło właśnie kilka butelek pepsa. Kupiłem dwie. Z jedną poszedłem do Kiet. Wręczyłem mu plastikową butelkę, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Słuchaj, Kiet. Możesz zapytać o tego oficera, który chciał, żebym mu przekazał

dokumenty w sprawie king's pardon?

– Chodzi o Mr. Sieo?

– Widzisz, moja ambasada... – wytłumaczyłem mu całą historię.

Kiet zaczął sączyć słodki, brązowy, musujący płyn, za którym wszyscy tutaj przepadali. Cukier natychmiast przywrócił go do stanu aktywności. Przynajmniej obiecał, że spyta o oficera.

Drugą butelkę zaniósłem Joemu, z nadzieją, że zapamięta coś z naszej rozmowy.

Ewa wysłała krótką wiadomość:

Michał,

zastanawiam się, czy dotarły do Ciebie dokumenty. Ja już jutro wyjeżdżam z Lilą, moją przyjaciółką, która właśnie przyjechała. Jedziemy na Ko Chang i jeszcze gdzieś, tak jak Ci pisałam. Wczoraj byłam w Bang Kwang. Weszłam do biura i szukałam Joego, ale go nie znalazłam. Dzwonię też co chwilę od ambasady, ale nikt nie odbiera od wczoraj. Czyli wszystko w normie... Nie będzie mnie tydzień, może dłużej. Pisz do mnie, Baby.

Ewa

Minęło kilka tygodni, które spędziłem na ciągłym wypytywaniu o moją sprawę. Wreszcie dokumenty się pojawiły. Były kompletne, tak jak zostawił je kierowca. Poleżały kilka tygodni na różnych biurkach, bym ostatecznie mógł je dostać. Przejrzałem je tylko i następnego dnia złożyłem ze specjalnym podaniem w tym samym okienku, za którym siedział Kiet. Tak zaczęła się ich mozolna droga z biurka na biurko, z urzędu do urzędu. Nikt nie był w stanie powiedzieć, ile to może potrwać. Spotykałem i takich, którzy złożyli podobne dokumenty ponad 10 lat temu i nadal czekali z nadzieją, że ich wnioski zostaną pozytywnie rozpatrzone.

^[19] 7-Eleven – międzynarodowa sieć małych sklepów z produktami codziennego użytku.

^[20] Sarong – płat tkaniny upięty w formie spódnicy, noszony przez kobiety i mężczyzn głównie na Malajach.

XXXII

Gorzka pigułka

– Poznałam kogoś jakiś czas temu. Jestem w nim zakochana, ale on jest taki dziwny, ciągle robi mi sceny zazdrości. Teraz, po kolejnej, znów wyjechał, mówiąc, że to koniec. Myślałam, że wszystko się ułoży, ale tęsknię za nim i jest mi tak źle – mówiła zalana łzami Ewa.

Patrzyłem na nią, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Osoba, którą tak bardzo

kochałem, przychodzi do mnie, opowiadając o swoich uczuciach do innego faceta! Poczułem się, jakbym był duchem. Pieprzone stalowe pręty czyniły mnie tak odległym, prawie martwym!

– Ewa, co ty opowiadasz? Co to za facet?!

– Przepraszam, Michał. Nie mogłam powiedzieć ci o tym wcześniej. Nie chciałam cię ranić, dobijać cię w twojej sytuacji.

– Ale co z nami? Przecież ja stąd w końcu wyjdę!

– Tak, wiem, życzę ci tego. Ale nie mogłam już czekać. To było silniejsze ode mnie. Myślisz, że łatwo jest być samą? Ty tylko ciągle czegoś chcesz. To bieganie po ambasadach, wieczne czekanie, aż wpuszczą mnie na wizytę... Nie mogłam już tego znieść...

Jej słowa uderzyły we mnie jak ogromna bomba, roztrzaskując wszystko, co miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Oczy Ewy zamieniły się w jeziora łez. Czuję, że powinienem wstać, odejść, zostawić tę niewierną istotę, która zdradziła wszystkie nasze marzenia. Wszystko, co sobie obiecywaliśmy... Zatrzymywała mnie jednak otchłań tych zielonych oczu, nie mogłem oderwać od niej wzroku. Pragnąłem jej jeszcze bardziej. Przerwał nam głośny dźwięk dzwonka. Musiałem wracać do klatki, zostawiając ją taką zapłakaną, samotną. Strażnik szarpnął mnie za ramię.



– Mod leo – zarechotał swym cienkim głosem.

Miałem ochotę urwać łeb tej żółtej małpie, by następnie roztrzaskać jego czaszkę o stalowe kraty. Powstrzymywała mnie wrodzona słabość. Znów byłem wściekły na siebie, na swoją beznadziejność. Wróciłem na swoje miejsce jak pies na łańcuch. Powlokłem się do klatki, pozostawiając po drugiej stronie wszystko, na czym mi zależało.

Tej nocy nie mogłem usnąć. Pisałem list do Ewy. Właściwie – kolejne listy. Wylewałem na kartki jad lejący się z mojej głowy, by później miąć je i wyrzucać jak najdalej. Starałem się zrozumieć, jak wiele mi poświęciła i jak trudno jej było sprostać tej sytuacji. W końcu byłem tylko nierealnym hologramem pokazującym się czasem przez zasyfiałe kraty. Wreszcie skleciłem parę zdań, pisząc, by nie przejmowała się moją sytuacją, nie przychodziła już więcej! Żeby zajęła się własnym życiem i nowym związkiem. Choć naprawdę myślałem zupełnie inaczej.

Michał,

dzięki za to, jaki dzisiaj byłeś. Dzięki za to, co do mnie czujesz. Dzięki za wszystko. Jest tak mało czasu, by z tobą porozmawiać na żywo. Zostają mi tylko te cholerne listy. Jest mi teraz bardzo źle. Z dwóch powodów. Bardzo nie chcę cię ranić. To dla mnie ważne. A drugi powód już znasz. Nie wiem, co robić. Zdaję sobie sprawę z tego, co o tym myślisz. Słyszałam sporo historii romansów tajsko-farangskich, nie tylko od ciebie. Właściwie wpakowałam się w to wbrew własnej woli. Dzieli nas ogromna różnica intelektualno-kulturowa. Być może to nie ma przyszłości. Nie wiem. Nie wiem, na czym stoję, bo komunikacja, zwłaszcza telefoniczna, stwarza jedynie więcej nieporozumień. Do tego on jest od kilku dni ciągle pijany. To boli! Cierpię, bo tęsknię za zdrowym związkiem...

Do tego ta przepaść kulturowa. Oni nigdy nie rozmawiają o uczuciach. Tutaj związki trwają latami bez jednej szczerzej rozmowy. Cholera, głupio się czuję, pisząc ci o tym. To nie miało być tak. Przepraszam za te lzy dzisiaj. Przepraszam, że musiałam ci to powiedzieć. Czuję się tak okropnie. Ci ludzie żyją tak bardzo daleko od własnych uczuć. Wiesz, on jest bardzo fajny i doświadczyłam dużo zajebistych chwil w jego towarzystwie. Z drugiej strony jest jak dzieciak, w dodatku ciągle lekko zamroczony przez alko. I ten kompleks niższości w stosunku do mnie! Ale nie chcę tego tracić. Przynajmniej nie w taki sposób. Nie przez to, że nie mogę się z kimś dogadać. Tak bardzo chciałabym mieć siłę, by to olać! A jedyne, co potrafię, to rozpaczać.

Dziękuję ci, Michał, za to, jaki dla mnie dzisiaj byłeś. Poczułam się nieco lepiej. Naprawdę! Nawet wmusiłam w siebie trochę żarcia. Nie cierpię być taka słaba, potrzebująca, usmarkana.

Wiem, jakie to musi być odpychające. Czy nie mogłabym być bardziej gruboskórna albo – jak to potrafią faceci – skupić się na pracy czy picciu z kolegami? Przepraszam, wiem, że sprawiam ci ból, to mnie dodatkowo rani.

Ewa

– Co się z tobą dzieje? – spytał Saleem, widząc mój błędny wzrok.

Nie mogłem już dłużej trzymać tego w sobie. Zacząłem mówić mu o Ewie. Z moich ust wydobył się potok słów. Rzuciłem je jak najdalej i jak najmocniej, by choć przez chwilę poczuć ulgę.

– Ach... – westchnął. – Jesteś w więzieniu, to normalne. Czego ty się spodziewasz po Europejce? Widzisz, jaka jest wyższość mojej kultury. Ja mam żonę, która od ośmiu lat czeka na mnie w domu, i jeśli będzie trzeba, będzie czekała następne osiem.

– Wiem, Saleem. U was jest inaczej, co nie do końca oznacza, że lepiej, zwłaszcza dla kobiet.

– Mylisz się! Wierz mi, w moim kraju wiele kobiet pod tym względem jest jeszcze bardziej radykalnych niż mężczyźni.

Nie miałem zamiaru drażnić tego tematu, choć zdarzyło mi się czytać kilka książek, które opisując Afganistan i Pakistan, przedstawiały sytuację kobiet w niezbyt dobrym świetle. Saleem miał swoje racje, których nic nie było w stanie zmienić. Znałem go nie od dzisiaj. Dzielili nas zbyt wielka przepaść kulturowa, byśmy doszli na tym polu do jakiegoś konsensusu.

– A co to za gość? – spytał ponownie. – Michael, jeśli chcesz, wiesz, że mam swoich ludzi na zewnątrz. Wystarczy jedno twoje słowo i będzie po problemie.

Spojrzałem w jego oczy, które rozbłysły przedziwnym blaskiem. Znałem dobrze ten błysk, wiedziałem, że nie żartuje. Miał w sobie naturę drapieżnika. Polowanie było jego żywiołem.

– Nie, Saleem, to nie ma sensu. W ten sposób tylko bym ją bardziej do siebie zniechęcił. To jakiś Taj. Przywiozła go sobie z którejś z wysp. Taka egzotyczna zabawka. Pewnie jej przejdzie za parę miesięcy i wszystko wróci do normy. – Próbowałem przekonać samego siebie.

– Jak chcesz, kolego. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Nie chciałbym, żebyś mi tu całkiem zwariował. Chodź ze mną coś zjeść – to mówiąc, machnął ręką w stronę stojących niedaleko Pakistańczyków.

Dwóch rosnących koleśków podeszło do nas natychmiast. Saleem powiedział coś w urdu (jeden z języków obowiązujących w Pakistanie). Po krótkiej rozmowie jeden z Pakistańczyków zaczął przeganiać grupę Tajów siedzących na znajdującym się obok niskim betonowym podeście. Saleem zaprosił mnie, bym z nim usiadł. Po chwili pojawił się drugi Pakistańczyk, niosąc ze sobą miskę żółtego ryżu z daktylami. Wszystkie podróże mojego życia nauczyły mnie nie odmawiać, gdy zapraszają do stołu. Szczególnie w Azji odmowa nie była mile widziana. Chwyciłem w palce prawej dłoni minimalną ilość ryżu. Większość jadła w podobny sposób. Lewa ręka służyła do wycierania tyłka, prawa do jedzenia. Na tym zamierzałem poprzestać. Od dłuższego czasu męczyły mnie problemy żołądkowe. Od ponad roku jedynymi potrawami, które nie wywoływały bólów, były ryż, waciany chleb i czasem, gdy udało mi się go zdobyć, gotowany kurczak.

– Jedz, jedz – namawiał mnie kumpel.

– Wybacz, Saleem. Wiesz, jaki mam problem z bebechami.

– A... właśnie, może powinieneś o tym pogadać z tutejszym lekarzem.

– Z tą ciotą? Gadałem z nim kilka razy. To nie ma sensu. Odsyłają cię do bloku z garścią paracetamolu.

O miejscowym szpitalu nie dało się powiedzieć nic dobrego. Prowadził go pewien pulchny doktor, obdarzony twarzą o wyglądzie księżycy w pełni. Jego homoseksualne skłonności nie były tajemnicą. Tajowie mówili na niego Ma Nop. Jeśli miało się jakiś problem zdrowotny, trzeba było napisać prośbę do szefa budynku, by dostać pozwolenie na odwiedzenie szpitala. Raz w tygodniu pod bramą bloku zbierali się chętni na taką wycieczkę. Chorych nie brakowało. Właściwie każdy miał jakiś problem. Wreszcie, po odpowiedniej odprawie, zabierano nas na wycieczkę do znajdującego się jakieś 500 metrów dalej budynku. Mały szpital był odrębną sekcją, składającą się między innymi z niewielkiej sali dla umierających. Wyglądała bardzo podobnie do tej, którą znałem z Bambat. Były tam też gabinety lekarskie z poczekalnią dla tych, którzy przychodzili poskarżyć się na swoje dolegliwości.

Tabun ludzi był tak wielki, że oczekiwanie na swoją kolej trwało nawet do pięciu godzin. Gdy wreszcie przyszedł czas na mnie, wszedłem do klimatyzowanej sali, gdzie przyjmował Ma Nop. Oczywiście byłem bez butów, jak proszący się o łaskę niewolnik. Nim skończyłem mówić o moich dolegliwościach, przerwał mi w pół słowa, wręczając mały kwitek. Trochę zbity z tropu próbowałem mówić dalej, gdy stojący obok strażnik wypchnął mnie z pokoju.

Pozostało stanąć w następnej kolejce po odbiór leków. Przez zakratowane okienko wysunęła się sucha dłoń, wrywając podany przez lekarza kwit. Po chwili miałem swoje lekarstwo. Cztery białe pigułki paracetamolu! To wszystko, na co mogłem tu liczyć.

– Ostatnio czuję się bardzo źle. Muszę napisać do mojej ambasady. Przecież na tym paracetamolu długo nie wyrobię.

– Koniecznie! Jesteś biały, powinni cię zabrać do szpitala na zewnątrz. Nawet nasza ambasada załatwia takie rzeczy, gdy ktoś jest chory – poradził Saleem.

Ewa przestała się pojawiać, co wydawało się zrozumiałe. Bolało, ale wiedziałem, że czas jest jedynym lekarstwem, by o niej zapomnieć. Minał miesiąc, gdy przyszedł kolejny list.

Michał,

przepraszam, że cię nie odwiedzam. Nie jestem w stanie. Z dużym trudem przychodzi mi wytrzymanie całego dnia w pracy. Zwalniam się coraz częściej albo dzwonię, że w ogóle nie przyjdę. Moje życie w tej chwili to wielki syf. Trzymam się tylko dzięki kumpeli. Wczoraj wyciągnęła mnie ze swoim tajskim chłopakiem na imprezę w stylu lat 80., organizowaną na tutejszym uniwersytecie. Mimo że było bardzo zabawnie, siedziałam wpatrzona w podłogę, walcząc, by się nie rozplakać... On naprawdę dokopał mi ostatnio. Dowiedziałam się też, że mała dziewczynka, którą u niego w domu przedstawiono mi jako córkę jego siostry, to w rzeczywistości

jego dziecko. Gdzie jest matka? Tego nie wiem, ale dziewczynką zajmują się dziadkowie, bo jemu się nie chce! Kurwa... Co z tymi ludźmi jest nie tak?!...

W niedzielę była straszna awantura. Moja przyjaciółka pomogła mi wyrzucić go siłą z domu. Co za beznadziejna sytuacja. Najgorsze jest to, że tęsknię za nim. Ale nie zniosę już dłużej tych awantur, poniżania, wzajemnych oskarżeń i jego paranoi.

Michał, przepraszam, że cię zaniedbuję, ale nie mam siły zająć się nawet sobą. Martwi mnie to, że nie dostaję od ciebie listów. Czy ty też nie chcesz już ze mną gadać? Proszę cię, nie przestawaj do mnie pisać.

Ewa

Nie wiedziałem, co zrobić z tym fantem. Pragnąłem, by wszystko było jak dawniej.

– Saleem, pamiętasz, jak oferowałeś mi pomoc w sprawie mojej dziewczyny?

– Tak, przyjacielu. Wystarczy jedno twoje słowo i tajska małpka zadynda na drzewie za jajka.

– Mam inną prośbę. Gdybym dał ci adres, czy ktoś mógłby wysłać bukiet kwiatów do jej domu? Żadnych innych akcji, OK?

– Pewnie, skoro tak chcesz. Jutro mam wizytę kumpla. Zrobi wszystko, o co go poproszę.

Saleem wrócił z tego widzenia, potwierdzając, że przekazał moją prośbę. Minął tydzień, gdy usłyszałem swoje imię wykrzykiwane przez głośniki więziennego radiowęzła. Wzywano mnie na widzenie. Po drugiej stronie kraty znów stała Ewa.

– Jak mogłeś mi to zrobić?! – zagrzmiała wściekle na mój widok.

– Co? – spytałem kompletnie zbity z tropu.

– Przysłałeś te kwiaty! Te cholerne kwiaty.

– Ewa, myślałem, że się ucieszysz.

– Nie, ty to zrobiłeś specjalnie! – Jej głos stawał się coraz ostrzejszy. – Przez ciebie miałam kolejną awanturę. Ty nie wiesz, jaki on jest zazdrosny.

– Ewa, ale ja naprawdę nie chciałem zrobić nic złego. Pisałaś, że on wyjechał.

– Wyjechał, ale wrócił, a ty znowu to popsuleś. – Uspokoila nieco głos. – Michał, nie mogę tego tak ciągnąć...

Zapadła cisza po chwili przerwana dzwonkiem. Znów musiałem wracać do swojej klatki. Ona zaś odeszła do świata, którego nie miałem nawet okazji poznać.

Ataki bólu brzucha zaczęły uprzykrzać moją codzienność coraz bardziej. Wreszcie w połowie lipca nieustanne listy do ambasady, w których pisałem o swoim problemie, przyniosły skutek. Nowa pani konsul zmusiła władze więzienia, by pozwolono mi na konsultację u specjalisty w Lard Yao. Duży więzienny szpital, który miałem okazję poznać wcześniej, nigdy nie robił na mnie pozytywnego wrażenia. Więzienie nie chciało się jednak zgodzić, by zabrano mnie w jakieś lepsze miejsce. Musiałem odczekać ponad tydzień, by któregoś ranka zostać wezwanym na tę wyprawę.

Nie obyło się bez łańcuchów. Do Lard Yao zabrała mnie więzienna furgonetka. Migające przez kraty obrazki jak zwykle przypomniały o świecie, który wciąż istniał, choć już nie dla mnie.

– Przepiszę ci leki – powiedział po krótkiej rozmowie ubrany w biały fartuch Taj.

Uprowadzony zachowaniem jego poprzedników, zaproponowałem:

– Doktorze, ja chcę wykonania badań. Skąd pan wie, jakich leków potrzebuję?

– Nie, nie, nie. Dam ci leki na wrzody. Jestem lekarzem, wiem, co mówię! – dodał, mierząc mnie zimno swoimi czarnymi ślepiami.

– A jeśli to nie wrzody?

Lekarz spojrzał na stojącego obok funkcyjnego. Lekkim ruchem ręki wskazał, by mnie zabrano. Funkcyjny złapał mnie za ramię. Nie było sensu dłużej tego ciągnąć. Wyszedłem zgodnie z zaleceniem.

Kilka dni później wpadła z wizytą pani konsul.

– I jak zdrowie? – spytała na wstępie.

– Mam ten sam problem. Naprawdę powinienem mieć zrobione badania.

– Jak to? Rozmawiałam z lekarzem w Lard Yao. Powiedział, że zrobili badania, które wykazały, że jesteś zdrowy!

– Jakie badania? – spytałem, nie dowierzając, że mogli ją tak okłamać.

– Powiedziano mi o przeprowadzeniu badań. Nie pamiętam dokładnie jakich – zakończyła.

Od dłuższego czasu moje oczy zaczęły robić się coraz bardziej żółte. Coraz poważniej zaczynałem się obawiać, czy nie złapałem dodatkowo wirusa powodującego zapalenie wątroby.

– Proszę spojrzeć na moje oczy. Nie staram się pani okłamać. Bardzo proszę, niech mi pani pomoże, by wykonano jakieś badania. Naprawdę obawiam się o moje życie.

– Dobrze, spróbuję, ale to naprawdę zależy od władz więzienia. Nie jestem w stanie wiele na nich wymóc.

Na tym zakończyliśmy naszą rozmowę. Wróciłem do bloku, by czekać nie wiadomo na co.

Była już prawie połowa sierpnia, gdy zabrano mnie do Lard Yao ponownie. Tym razem zrobiono mi USG jamy brzusznej.

– Kamienie i zapalenie woreczka – stwierdził badający mnie lekarz, dodając: – Damy ci antybiotyki.

Nie miałem zbyt wielkiej wiedzy medycznej w tym zakresie. Same antybiotyki wydały mi się jednak zdecydowanie za słabym środkiem na dolegliwość, którą właśnie stwierdzono.

Po powrocie do Bang Kwang zacząłem pisać kolejny list do ambasady i mojej rodziny. Chciałem operacji, a ta mogła się odbyć jedynie w szpitalu na zewnątrz. Wszystko wymagało nie tylko pieniędzy, ale i zgody na zabranie mnie do któregoś z miejskich szpitali.

W połowie września zaczęły przychodzić odpowiedzi od rodziny. Wszyscy martwili się moimi dolegliwościami i starali się coś załatwić za pośrednictwem ambasady. W październiku mój stan znacznie się pogorszył: brzuch bolał, brudnożółta – tak jak i oczy – skóra nieustannie swędziała. Spędzałem długie godziny, ledwo wlokąc się po placu. Temperatura i osłabienie, wynikające z niejedzenia, czyniły mnie powoli podobnym do żywych trupów, które widziałem w szpitalu więziennym. Większość moich kumpli patrzyła na mnie, jakbym przyleciał z innej planety.

– Co z twoim szpitalem? – pytali kolejno Fabio, Andrew, Saleem...

Niewiele mogłem im odpowiedzieć. Nie docierały do mnie żadne nowiny w tej sprawie. W grudniu ważyłem już o 30 kilo mniej i miałem spore problemy, by się podnieść, nie mówiąc o chodzeniu. Szef budynku chciał mnie przenieść do miejscowej umieralni, gdzie na szarych, brudnych kocach polegiwała masa takich jak ja. Tego obawiałem się najbardziej. Nie chciałem tu skończyć. Przerazał mnie widok leżących i rozkładających się ciał. Znałem go aż za dobrze.

– Nie ma mowy! – powtarzałem sobie w myślach. – Jak długo potrafię jeszcze chodzić o własnych siłach, nie dam się zabrać do kostnicy!

Pod koniec grudnia pani konsul udało się wymóc na władzach więzienia, by zabrano mnie do znajdującego się w mieście szpitala policyjnego. Sama procedura przygotowawcza potrwała jeszcze ponad miesiąc. Ostatecznie w szpitalu wylądowałem prawie pół roku po zdiagnozowaniu zapalenia woreczka, który w każdej chwili mógł pęknąć, przynosząc mnie na tamten świat.

XXXIII

Tajscy geniusze

Dwóch strażników posadziło mnie na drewnianej ławce w wyłożonej marmurem poczekalni. Tak, znalazłem się na drugim piętrze jednej z sekcji szpitala policyjnego przy Pathum Wan w Bangkoku. Był 28 stycznia 2552 roku. Przywieziono mnie tu na konsultację z lekarzem, który mógł mnie zoperować.

Wokół krzątała się obsługa szpitala i pacjenci. Z powodu zakutych w łańcuchy nóg czułem się między nimi jak cyrkowa małpa. Próbowałem mieć gdzieś ich natrętne spojrzenia, nie przychodziło to jednak łatwo. Kilka godzin później pojawiła się pani konsul wraz z panią attaché. Ich obecność trochę poprawiła mi nastrój.

Wreszcie przyszła moja kolej na wejście do gabinetu. W środku przywitał nas uśmiechnięty od ucha do ucha młody lekarz. Sprawdził moją kartę, by natychmiast zlecić operację. Ta jednak okazała się niemożliwa bez ponownego wykonania USG i reszty badań. I tu zaczęły się schody. Ze względu na dużą liczbę pacjentów najbliższy termin, gdy szpital mógł mnie przyjąć, wypadł za ponad tydzień.

Takie były realia w publicznej placówce, obleganej przez tłumy ludzi leczonych z ubezpieczenia. W moim wypadku nic nie odbywało się za darmo. Mimo iż dostałem od tego kraju specyficzną dożywotnią wizę, gdy przychodziło do płacenia, traktowano mnie jak zwykłego turystę, który zapomniał wykupić sobie prywatne ubezpieczenie. Absolutnie nie przysługiwało mi to, co gwarantowano Tajom. Dlatego w szpitalu, gdzie wszyscy leczyli się za darmo, ja musiałem płacić za każdą zużytą strzykawkę. Polska ambasada zgodziła się pokryć 20 procent kosztów. O resztę musiałem prosić moich bliskich. Inaczej nie miałbym szans trafić z moim problemem dalej niż do więziennej umieralni. Jeśli już musiałem wydać tyle pieniędzy, sensowniejsza była operacja w prywatnym szpitalu, gdzie przyjęto by mnie natychmiast i zoperowano taniej i bardziej profesjonalnie. Na to jednak nie zgodziło się więzienie.

– Albo szpital policyjny, albo żaden! – poinformowano ambasadę kilka miesięcy wcześniej podczas prób uzyskania zgody na operację.

Pani konsul naprawdę wzięła sobie do serca mój problem.

– Musimy czekać – powiedziała zmartwiona. – Trudno. Ten tydzień jeszcze chyba wytrzymasz?

Przytaknąłem ociężałą głową. Nie było o czym mówić. Przyzwyczailem się już do ciągłych problemów i stagnacji. Hasło „This is Thailand” było prostą odpowiedzią, wyjaśniającą przyczynę wszelkich przeciwności losu. Tłumaczyło też świetnie tę sytuację. Zabrano mnie z powrotem do więzienia, gdzie, zmagając się z chorobą i grawitacją, musiałem odczekać kolejny tydzień.

Wreszcie przyszedł mój czas. Trafiłem do białej salki, w której za stalowym ogrodzeniem stało kilka łóżek. Strażnik wskazał mi jedyne wolne. Gdy usiadłem, natychmiast wyjął kajdanki, zatrzasnął jedną z obręczy na stalowej konstrukcji łóżka, a drugą na scalonych z moimi nogami łańcuchach. Mało mnie to jednak obchodziło. Byłem zbyt zmęczony, by zareagować. Przewróciłem się do tyłu, lądując na miękkim, dawno niewidzianym obiekcie, i zasnąłem.

Sen zmógł mnie na kilkanaście godzin. Odzyskując ponownie świadomość, poczułem, jak bardzo niewygodna jest moja pozycja. Przytwierdzony do łóżka łańcuch nie pozwalał na jakikolwiek ruch. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyłem kilka par czarnych ślepi. Wpatrywały się we mnie z ciekawością. Prócz mojego, w sali stało pięć łóżek. Każde zajęte przez przyglądającą mi się teraz postać.

– Pieprzeni strażnicy – powiedziałem po tajsku, wskazując na łańcuch.

– Aaa... – przytaknęli Tajowie.

Po krótkiej rozmowie z sąsiadami dowiedziałem się, że wszyscy byli postrzeleni podczas aresztowania. Należeli do tych szczęściarzy, którym udało się „nie wykorkować”, dlatego trafili tutaj. Wszystkich oskarżono o handel narkotykami. Stalowe pręty przy wyjściu z sali świadczyły o tym, że jest to specjalne pomieszczenie dla aresztowanych. Tym bardziej nie mogłem pojąć, po co przykuto mnie dodatkowo do łóżka. Byłem tak wyczerpany, że z trudem stałem na nogach, a co dopiero mówić o ucieczce!

– Strażnik! – krzyknąłem, zbierając całą energię.

Cisza. Za kratą nie było widać żadnego ruchu.

– Strażnik, strażnik... – powtarzałem jak katarynka.

Wreszcie po około dziesięciu minutach przy kracie stanęła śniada postać, ubrana w mundur koloru khaki.

– Chce mi się łać! Odepnij mnie z tego żelastwa!

– Nie wolno! – oświadczył krótko i zniknął.

Nie mogłem w to uwierzyć. Czyżbym miał się załatwiać na podłogę? Nie ma sprawy. Właśnie zamierzałem tak zrobić, gdy usłyszałem szcęk otwieranego zamka. Szympons, z którym rozmawiałem, przyprowadził ze sobą salową. Ta trzymała w ręku przyrząd nazywany w szpitalnej gwarze kaczka.

– Dobrze i to – pomyślałem.

– To co, nie odepniesz mnie? – zwróciłem się do niego ponownie.

– Nie wolno! – odparł równie krótko, bez wdawania się w dyskusję.

Rozmowa z tym typem nie miała sensu. Po chwili trzasnęły stalowe drzwi i w sali zostałem tylko ja i garstka postrzelonych.

Następnego dnia zabrali mnie na badania. Na widok moich łańcuchów lekarz oświadczył, że nie ma szans, by wpuszczono mnie z tym na salę operacyjną. Patrzyłem na niego zbaraniały. Przecież to nie była moja wina. Poprosiłem, by rozmawiał o tym ze strażnikami, a najlepiej

z ambasadą. Zapewne tak zrobił, bo tego samego popołudnia pojawiła się rozjuszona pani konsul. Z przyjemnością patrzyłem, jak rozstawia po kątach kolejnych strażników.

– Dzwoncie, gdzie chcecie. Za pół godziny nie chcę tego widzieć na jego nogach! – oznajmiła jednemu z mundurowych.

Śniady Azjata totalnie pobladł. Jego czarne oczy przybrały kształt pięciozłotówek. Słuchanie poleceń kobiety było zdecydowanie ponad jego siły. Starał się zachować twarz, wypowiadając jak katarynka znaną już formułkę:

– Me daj, me daj (Nie wolno)...

Pogrążył się całkiem, gdy po jakiejś godzinie dostał odgórne polecenie od szefostwa więzienia. Łańcuchy miały zostać zdjęte. To było już przesądzone. We wściekłym wzroku strażnika widać było, jak trudno mu przełknąć gorzki smak zniewagi. Niestety, rozkaz to rozkaz. Pozostała kwestia – jak to zrobić? W więzieniu zdejmowano kajdany za pomocą specjalnej aparatury. Grubszy od mojego palca drut rozginano dzięki hydraulicznej dźwigni. Jak można to było zrobić inaczej? Mózg Taja nie był w stanie sam na to wpaść. Na swoim malutkim telefonie wystukiwał kolejne numery, domagając się przysłania specjalistów i sprzętu. Wreszcie na miejsce dotarła brygada ratunkowa. Dwóch ubranych w mundury gości weszło na salę, dźwigając ze sobą potężne nożyce do metalu. Obserwując ich poczynania, przypomniałem sobie, jak jeszcze przed aresztowaniem miałem okazję widzieć akcję straży pożarnej gaszącej budynek w Bangkoku. Mówiąc krótko: gdyby nie tragiczne okoliczności, mógłbym się nieźle uśmieć, traktując całe przedsięwzięcie jako komiczne wygłupy. Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem takiego braku zorganizowania i inwencji!

Tu miałem do czynienia z jeszcze bardziej tępym gatunkiem. W końcu – kto wybiera zawód klawiszka? Ich przygotowania do operacji nie wróżyły niczego dobrego. Na początek chwilę im zajęło poznanie zasady działania skomplikowanego urządzenia. Później posadzili mnie na podłodze, wsunęli obręcz między ostrza szczypiec i z mozołem rozpoczęli rozcinanie. Nożyce ześlizgnęły się natychmiast ze stalowego pręta, znajdując punkt oparcia na mojej kostce. Poczulem przenikliwy ból, a z moich ust wydobył się głośny skowyt. Tymczasem ekipa, zupełnie niezrażona wyciem, podjęła kolejną próbę. Po dłuższym czasie geniusze stwierdzili, że muszą zmienić taktykę. Po serii różnych eksperymentów z moich poharatanych nóg zaczęły ściekać drobne strugi krwi. Wreszcie odpuścili, pozwalając mi trochę odetchnąć.

Pod wieczór przyjechało jeszcze kilku „specjalistów” wraz z zabranym od kowala sprzętem. Znów wzięli mnie w obroty. Po godzinie jakimś cudem udało im się rozgiąć trochę obręcz, by następnie nadciąć pręt piłką, a później stosowanymi już na początku nożycami ostatecznie go przepołować. Myślałem, że tak mnie zostawią. Niestety, nawet w noc przed operacją nie mogłem odpocząć. Moje pokiereszowane nogi spięto normalnymi kajdankami, mocując je do łóżka.

Następnego dnia odbyła się operacja, która w porównaniu z zabiegiem zaserwowanym mi przez strażników była fraszka. Wycięto mi organ nazywany woreczkiem żółciowym i po dwóch kolejnych dniach w szpitalu oswobodzono z łóżkowych więzów, odsyłając tam, skąd przybyłem. W bloku szóstym nikt nie mógł uwierzyć w mój powrót.

– Przeżyłeś?? Jak to? – dziwili się kolejno napotykwani kumple.

Pytanie nie było pozbawione sensu. Właściwie sam się zastanawiałem, jak to się stało.

Kochany Tato,

strasznie się martwiłam, słysząc o twojej operacji. Dobrze, że już jest OK. Ja zaczęłam malować. Jeden obrazek wyszedł strasznie ładnie, a drugi beznadziejnie. Nie potrafię nanosić cieni. Za tydzień w szkole mam podać, kim chcę zostać w przyszłości, i powinnam się zabrać do wybierania college'u. Szkoła chce mnie już kierować na lekcje związane z moim przyszłym zawodem. Nie mam pojęcia, kim chciałabym zostać. Może gruppies The Doors. Tyle że The Doors już nie ma. Kiedyś chciałam zostać psychologiem, ale nie mogę, bo ludzie mnie wkurzają. Mogłabym malować dla Andy'ego Warhola albo chociażby organizować koncerty Led Zeppelin. Urodziłam się za późno :(Pod pytaniem „Kim chcesz zostać?” postawię więc trzy kropki, licząc na koniec świata...

Do szkoły mam dość daleko. Jadę godzinę autobusem i wracam późno. Nie widuję się z mamą dość często. W ogóle z nikim się nie widuję. Przestałam się spotykać z ludźmi, bo już nie mam o czym z nimi rozmawiać. Po prostu to, co się wokół mnie dzieje, jest zbędne i niepotrzebne. Ostatnio facet mamy podwoził mnie do szkoły. Tak się pokłóciliśmy, że kazał mi wysiadać w połowie drogi. Czasami jest taki żalony, że aż śmieszny. Oboje cały czas się ze mną kłóca i nazywają buntowniczką. Czasem, gdy jadę ze szkoły, myślę, by gdzieś uciec.

Wróć już, proszę. Moglibyśmy kupić jakiś samochód i pojechać gdzieś daleko...

Wika

Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak wygląda jej życie. Widziałem ją ostatnio jako małą dziewczynkę. Teraz pisała do mnie dziewczyna, która powoli odkrywała świat. Rozczarowanie i bunt było naturalną reakcją i oznaką inteligencji.

Najważniejsze, że żyję – powtarzałem sobie w myślach. Wszystko się ułoży. Wolność musiała nadejść, nie było innej opcji. Bałem się o moją kochaną buntowniczkę. Pozostało mi jedynie pisanie do niej listów.



XXXIV

Polityczne dywagacje

Po miesiącu zdjęto mi szwy, a skóra powoli zaczęła tracić żółty odcień. Czułem się dużo lepiej, choć wciąż bez rewelacji. Przeżyłem w tym miejscu ptasią grypę, świńską grypę oraz cholera wie jaką jeszcze. Teraz, gdy wykaraskałem się z zapalenia woreczka żółciowego, nie było sensu panikować z powodu częstego bólu brzucha czy temperatury. W wypadku przyzwyczajonego do innych warunków i flory bakteryjnej białasa pewne sprawy trzeba było uznać za nieuniknione. Poza tym ambasada już więcej w tej sprawie zrobić dla mnie nie mogła.

– Słyszałeś, co się dzieje ze staruszką? Znowy wylądował w szpitalu – Fabio jak co dzień rano przedstawiał najnowsze wiadomości z życia rodziny królewskiej. Nie musiałem słuchać radia czy telewizji, mój irański kumpel i tak streszczał mi wszelkie możliwe informacje.

– Jak stary umrze, to jesteśmy w dupie – skomentował.

Minęło już półtora roku od momentu złożenia dokumentów w sprawie łaski, a w mojej głowie rodziło się coraz więcej niepewności. Poparcie prezydentów i ambasadora było ogromnym atutem. Biorąc jednak pod uwagę, jak wiele osób składało wnioski o przebaczenie, a jak nikła liczba je dostawała, nawet takie wsparcie, jakie udało mi się uzyskać, nie mogło nic zagwarantować. Słysząc było przede wszystkim opowieści takie jak ta o Holendrach, którym udało się stąd wydostać, gdy ich królowa podczas wizyty w Bangkoku osobiście poprosiła o to króla Tajów. Jednak większość więźniów, którzy zdecydowali się na złożenie podobnej do mojej prośby, na samą odpowiedź, w 99 procentach negatywną, czekała ponad 10 lat. Inni nie doczekiwali się jej nigdy. Nietrudno było się domyślić, co stało się z ich wnioskami – pewnie zalegały w którymś z magazynów, stając się karmą dla karaluchów.

Zdając sobie sprawę, jak wyglądają realia, trudno było się wyzbyć czarnych myśli. To, co działo się w kraju, napawało dodatkowym pesymizmem. Stary i bardzo chory król w każdej chwili spodziewał się nadejścia końca swego panowania w Krainie Uśmiechu. Jeśli tak by się stało, na tron wstąpiłby jego syn. Ten jednak nie cieszył się zbyt dużym poparciem ludu. W kraju panowała dość przewrotowa atmosfera. Działo się to głównie za sprawą byłego premiera Thaksina Shinawatry, który po ucieczce za granicę nie przestawał jątrzyć w tajskiej polityce. Dzięki posiadanym pieniądzom sponsorował wiele działań wywrotowych, by znowu zdobyć władzę. Tajowie podzielili się na dwa obozy: partię żółtych koszul, która nieoficjalnie popierała króla, oraz partię czerwonych koszul, która popierała Thaksina. Co rusz prowadzili ze sobą regularne wojny, często kończące się blokadą całego Bangkoku, wyjściem na ulicę wojska i krwawą jatką. Mogliśmy tylko przypuszczać, jak rozwinie się ta sytuacja po śmierci króla. Osobiście stawiałem na możliwość wojny domowej.

Jedno było pewne – śmierć władcy oznaczała anulowanie tego, na co tak bardzo liczyłem. Fabio złożył podobne do moich dokumenty, wierząc w silną pomoc ambasady. Czekał na wolność. To czyniło nas obu mocnymi kibicami wersji „long live the king”. Nasze poranne szwendanie się było więc przepelnione dyskusjami o tajskiej sytuacji politycznej. Gdyby te

wszystkie rozmowy mogły nas choć trochę przybliżyć do upragnionej wolności, pewnie nie robilibyśmy nic innego. Niestety, były tylko bezsensownym biciem piany. Obaj mieliśmy serdecznie dość tego, co działo się w Tajlandii. Krytykowaliśmy system i kulturę.

Fabio, jak przystało na prawdziwego mieszkańca Bliskiego Wschodu, chował w sercu mnóstwo nienawiści dla królestwa Syjamu. Czasem podczas naszych rozmów ponosiło go trochę. Gdy rozpędził się za bardzo, przystawał na środku placu i, wymachując pięścią, rzucał serię wypowiedzianych w farsi (język Irańczyków) przekleństw. Jego nieogolona twarz przybierała groźny wyraz, a z małych, przymkniętych oczu leciały pioruny złowrogich spojrzeń. Wreszcie prychał kilka razy swym haczykowatym nosem i znów zaczynał chodzić w kółko. Nigdy nie byłem pewien, czy są to oznaki szaleństwa, czy jego specyficzna natura, ale często miałem ochotę do niego dołączyć.

By nie popadać w paranoję, znów zająłem się rysowaniem. Nie była to prosta sprawa. Poza brakiem miejsca, trudno było też o materiały. Musiałem je załatwiać różnymi drogami. Wcześniej pomagał mi w tym John, który wciąż chciał więcej i więcej rysunków przedstawiających tutejsze życie. Udało mi się stworzyć krótką serię. Sprawdził się też sposób, w jaki je przemycaliśmy. Ryzyko było jednak spore. Gdy moje starania o królewską łaskę stały się realne dzięki pomocy polskich prezydentów, musiałem zakończyć ten proceder. Tajowie, opierający wiele elementów swojego systemu na propagandzie i ukrywaniu prawdy również o takich miejscach jak to, bardzo surowo traktowali próby ujawniania niewygodnych tematów. Gdyby odkryto naszą akcję, nie tylko trafiłbym do karceru, ale też mógłbym pożegnać się z królewskim przebaczeniem. Nawet jeśli prosiliby o nie wszyscy wielcy tego świata.

W związku z tą sytuacją teraz mogłem rysować jedynie politycznie poprawne portreciki lub inne pocztówki. Nie było łatwo odmawiać Johnowi, który wciąż prosił, bym stworzył kolejny szkic na potrzeby strony o prawdziwym życiu w „Bangkok Hilton”. Musiałem jednak dać dojść do głosu swojej asertywności i egoizmowi. Kierowałem się radą daną mi przez jednego starego Hindusa: „Idąc w tłumie, zawsze szukaj własnej ścieżki”. Ta głęboka metafora miała dla mnie pewien specyficzny sens. W takich miejscach łatwo było zagubić się pod naporem kumpli, systemu indoktrynacji, braku wyboru... Musiałem dbać, by nie zatracić siebie. I tego, o co walczyłem.

XXXV

Żółta koperta

Potoki lejącej się z nieba wody nieustannie zalewały betonowy plac. Miałem już dość monsunu. Mijała druga połowa listopada i wszyscy z utęsknieniem wypatrywali pory suchej. Ubrany w plastikową pelerynę z ogromnym kapturem brnąłem w półmetrowej, brunatnej wodzie, podążając w kierunku okienka, gdzie czekał na mnie list.

Już na pierwszy rzut oka rozpoznałam charakter pisma na kopercie, nie mogąc za bardzo w to uwierzyć. W pierwszej chwili pomyślałam, że może to jedna z tych zabłąkanych przesyłek. Często zdarzało się, że w cenzurze zawieruszała się jakaś koperta i docierała do adresata z kilkumiesięcznym opóźnieniem.

Ten list miał jednak w miarę świeżą datę. A co dziwniejsze – polskie znaczki.

Michał,

wybacz, że nie pisałam. Nie mogłam, nie byłam w stanie... Rozumiesz, prawda? Słyszałam o twojej operacji. Dobrze, że się udała. Może teraz nie będziesz już miał problemów z brzuchem. W moim życiu przyszedł czas, w którym muszę się uporać z sobą. Obudzić się, na pewno zmienić. Musiałam wrócić. Nie zostałam długo w Bangkoku po naszej ostatniej rozmowie. Działo się od tej pory wiele rzeczy, o których nie chcę mówić. Wiele problemów, których nie chcę nazywać po imieniu, by nie nadawać im jeszcze większej mocy.

Minął już prawie rok od mojego wyjazdu. Chcę wrócić do Tajlandii. Co chwilę przypominają mi się znaczące szczegóły – widoki, ludzie, zapachy, dźwięki i słowa, które trwały zaledwie sekundę, a ja tak dobrze je pamiętam... To istna tortura, ale ja za nic nie chcę tego zapomnieć! Tylko wrócić... Nie wiem, kiedy będzie to możliwe. Czasem myślę, że zaraz, a czasem, że nigdy. Wiem, że czujesz podobnie, tylko w drugą stronę... Wybacz, że tak się stało. Mam bardzo sporadyczny kontakt z twoją rodziną. Słuchaj, pisz do mnie czasem. Nie patrz na to, że mam taką niemoc. To minie. Znowu będę starą sobą. Może nawet lepszą wersją siebie. Na razie potrzebuję czasu. Może w kolejnym liście będę bardziej rozmowna :)

Wśród znajomych panuje urodzaj na dzieci, wszyscy się rozmnażają w najprzeróżniejszych konfiguracjach. Rzadko więc widuję kogokolwiek z nich, zwłaszcza że tematy też nam się rozbiegają. Siedzę więc głównie w domu. Wróciłam do starej pracy. On przyjechał do mnie jakiś czas temu. Zalał mi wizę, ale na długo to nie starczyło. W końcu wzięliśmy ślub, by mógł zostać ze mną, ale oboje myślimy o powrocie. Jak tylko uda mi się zarobić na nasze bilety, wracamy. Życie w Polsce jest cholernie drogie i nie wiem, kiedy uda mi się zgromadzić tyle kasy. Zwłaszcza że tylko ja z nas dwojga mam pracę. Ling, głównie ze względu na barierę językową, nie ma tu żadnych szans...

Ewa

Nie wiem, co bardziej mnie zaskoczyło. Sam list czy wiadomość o ślubie, którą Ewa wreszcie zdecydowała się mi przekazać. Czułem, jak odpływa całkowicie z moich myśli. Nic nie było już w stanie przywrócić mi tej dziewczyny, która pisała do mnie listy, jakich nigdy nie dostałem od nikogo innego. Ewa, którą kochałem, została jedynie wyobrażeniem, słodką marą, która rozplywała się w dziennym świetle, pozostawiając po sobie jedynie słowa, zamknięte w żółtych kopertach.

XXXVI

25 listopada

Upłynął tydzień od czasu, kiedy przyszedł ten list, który wprowadził mnie z powrotem w stan lekkiej depresji.

– Miczun Polli – zaskrzeczał stary, przyczepiony do słupa głośnik.

Zerwałem się z miejsca, by ruszyć w stronę biura. To stamtąd mnie wzywano. Na mój widok stojący przy mikrofonie funkcyjny wskazał siedzącego wewnątrz strażnika. Był to jeden z tych pracujących w administracji przy głównej bramie. Nie miałem pojęcia, czego mógł ode mnie chcieć. Zauważywszy mnie, uniósł do góry dłoń, by w specyficzny dla Tajów sposób zawołać mnie do środka. Siadłem obok biurka, przy którym rezydował.

– Jak się masz? – spytał.

To pytanie, wypowiedziane z pewną dozą serdeczności, natychmiast wzbudziło moją podejrzliwość.

– Widziałeś się z ambasadą? – ciągnął, nie czekając na odpowiedź.

– Nie, a dlaczego? – odpowiedziałem po dłuższej chwili wahania.

– Aaa...

– O co chodzi? – spytałem ponownie.

– Nie, nic, tak pytam, bo są tu dokumenty, które mieli podpisać – zbył moje pytanie w mało sprytny sposób.

Przecież mógł do nich zadzwonić, zamiast zniżać się do rozmowy ze mną – pomyślałem. Może chcieli mnie przenieść do innego bloku lub, co gorsza, do innego więzienia. Na pewno był w tym jakiś podstęp. Przez tyle lat życia w tym miejscu powoli nauczyłem się zupełnie nie ufać temu, co mówią.

– OK, to wszystko. Możesz już iść – zakończył strażnik, wypraszając mnie z pomieszczenia.

Tego samego dnia po południu dorwałem funkcyjnego, tego, który pracował w biurze. Była to jedyna osoba mogąca znać odpowiedź na nurtujące mnie pytanie:

– Kiet, powiedz, o co tu chodzi? – spytałem szczupłego Taja.

Spojrzał, jakby mnie nie zauważając, poprawił duże, oprawione w druciane ramki okulary i jak wybudzony z transu odpowiedział:

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Czego chciał ten strażnik?

– Jaki strażnik?

– Wiesz dobrze jaki! – dodałem podirytowany.

Znałem te jego gry już na pamięć. Jak zwykle udawał nieorientowanego, będąc najlepiej poinformowanym w bloku.

– Aaa... Przecież ci powiedział.

– Powiedział, co powiedział. A ty mi powiedz, o co tu chodzi!

– Nie wiem!

– Obaj dobrze wiemy, że bardzo dobrze wiesz!

Musiałem go nieźle przycisnąć, by po dłuższym naleganiu usłyszeć:

– A jak tam twój locker? Masz wszystko spakowane? – po tych słowach natychmiast uciekł do swojej twierdzy za szybą.

Tam, w biurze, nie miałem już szans go napastować. Musiałem odpuścić, zadowolając się przekazanym rebusem. O co mogło mu chodzić? Pierwsza nasuwająca się myśl dotyczyła zbliżającego się przeszukania. Pewnie chcieli sprawdzić moją szafkę. Może nawet coś podłożyć, by wykopać mnie z bloku. Tego wieczora przelatujące przez głowę myśli nie dawały mi spokoju. Nad ranem przyszedł przedziwny sen o wolności. Właściwie nie było to nic nadzwyczajnego. Miewałem je często, choć ten wydawał się zdecydowanie inny od pozostałych. Po przebudzeniu zacząłem łączyć fakty. Nie mogłem stwarzać sobie złudnych nadziei. Jeśli wmówiłbym sobie teraz, że to dziwne zachowanie strażnika ma coś wspólnego z moim wnioskiem o przebaczenie, a okazałoby się inaczej, złapałbym doła większego niż Rów Mariański.

Godzinę później, stojąc już obok mojej szafki, postanowiłem na wszelki wypadek spakować kilka rzeczy. Zdążyłem otworzyć metalową kłódkę, gdy z głośników znów wybrzmiała znajoma formułka:

– Miczun Polli, Miczun Polli...

Chwilę później stałem już przy uchylonym okienku.

– Zabieraj swoje rzeczy – oznajmił Kiet.

– Po co, gdzie? – spytałem.

– Idziesz, zabieraj rzeczy!

– Idę gdzie? – ciągnąłem za język enigmatycznego funkcyjnego.

– Do domu – oznajmił wreszcie poirytowanym głosem, przez który przemawiała totalna zazdrość.

– O cholera – wykrzyknąłem nieświadomie.

Upragniona chwila przysłała jak sierpniowa burza – nie wiadomo skąd, uderzając w głowę młotem euforii. Spojrzałem na rozciągającą się masę ludzi.

– Kurwa, to koniec – przemknęło mi przez myśl.

Ilość napływających w jednej sekundzie myśli zablokowała wszystkie kanały mojej percepcji. Było oczywiste – prośba, którą złożyłem prawie dwa lata temu, musiała wreszcie dotrzeć do pałacu. Fakt, że została poparta przez takie osobistości jak prezydenci oraz ambasador, sprawił, iż ktoś rzeczywiście zechciał ją rozpatrzyć. Spośród tysięcy innych prób ta właśnie trafiła na stół sekretarza królewskiego i została przedstawiona samemu królowi.

– Cholera, cholera – przelewało się przez moją głowę jak sygnał alarmowy. Poszedłem z powrotem, w kierunku Chinatown i swojego lockera. Przebłysk zdrowego rozsądku świecił w mojej świadomości dużym czerwonym napisem: „Utrzymaj to w tajemnicy jak najdłużej”! Czuję, jak rosną mi skrzydła. Jeszcze chwila i mogłem wzbić się w górę, wlatując ponad tym cholernym murem!

Dochodząc na miejsce, do mojej szafki, spojrzałem na siedzącego obok Andrew. Nie mogłem się powstrzymać:

– Andrew, powiem ci coś, tylko usiądź!

– Co? – spytał niechętnie, odrywając się od czytanej książki.

– Wykopują mnie.

– Gdzie? Co ty mówisz?!

– Do domu. Jestem, kurwa, wolny!

– Co ty bredzisz?

– Tylko cicho. Nie mów na razie nikomu. Chcę zabrać parę rzeczy, nim zwali się tłum.

– Ty pieprzony szczęściarzu – zaczął, nie do końca jeszcze przekonany o wiarygodności tej nowiny. – Przecież to się prawie nie zdarza. – Mój kolega miał całkowitą rację. Kopnął mnie zaszczyt, który spotyka jedną, góra dwie osoby na rok, spośród wielu tysięcy tu porzuconych.

Po chwili pojawili się Fabio i John. Wiadomość przenosiła się z prędkością światła. Zostałem zalany falą napierających ludzi. Wszyscy chcieli wiedzieć co i jak. Każdy chciał dostać coś z rzeczy, które nazbierałem przez lata, a które nie były mi już potrzebne.

Z głośników znów rozległ się głos wzywający mnie do bramy. Chwyciłem kilka najważniejszych przedmiotów i, przepychając się przez ludzką masę, ruszyłem w stronę wyjścia. Większość kumpli stała jeszcze za barierą z drutu kolczastego, gdy zasuwano stalową bramę. Tak zamknęły się dla mnie wrota bloku szóstego.

Strażnicy zaprowadzili mnie do małej świątyni wewnątrz więzienia. Jeden z nich, z aparatem, nakazał, bym klęknął przed pomnikiem króla, składając ręce jak w modlitwie. Nie byłem zachwycony tą szopką. Wreszcie, po dłuższych pertraktacjach, zdecydowałem się nie przedłużać chwil dzielących mnie od wolności. Zgodziłem się na sesję z dziękczynieniem. Strażnik cyknął kilka zdjęć. Teraz mogliśmy ruszyć do głównej bramy.

Tu, prócz tradycyjnej procedury, czekała na mnie również policja. Zawieziono mnie prosto na komisariat, na którym sześć lat temu zaczęła się moja feralna przygoda. Zostałem wpakowany do tej samej co wówczas klatki. Stado więźniów patrzyło na mnie z nieukrywanym zdziwieniem. Tym razem jednak wcale nie czułem się obcy. Współczułem im tego, co ich czeka na drodze, którą właśnie zaczynali. Sam na szczęście miałem to już za sobą.

Wieczorem pojawiła się ambasada. Nigdy jeszcze nie widziałem tak ucieszonej twarzy pani konsul. Spojrzała na mnie, by podsumować półzartem:

– Coś nie widać po panu radości.

– Może to przytępienie związane z latami stagnacji. A może nie dotarło do mnie jeszcze w pełni to, co się stało – odpowiedziałem, sam będąc zaskoczony własnym spokojem.

– Jutro przeniosą cię do IDC. Kontaktowałam się z twoją rodziną. Na dniach przyślą nam pieniądze na bilet. Załatwimy to jak najszybciej i myślę, że za tydzień będziesz już w Polsce!

Następnego dnia czekałem na zapowiedzianą przez panią konsul przeprowadzkę. Zbliżał się już wieczór, gdy wreszcie zdecydowałem się zaczepić przechodzącego policjanta. Na pytanie o moje przenosiny wzruszył ramionami i poszedł w swoją stronę.

Po kolejnej godzinie przestałem wierzyć, że coś się jeszcze może tego dnia wydarzyć. Przymknąłem już oczy, próbując zasnąć, gdy usłyszałem trzask otwieranych zamków, a za nim znajome:

– Hey, you.

Wiedziałem już, że chodzi o mnie. W sali nie było innych białasów. Zabierali mnie do IDC. Wyszedłem z klatki, patrząc po raz ostatni na zgromadzonych w niej biedaków. Współczucie ustępowało wobec narastającej radości – wreszcie opuszczałem to miejsce!

Immigration Detention Center znajdowało się w samym centrum miasta, niedaleko ulicy Silom, pełnej ekskluzywnych sklepów i turystów. Dla kontrastu ośrodek nie należał do zbyt eleganckich. Wewnątrz zastałem panią konsul w towarzystwie Taja pracującego dla ambasady jako kierowca i tłumacz w jednym. Była wściekła na tajską policję, która zwodziła ją już od południa w sprawie moich przenosin.

– Czy oni cię przesłuchiwali? – spytała.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– To mają szczęście!

W kącikach jej ust znów pojawił się załazek uśmiechu. Rozpoczęto kolejne procedury. Wreszcie spisujący wszystko funkcjonariusz skończył, oświadczając, że z powodu późnej godziny zostawiają mnie dziś na dole. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Kilkupiętrowy budynek nie wyróżniał się niczym specjalnym.

– To nie jego wina, że policja przywiozła go tak późno. Proszę go zabrać tam, gdzie trafia reszta obcokrajowców z Europy! – zaproponowała pani konsul.

– Nie możemy. Przyjechał za późno. Musi zostać w klatce na dole – oświadczył stanowczo urzędnik.

– OK, mogę zostać na dole – stwierdziłem, dziękując za troskę mojej opiekunki.

Po latach spędzonych w totalnie syfiastych warunkach było mi naprawdę obojętne, gdzie trafię na kilka kolejnych dni. Liczyło się to, co mnie czekało później!

– OK, to ja sobie tylko wezmę pana dane, by porozmawiać o tym za dnia z pana przełożonym – zakończyła pani konsul, zwracając się do policjanta.

Tak pożegnałem się z ambasadą. Inny funkcjonariusz zaprowadził mnie do znajdującej się na końcu budynku klatki. Niewielkie pomieszczenie pełne było Kambodżan, Birmańczyków oraz ludzi z Laosu. Byli upchnięci do granic możliwości. Z trudem wcisnąłem się do środka, natychmiast żalując mojej pochopnej decyzji. Mogłem tu zapomnieć o kawałku podłogi, na którym dałoby się położyć i zasnąć choć na kilka godzin. Wszyscy znajdujący się w środku ludzie byli imigrantami z ościennych państw. Złapanych w Bangkoku zamykano w tej klatce, by następnego dnia wywozić na granicę w celu deportacji.

Przygotowywałem się na długą noc, gdy drzwi znów się otworzyły. W progu stał ten sam funkcjonariusz, który spisywał protokół przyjęcia. Nakazał, bym wyszedł. Zamknął stalową kratę i zaczął do mnie mówić łamanym angielskim:

– Zabiorę cię na górę, tylko powiedz swojej ambasadzie, by nie pisała skargi, OK?

Z jego ust dolatywał mocny zapach tajskiej whisky. Widocznie miał już za dużo na sumieniu, by drzeć koty z dyplomatami.

– OK – odpowiedziałem, nie wdając się w dłuższe dyskusje.

Klatka na górze mieściła jakieś sześćdziesiąt osób. Warunkami przypominała do złudzenia to, co widziałem już w więzieniu. Ściśnięci ludzie leżeli obok siebie na podłodze. Od betonu oddzielały ich jedynie cienkie koce. Można tu było znaleźć przedstawicieli prawie każdego kontynentu. Nie brakowało też farangów. Gdy tylko znalazłem sobie miejsce, kilku bardziej gadatliwych zaczęło opowiadać o swoich problemach. Rzeczywiście nie było im łatwo. Jeśli ktoś nie miał pieniędzy na bilet do domu, mógł tu utknąć nawet na sześć miesięcy. Tyle trzeba było czekać, by prosić o pomoc organizacje charytatywne. Ani Tajów, ani ambasady nie

obchodziło, skąd wezmą kasę na powrót lub na ile tu zostaną.

Trochę pecha i nieważna wiza wystarczały więc, by utknąć w tym miejscu na ponad pół roku. Zdarzali się też tacy jak mój znajomy z więzienia – Don. Ludzie bez kraju! Brak obywatelstwa oznaczał wyjątkowo trudny do rozwiązania problem. Niewielka liczba osób będących w tym osobliwym położeniu mogła liczyć jedynie na jedno: permanentne więzienie o nazwie IDC.

Tajlandia nie przyjmowała też uchodźców. Gość obok mnie pochodził z Somalii. Uciekł stamtąd ponad dziesięć lat temu. Trafiając do Tajlandii, liczył na jakiś azyl polityczny. W zamian od dziesięciu lat przetrzymywano go w tej zatłoczonej norze. Kiedyś czytałem książkę afgańskiego emigranta, który dostał się do Australii. Strasznie się skarżył na warunki w tamtejszych obozach dla uchodźców: za mało karnetów do supermarketu i podobne sprawy. Co mieli powiedzieć ci ludzie, którzy nie zrobili absolutnie nic poza byciem uchodźcami? Tu trzymano ich stłoczonych w małej, zamkniętej klatce. Tak właśnie wyglądała druga strona medalu tego pięknego państwa, nazywanego przez turystów Krainą Uśmiechu.

Później przyszli do mnie drobni złodzieje. Miejsce takie jak to też miało swoją mafię. Kilku cwaniaczków siadło obok, węsząc, co da się zwędzić. Ich zajęciem było wyciąganie kasy lub wartościowych rzeczy od nowo zatrzymanych. Gdy opowiedziałem im, skąd przyszedłem, położyli uszy po sobie i odeszli.

Pozostało czekanie. Nie robiło mi specjalnej różnicy, czy spędzę tu tydzień, czy też więcej. Ważne, że byłem już prawie wolny. Trzy razy dziennie otwierała się mała klapka w stalowych drzwiach. Podawano przez nią jedzenie – lurowatą zupę i ryż, czasem gotowane jajko. Dieta trochę lepsza niż w więzieniu. W każdą środę – wyjście na mały spaceriak. Godzinka chodzenia w kółko i z powrotem do celi. Znow zaczęła mnie swędzieć skóra. To wszędobylski świerz b z niepranych, zapoconych koców ponownie zamieszkał w moim ciele. Wreszcie pojawiła się ambasada. Funkcjonariusz sprowadził mnie na dół, pozostawiając na małym, wypełnionym ławkami skwerku.

– Lecisz pojutrze, już mamy bilet – oświadczyła zadowolona pani konsul, wręczając mi jednocześnie torbę pełną ubrań. – Przymierz, w Polsce jest już prawie zima – dodała.

Wyjąłem z siatki parę dzinsów. Minęło prawie sześć lat, gdy po raz ostatni miałem na sobie długie spodnie. Teraz przyszedł czas, by przyzwyczaić się do nich ponownie.

Wszystkie loty do Europy zaczynają się po północy. Gdy wypuszczono mnie z klatki, było już ciemno. Dochodziła 8 wieczorem. Po parnej i rozświetlonej celi nocne powietrze przyniosło miłą, chłodną bryzę, półmrok zaś ukoił oczy. Spojrzałem w rozgwieżdżone niebo. Widziałem je po raz pierwszy od tak dawna.

– Szybko, szybko – pośpieszał mający odstawić mnie na samolot policjant.

Nie było to już to samo lotnisko, na którym lądowałem podczas mojej ostatniej wyprawy do Tajlandii. Wiele zdążyło się zmienić przez te sześć lat. Stare, znajdujące się na północ od Bangkoku Don Muang było już przeżytkiem. Musieliśmy jechać na południowy wschód, gdzie

znajdowało się nowe lotnisko, nazywane Suvarnabhumi. Tam znowu spotkałem się z panią konsul i panem attaché, którzy mieli mój bilet. Pożegnaliśmy się serdecznie. Od momentu przekroczenia bramki ponownie stałem się wolnym człowiekiem. Przez dużą szklaną szybę zobaczyłem olbrzymie cielsko samolotu. Boeing 747 czekał gotowy do lotu. Długi korytarz poprowadził mnie prosto na jego pokład.

Było 15 minut po północy, gdy maszyna zaczęła kołować, by po nabraniu prędkości oderwać się od ziemi. W dole zostało rozświetlone neonami Miasto Aniołów. Nastąpił moment, o którym śniłem na jawie przez tyle lat. Ten, który wizualizowałem przed każdym zaśnięciem. Moje największe pragnienie! Czuję się jak dzieciak, który dostał swoją wymarzoną zabawkę, dziwiąc się zarazem, że to przeżycie nie poruszyło mnie jeszcze mocniej.

Skupiska jasnych punktów powoli traciły swój blask, ustępując miejsca wszechobecnej czerni. Przez moment pomyślałem o kumplach, którzy mieli mniej szczęścia. Mój pobyt w Bangkoku należał już do przeszłości. Kiedy siedziałem w komfortowej kabinie, wszystko to wydało się być jak zły sen, z którego właśnie się przebudziłem.

KONIEC



Nota o autorze

Autor urodził się w 1972 roku w Kielcach, gdzie spędził młode lata. Kolejno mieszkał w Krakowie, Krynicy, Łodzi, Berlinie, Amsterdamie, Tuluzie, Częstochowie, Barcelonie, Zagnańsku, Łodzi... Studiował w łódzkiej ASP. Sam mówi, że w życiu najbardziej udało mu się wspaniała córka. Jako artysta plastyk zajmował się ceramiką i sztuką użytkową, prowadząc własną pracownię. Kiepskie dochody z ceramiki i rozpad małżeństwa spowodowały, że postanowił wrócić do życia w podróży. O konsekwencjach tej decyzji opowiada książka...

12 x śmierć

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
* * *
Dedykacja
I Z powrotem
II Syjamska pułapka
III SkyTrain
IV Poczekalnia
V Witamy w Bambat
VI Dan 9
VII Odwiedziny
VIII Pierwsza rozprawa
IX Lipiec 2547
X Karcer
XI Szpital
XII Interesy
XIII Theravada
XIV Niespodziewany gość
XV Przeprowadzka
XVI Dan 6
XVII Zima roku 2548
XVIII System
XIX Marzec 2548
XX 7 kwietnia 2548
XXI 10 maja 2548
XXII Czerwiec 2458
XXIII Hebanowe towarzystwo
XXIV Złoty trójkąt
XXV Zrządzenie losu
XXVI 25 października 2548
XXVII Kolejny wyrok
XXVIII Zamach stanu
XXIX Darma
XXX Rok 2550
XXXI Loi Krathong
XXXII Gorzka pigułka
XXXIII Tajscy geniusze
XXXIV Polityczne dywagacje
XXXV Żółta koperta
XXXVI 25 listopada
Nota o autorze

